GRY GRANICZNE
Czego chcą od nas Putin i Łukaszenka

HAJ ZAKUPÓW
Black Friday na koszt planety

KIM JEST CZŁOWIEK
Rewolucja w ewolucji: w kościach jest duch

GRZEGORZEWSKA
Jak uwolniłam się od przemocy

JA, WIOŚLARZ
Przez pięć oceanów po rekordy Guinnessa

Kraków 28 listopada 2021 nr 48 (3777) cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

WŁODZIMIERZ WRÓBEL

Sąd nad reformą Ziobry

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

W WYDANIU DODATEK

REKLAMA

Najnowsza książka księdza Adama Bonieckiego.
Głos rozsądku w twoim domu.

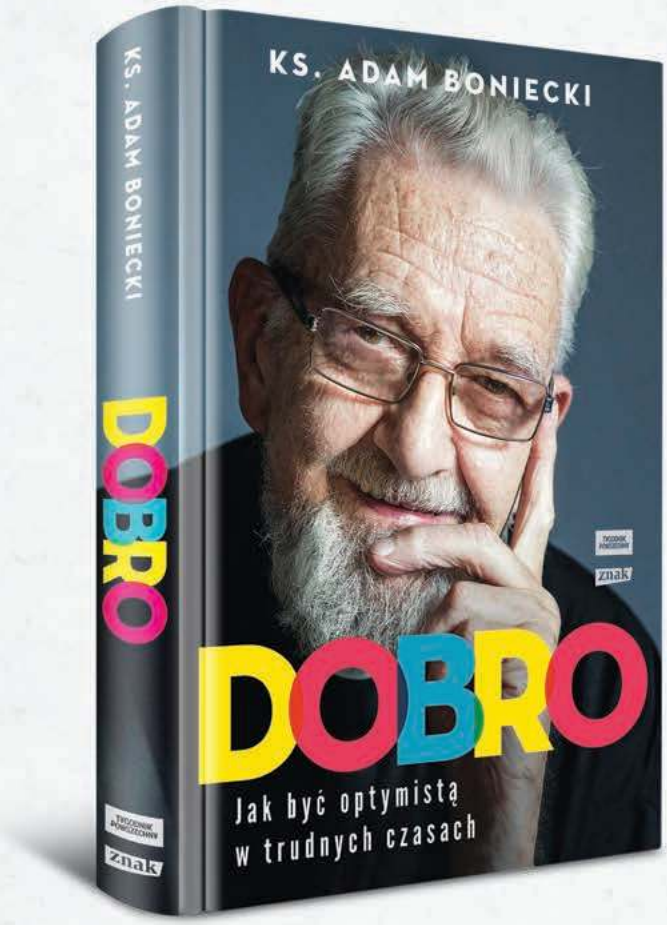

- Jak ze sobą rozmawiać mimo różnic?
- Jak odnaleźć spokój i harmonię w pocovidowej rzeczywistości?
- Czego w dobie kryzysu klimatycznego naucza nas Ewangelia?
- Jak rysuje się przyszłość polskiego Kościoła?
- Co z nami robią media społecznościowe?

PREMIERA LISTOPAD 2021

Zamów w przedsprzedaży na stronie
www.znak.com.pl

znak TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM

Boniecki: *Świadek królestwa*

Papież zmienił datę 36. Światowego Dnia Młodzieży w diecezjach: „Po wysłuchaniu różnych opinii (...) postanowiłem przenieść z Niedzieli Palmowej (...) na Niedzielę Chrystusa Króla (...). W centrum pozostaje tajemnica Jezusa Chrystusa Odkupiciela Człowieka, jak zawsze podkreślał św. Jan Paweł II". Może obraz Chrystusa Króla bardziej przemawia do młodych niż obraz „dzieci żydowskich niosących gałązki oliwne"? A może chodziło o przypomnienie słów: „królestwo moje nie jest z tego świata"? Zakusy uczynienia Go królem Jezus stanowczo odrzucał: i wtedy, gdy był kuszony na pustyni, i później. Bo próby tworzenia Królestwa Bożego na ziemi przynoszą odwrotne rezultaty. Tworzenie prawa na podstawie „wartości chrześcijańskich" zwykle się kończy ideologią w miejsce wiary. Wymuszanie przestrzegania praw karami, może i w naszych królestwach konieczne, w Jego – jest nie do pomyślenia.

Hasło Dnia Młodzieży, zaczerpnięte z obrony św. Pawła przed Agryppą, to słowa, które apostoł usłyszał od Chrystusa pod Damaszkiem: „Wstań. Ustanawiam cię świadkiem tego, co zobaczyłeś". W wigilię tego dnia Polsce został dany nowy świadek Królestwa – błogosławiony ks. Jan Franciszek Macha.

Urodził się na Górnym Śląsku 18 stycznia 1914 r. Jego ojciec był ślusarzem w Królewskiej Hucie (w Polsce Huta Kościuszki) w Chorzowie Starym. W 1933 r. ukończył gimnazjum klasyczne. Pasjonował się harcerstwem i sportem. Należał do klubu Azoty Chorzów. W rodzinie nazywano go „Hanikiem". Po maturze chciał wstąpić do Śląskiego Seminarium Duchownego, ale „z braku miejsc" się to nie udało. Po roku studiów na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego przeniósł się na Wydział Teologii UJ i wstąpił do seminarium. Święcenia kapłańskie przyjął 25 czerwca 1939 r. 10 września został wikarym w Rudzie Śląskiej. Widząc trudne, często tragiczne położenie rodzin, których ojcowie i synowie zostali aresztowani, rozstrzelani czy wywiezieni do obozów koncentracyjnych, zaczął organizować dla nich pomoc materialną i duchową. Zbierał woluntariuszy i pieniądze. Kiedy ks. Józef Rzychoń CM założył Rudzko-Chorzowski Inspektorat Polskiej Obrony Zbrojnej (później włączonej do Związku Walki Zbrojnej), przystąpił do konspiracji, został zaprzysiężony i stanął na czele młodzieżowej grupy: kryptonim „Konwalia". Nie angażowali się w walkę, lecz wspierali ofiary okupacji. Siatka woluntariuszy z czasem liczyła kilka tysięcy ludzi. 5 września 1941 r. – aresztowany. Maltretowany w czasie przesłuchań. Dla współwięźniów był spowiednikiem. 17 lipca w Katowicach odbyła się rozprawa. Został skazany na śmierć. Rodzina, przyjaciele, kuria zabiegali o zmianę wyroku.

Z więzienia pisał do rodziców listy: „Jestem osądzony na karę śmierci. Najpierw chcę wam podziękować za wszystko, za tą wielką ofiarność jaką żeście dla mnie mieli. Niech Wam za to kochany Bóg wynagrodzi. Jak jest ciężko z życiem się żegnać, ale jeżeli to wola Boga, to trzeba się zgodzić (...) mam wielką nadzieję w miłosierdzie Boże i opatrzność Boską. Przeto jestem całkiem spokojny. Ja nie myślałem, że ten wyrok tak spokojnie na mnie wpłynie i ze spokojem czekam na stracenie". Ma 38 lat, kocha życie. W listach sugeruje, co robić, by uzyskać zmianę wyroku. Ma nadzieję...

I ostatni list: „Za 4 godziny wyrok będzie wykonany. Kiedy więc ten list będziecie czytać, mnie nie będzie już między żyjącymi! Zostańcie z Bogiem! Przebaczcie mi wszystko! Idę przed Wszechmogącego Sędziego, który mnie teraz osądzi. Mam nadzieję, że mnie przyjmie. (...) Umieram z czystym sumieniem. Żyłem krótko, lecz uważam, że cel swój osiągnąłem. Nie rozpaczajcie! Wszystko będzie dobrze. Bez jednego drzewa las lasem zostanie. Bez jednej jaskółki wiosna też zawita, a bez jednego człowieka świat się nie zawali".

Od ks. Joachima Beslera, kapelana więziennego, wiemy o ostatnich chwilach ks. Jana Machy: był spokojny, wyspowiadał się, pomodlił, napisał ten list do rodziców. Egzekucja odbyła się 3 grudnia 1942 r. krótko po północy, przez ścięcie gilotyną. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na spotkanie autorskie z księdzem Adamem Bonieckim

O nowej książce **„Dobro. Jak być optymistą w trudnych czasach"** porozmawia z Anną Wacławik-Orpik.

Środa, 1 grudnia, godz. 18.00, Muzeum POLIN.

Bezpłatne wejściówki dostępne na stronie www.polin.pl i w kasach muzeum w dniu wydarzenia. Podczas spotkania będzie możliwość kupienia książki oraz wydawnictw „Tygodnika Powszechnego".

znak

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

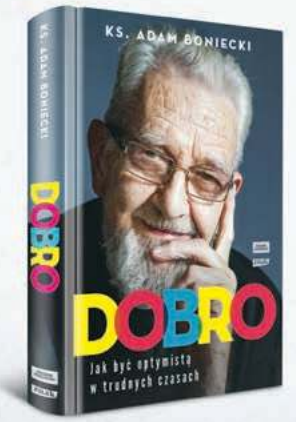

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Sędziowie z innej planety
MAREK KĘSKRAWIEC: *Polacy sędziów nie szanują, ale się ich boją i twierdzą, że są zarozumiali. Trudno się dziwić, że kolejne plany wywrócenia do góry nogami wymiaru sprawiedliwości obchodzą tak niewielu.*

16 Wywrócone kostki domina
WŁODZIMIERZ WRÓBEL: *Przykro to przyznać, ale czasami zza opasłych tomów nie widzimy człowieka.*

GRY GRANICZNE

26 I tak pójdę do lasu
ROZMOWA Z PAULINĄ BOWNIK, LEKARKĄ: *Chciałabym, aby państwo polskie nie przeszkadzało w niesieniu pomocy.*

40 W pętli
ROZMOWA Z S. BARBARĄ CHYROWICZ, ETYKIEM: *Rozkazy wypychania migrantów poza Polskę nie tylko narażają ich życie, ale też niszczą tych, którzy je wykonują.*

50 Gry na granicach
WOJCIECH KONOŃCZUK: *O co chodzi dziś Łukaszence i Putinowi?*

34 Babcia Babia
MARCIN ŻYŁA: *Jedyna znana opowieść o naszej najwyższej górze poza Tatrami dotyczy tylko jej połowy. Po tej drugiej dzieją się dziwy.*

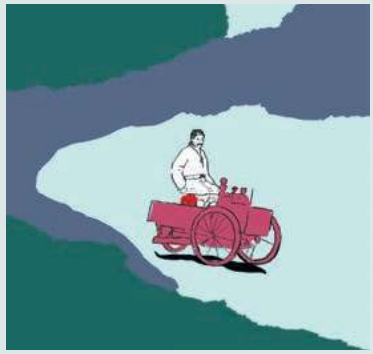

68 Letimela
ROZMOWA Z LEE BERGEREM, PALEOANTROPOLOGIEM: *W środku tej jaskini nie ma prawie nic, poza szczątkami Homo naledi. Ale to odkrycie może prowadzić do przełomu w rozumieniu ewolucji naszego gatunku.*

90 Obóz przetrwania
ROZMOWA Z WIOLETTĄ GRZEGORZEWSKĄ, PISARKĄ: *Na galę Międzynarodowej Nagrody Bookera jechałam pociągiem prosto z pracy w McDonald's. Zdążyłam już zdjąć uniform, ale nadal cuchnęłam fryturą.*

104 Znaczy kapitan
ROZMOWA Z FIANNEM PAULEM, WIOŚLARZEM OCEANICZNYM: *Dopiero w trakcie kolejnej wyprawy przypominałem sobie, jak cierpiałem podczas poprzedniej. I jak powtarzałem sobie, że już nigdy więcej tego nie zrobię.*

TP-ONLINE / STOCK.ADOBE.COM // IRAQI MINISTRY OF TRANSPORTATION / AFP / EAST NEWS // LUCA SOLA / AFP / EAST NEWS // ARCHIWUM FIANNA PAULA // GRAŻYNA MAKARA // ADRIANNA IWANEJKO

6 Strategia pozorów
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Jutro na raty
MAREK RABIJ
Jak nas otumania Black Friday

26 I tak pójdę do lasu
ROZMOWA Z PAULINĄ BOWNIK, LEKARKĄ

28 Ciemności nie widzę
KRZYSZTOF STORY
o zanieczyszczonych światłem Siechnicach

31 Epidemia śmierci
PIOTR WÓJCIK
o nadmiarowych zgonach

Z ODDECHEM

34 Babcia Babia
MARCIN ŻYŁA

WIARA

40 W pętli
ROZMOWA Z S. BARBARĄ CHYROWICZ, ETYKIEM

44 Dzień Syna Człowieczego
PIOTR SIKORA *na początek Adwentu*

46 Prezbiterki
KAROL WILCZYŃSKI
o luteranach dopuszczających ordynację kobiet na prezbiterów i biskupów

ŚWIAT

50 Gry na granicach
WOJCIECH KONOŃCZUK

DODATEK SPECJALNY

Włóczy kultura

74 Polska przybiblioteczna
KRZYSZTOF ŻWIRSKI
Wrzuciliśmy do samochodu tobołek książek i ruszyliśmy na północny zachód

78 Co robi zdjęcie?
WOJCIECH NOWICKI
MuFo w Krakowie otwiera nową wystawę

80 Metamorfozy i odloty
DARIUSZ KOSIŃSKI
Propozycje teatrów na nowy sezon

84 Poza centrum
PIOTR KOSIEWSKI
Twórczość najciekawszych artystek i artystów młodego pokolenia

FELIETONY

33 JACEK PODSIADŁO **49** WOJCIECH BONOWICZ
66 HANNA KRALL **102** JAN KLATA
103 PAWEŁ BRAVO **110** STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: WŁODZIMIERZ WRÓBEL
Kraków, listopad 2021 r.
FOTO: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

53 Pandemia niesolidarnych
BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK Z AUSTRII
o lockdownie i obowiązku szczepień

55 Nowe pokolenie w Bundestagu
ŁUKASZ GRAJEWSKI *o zmianach w niemieckiej polityce*

59 Uchodźca w kurorcie
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z ALBANII:
Ewakuowani z Kabulu Afgańczycy trafili do hotelu nad Adriatykiem

HISTORIA

62 Żerań ruszył
HUBERT WILK:
70 lat temu powstała pierwsza w powojennej Polsce fabryka aut

NAUKA

68 Letimela
ROZMOWA Z LEE BERGEREM, PALEOANTROPOLOGIEM

KULTURA

90 Obóz przetrwania
ROZMOWA Z WIOLETTĄ GRZEGORZEWSKĄ, PISARKĄ

95 Ten od skrajności
GRZEGORZ JANKOWICZ
o pisarstwie Emmanuela Carrère'a

98 Święty Marcin wśród Pól
DOROTA KOZIŃSKA Z LONDYNU
o parafii oraz Academy of St Martin in the Fields

100 Zaklęta w anegdotę
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Bo we mnie jest seks"

102 W labiryncie niemczyzny
LEKTOR *o książce „Między literaturami"*

ZMYSŁY

104 Znaczy kapitan
ROZMOWA Z FIANNEM PAULEM, WIOŚLARZEM OCEANICZNYM

Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]
Dla nas wszystko szło w dobrą stronę. Koniec komunizmu, NATO, Unia. Dla moich dzieci odwrotnie: brexit, Trump, w Polsce wiadomo, no i pandemia – mówi **MIKOŁAJ ŁOZIŃSKI** w rozmowie z **KATARZYNĄ KUBISIOWSKĄ** tygodnikpowszechny.pl/podkast

Wesele w Kerali [Strona świata]
Sojusz regionalnych partii z południa, charyzmatyczna przywódczyni Zachodniego Bengalu i duchy komunizmu. Tak rodzi się opozycja wobec Narendry Modiego, premiera Indii – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

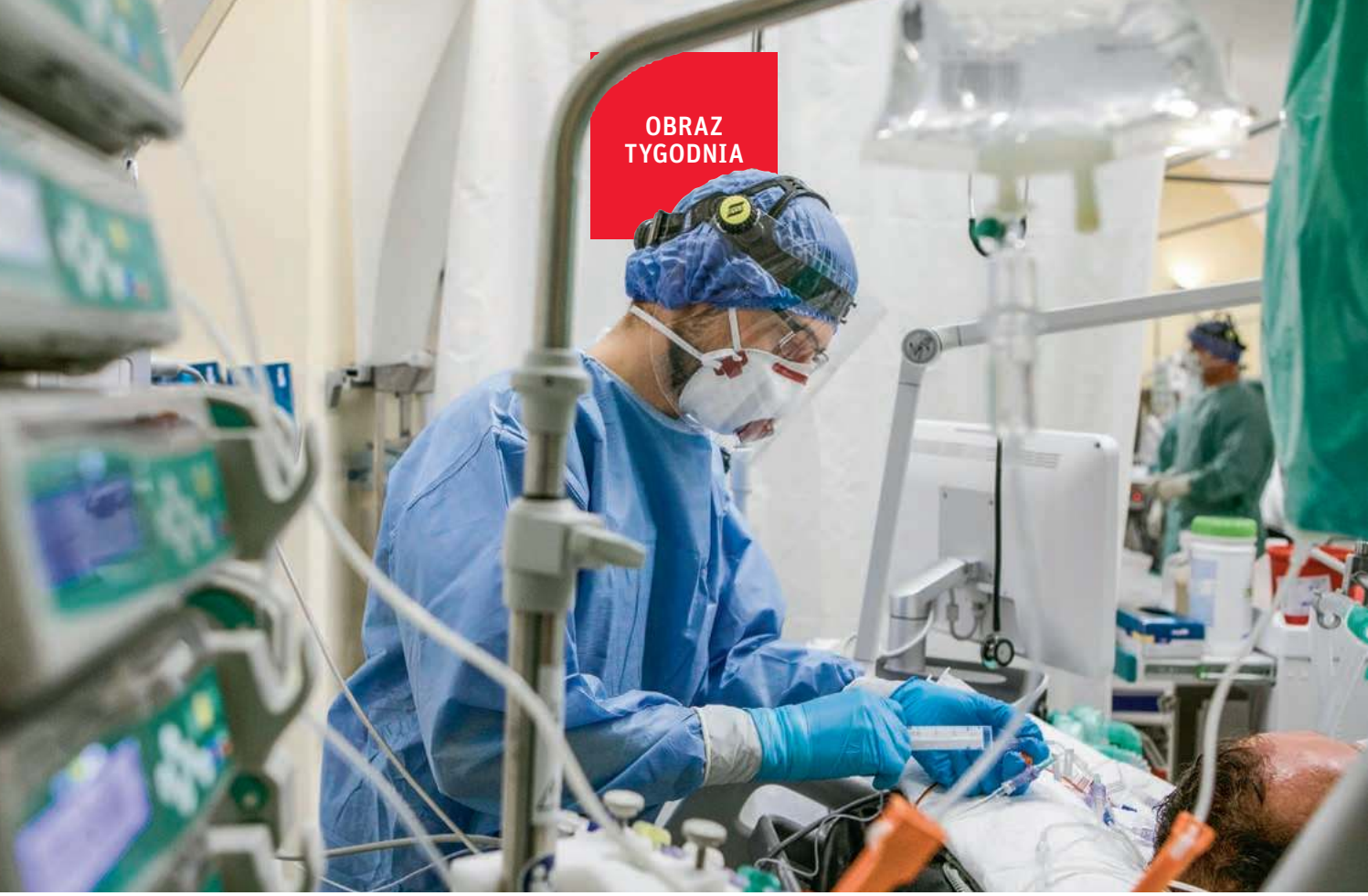

Oddział intensywnej terapii dla pacjentów chorych na COVID-19, Szpital Kliniczny nr 1 w Lublinie, 19 listopada 2021 r.

STRATEGIA POZORÓW

Polskie władze obchodzą się z antyszczepionkowcami jak z porcelanową figurką. Bardziej niż pandemii obawiają się poniesienia politycznych kosztów realnych działań.

MACIEJ MÜLLER

Lekarz, który nie został zaszczepiony przeciw żółtaczce, nie ma możliwości podjęcia pracy w szpitalu. Nikt bez książeczki sanepidu nie zostanie zatrudniony w gastronomii. Tym oczywistym i logicznym zasadom nie podlega szczepienie przeciw COVID-19: szefowie firm do dziś nie mają prawnej możliwości sprawdzenia, czy ich pracownicy zabezpieczyli się przed chorobą pustoszącą cały świat. Dyrektorzy szpitali, owszem, mogą odsunąć niezaszczepiony personel od zajmowania się pacjentami (jak w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku) – ale rząd za takie decyzje nie chce brać odpowiedzialności, pozostawiając je dyrektorom placówek.

Od dłuższego czasu trwa ciąg kabaretowych zapowiedzi ze strony resortu zdrowia i grupy posłów PiS, że lada chwila będzie procedowany projekt ustawy mającej dać pracodawcom możliwość zweryfikowania szczepień pracowników. Projektu do momentu zamknięcia tego numeru „TP" nie opublikowano, media podają za to, że część posłów „wycofuje podpisy".

Przepisy tego typu od dawna funkcjonują w wielu krajach Europy i są jednym z elementów strategii walki z pandemią. Innym jest wprowadzenie utrudnień w dostępie do sklepów, usług czy restauracji dla niezaszczepionych. To izolacja przede wszystkim dla ich własnego dobra, gdyż są oni nieporównywalnie bardziej narażeni na ciężki przebieg choroby i zgon.

Polskie władze obchodzą się z antyszczepionkowcami jak z porcelanową figurką. Według kierownictwa Ministerstwa Zdrowia Polaków cechuje szczególny charakter narodo-

wy, gen nieposłuszeństwa, który sprawia, że... nie przestrzegają oni prawa. Innymi słowy: wprowadzanie restrykcji antyepidemicznych nie ma sensu, ponieważ nikt nie będzie ich zachowywał. Nade wszystko zaś rząd boi się protestów społecznych – i wprost o tym mówi, także ustami premiera Morawieckiego. Faktycznie, przez Europę przetaczają się głośne manifestacje przeciwników szczepień. Te ostatnie, w Chorwacji, Austrii, we Włoszech czy w Holandii, miały ostry przebieg; w Rotterdamie manifestanci podpalali samochody i starli się z policją. Dla PiS-u nie jest zapewne obojętne, że za tymi protestami stoją przede wszystkim ugrupowania skrajnej prawicy. Jest więc nie tylko zakładnikiem części własnych posłów, ale obawia się obejścia z prawej strony przez Konfederację, otwarcie podważającą sens restrykcji.

Łamiąc starożytną zasadę: lepiej zapobiegać, niż leczyć, rząd całkowicie położył profilaktykę (wyszczepiono nieco ponad połowę populacji), a na wzrosty zakażeń reaguje właściwie tylko zwiększaniem liczby łóżek covidowych. Trudno realnym działaniem nazwać wysyłanie do zaszczepionych osób esemesów o możliwości przyjęcia trzeciej dawki. To przekonywanie przekonanych, pozór działania, jednak – co kluczowe – niewiążący się z kosztami politycznymi.

„Nasza strategia jest racjonalna i jak na razie się sprawdza" – przekonuje zadowolony z siebie minister Niedzielski. Ta „strategia" prowadzi do przekształcania kolejnych oddziałów szpitalnych w covidowe, a co za tym idzie – do odwoływania planowych zabiegów, a w końcu do ograniczenia pacjentom „niecovidowym" możliwości skorzystania z pomocy medycznej. Efektem bierności może być to, czego rząd tak bardzo chce uniknąć: całkowity lockdown, wymuszony przez kompletną blokadę systemu ochrony zdrowia. Gorszy jest jednak inny koszt. Niektórzy eksperci nazywają obecną falę pandemiczną – falą śmierci. I podają, że od początku roku odnotowano już ponad 80 tys. tzw. nadmiarowych zgonów. ©℗

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Kryzys na granicy może potrwać długo

TO TYLKO POZORNA DEESKALACJA – choć w ostatnich dniach Alaksandr Łukaszenka zrobił dużo, by zapozować przed Zachodem jako polityk ugodowy, kryzys na granicy polsko-białoruskiej się nie kończy. Usunięcie ok. 2 tys. migrantów z rejonu przejścia Kuźnica Białostocka–Bruzgi (gdzie wcześniej strona polska użyła przeciwko nim gazu łzawiącego i armatek wodnych), wywiad dla BBC, w którym białoruski lider przyznał, że jego żołnierze „mogli pomagać" w nielegalnym przekraczaniu granicy, oraz pierwszy lot repatriacyjny z Mińska do Iraku (w najbliższych dniach podobne planuje Warszawa) mogły wyglądać jak ustępstwa – jednak w terenie Łukaszenka ciągle dąży do konfrontacji.

Według informacji Straży Granicznej w miniony weekend mniejsze grupy ludzi kierowane były przez Białorusinów na kolejne odcinki granicy. W niedzielę 21 listopada grupa ok. 150 cudzoziemców usiłowała ją nielegalnie przekroczyć w okolicy wsi Dubicze Cerkiewne (pow. Hajnówka) – białoruskie służby miały oślepiać laserami polskich pograniczników, a nawet dowieźć kładkę do przejścia przez zasieki.

Od początku roku łącznie doszło do ponad 36 tys. prób nielegalnego przekroczenia granicy polsko-białoruskiej, z czego 17,3 tys. miało miejsce w październiku i ponad 6 tys. w pierwszych trzech tygodniach listopada. W ośrodkach strzeżonych po polskiej stronie przebywa 1838 osób, dwie trzecie z nich to obywatele Iraku.

Z Łukaszenką kilkakrotnie rozmawiała kanclerz Angela Merkel, co spotkało się z chłodnym przyjęciem władz Polski i państw bałtyckich, a także białoruskiej opozycji. Premier Mateusz Morawiecki – który spotkał się w weekend z premierami Estonii, Łotwy i Litwy – nie wyklucza, że razem z sąsiadami Polska może uruchomić 4. artykuł traktatu północnoatlantyckiego. Zobowiązuje on państwa członkowskie NATO do konsultacji w razie zagrożenia „integralności terytorialnej, niezależności politycznej lub bezpieczeństwa" jednego z nich. Na stole jest wciąż opcja blokady wymiany towarowej z Białorusią – ruch, który niósłby również konsekwencje dla Rosji.

W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" były minister spraw zagranicznych Adam Rotfeld ocenił, że eskalując od lipca kryzys Łukaszenka nie osiągnął swoich celów: zdyskredytowania Polski, podważenia jedności Unii Europejskiej oraz poluzowania sankcji nałożonych na Białoruś po sfałszowanych wyborach prezydenckich w 2020 r. Jednak mimo niemal bezwarunkowego poparcia dla polityki Warszawy przez Unię – w tym dla sprzecznych z prawem międzynarodowym, a w kraju niedawno pośpiesznie zalegalizowanych tzw. push-backów – takie postępowanie negatywnie odbija się na wizerunku Polski.

Ludzki, najboleśniejszy wymiar kryzysu to już co najmniej 10 osób, które zmarły na granicy polsko-białoruskiej. W niedzielę 21 listopada przed kościołami katolickimi w całym kraju odbyła się zbiórka na rzecz migrantów. „Bez uszczerbku dla bezpieczeństwa Rzeczypospolitej i jej obywateli, osobom potrzebującym trzeba okazać naszą solidarność – napisał, wzywając wiernych do pomocy, przewodniczący Episkopatu abp Stanisław Gądecki. – W obecnej sytuacji przesłanie przypowieści o miłosiernym Samarytaninie brzmi jeszcze bardziej nagląco i czeka na powszechną realizację, także w postrzeganiu samych migrantów".

W najbliższych dniach na pograniczu ma spaść pierwszy śnieg. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Na granicy polsko-białoruskiej w pobliżu przejścia granicznego Kuźnica–Bruzgi, 22 listopada 2021 r.

KACPER PEMPEL / REUTERS / FORUM

PROF. ALEKSANDRA CIAŁKOWSKA-RYSZ:

Hospicjom grozi zamknięcie

MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Kilka dni temu ogłosiła Pani na portalu niepelnosprawni.pl kryzys opieki paliatywnej i hospicyjnej.

ALEKSANDRA CIAŁKOWSKA-RYSZ: Nazwijmy to trudną sytuacją, jakiej od dawna w tym sektorze nie było. W innych obszarach ochrony zdrowia w ostatnich latach rewaloryzowano stawki za usługi medyczne – my pozostajemy na poziomie wyceny z 2015 r. Tymczasem wedle szacunków przedstawionych w ostatni weekend na Forum Medycyny Paliatywnej koszty utrzymania placówek wzrosły od tamtego momentu o 30 proc. To głównie efekt podwyżek cen leków, środków opatrunkowych, materiałów ochronnych, a także wzrostu płac dla personelu.

Które jednostki mają najgorzej?
Stosunkowo nieźle funkcjonują oddziały medycyny paliatywnej szpitali, gorzej hospicja stacjonarne – niektórym grozi zamknięcie lub ograniczenie działalności. Przez lata uzupełniały niedobory pieniędzmi z datków, ale przez ostatnie półtora roku trudniej było organizować otwarte akcje, takie jak zbiórki pod kościołami.

Jest i inny wymiar kryzysu: do hospicjów trafiają ludzie, których onkologiczna terapia była – za sprawą pandemii – opóźniona lub zaniechana.
Zaczynamy odczuwać pierwsze symptomy pojawiania się tej fali pacjentów. A to nie tylko dramat ludzki, ale też dodatkowy koszt. Bo jeśli na oddział albo do hospicjum trafia osoba, której wcześniej nikt nie poddał porządnej diagnostyce, to musi te badania wykonać właśnie hospicjum.

Dodatkowo w niektórych placówkach trwa lockdown. W jednym z hospicjów usłyszałem, że od początku epidemii większość pożegnań odbywa się przez szybę bądź online.
Być może, ale to nie efekt odgórnych wytycznych, lecz wewnętrznych regulacji hospicjów. W większości odwiedziny są już możliwe, choć nie na warunkach sprzed marca 2020 r., gdy dobre hospicja dopuszczały obecność odwiedzających 24 godziny dobę, a także pozostanie kogoś z rodziny na noc tuż przed spodziewaną śmiercią pacjenta. Teraz to jest zwykle niemożliwe.

PROF. ALEKSANDRA CIAŁKOWSKA-RYSZ *jest prezeską Polskiego Towarzystwa Medycyny Paliatywnej.*

KRAJ W SKRÓCIE

SAMOCHODY

Donald Tusk jechał z prędkością 107 km/h w terenie zabudowanym. „Jest przekroczenie przepisu drogowego, jest kara zatrzymania prawa jazdy na 3 miesiące plus 10 punktów i mandat. Adekwatna. Przyjąłem ją bez dyskusji" – napisał na Twitterze lider PO, ale nie przeprosił. Jego sympatycy rzucili się do wypominania wszystkich incydentów drogowych z udziałem polityków PiS.

POCIĄGI

Komunikacja zbiorowa nie wydaje się atrakcyjną alternatywą dla byłego premiera: jak informuje „Rzeczpospolita", w trzecim kwartale 2021 r. aż 11 proc. pociągów pasażerskich zanotowało opóźnienia.

CZOŁGI

NBP wyemituje banknot i monetę poświęconą „obronie polskiej granicy wschodniej", a Jacek Kurski zapowiedział zorganizowanie przez TVP koncertu dla żołnierzy. Niestety, nie będzie mógł im puścić transmisji skoków narciarskich, które od tego weekendu nadaje TVN.

PIECHOTA

Poseł Janusz Kowalski oskarżył w Radiu Zet prof. Andrzeja Horbana o to, iż groził mu nożem, bo epidemiolog powiedział, że „nóż otwiera mu się w kieszeni". „Może pan poseł ma wyrzuty sumienia, że wiele osób uwierzyło w jego propagandę szczepionkową i teraz właśnie umiera?" – odpowiedział szef Rady Medycznej przy premierze.

LICZBA TYGODNIA

13588

tyle zdjęć zrobił od początku roku najwydajniejszy fotoradar w Polsce, zamontowany w Warszawie przy ul. Spacerowej.

Pod egidą inflacji

„TO MA BYĆ TARCZA, która częściowo zamortyzuje wzrost cen ciepła, gazu, paliw czy żywności" – zapowiedział w wywiadzie dla PAP Mateusz Morawiecki. A jako że Polska Agencja Prasowa nie słynie ostatnio z dociekliwości w stosunku do polityków obozu rządzącego, więcej szczegółów wydobyła stacja RMF FM. Z jej informacji wynika, że elementem tarczy antyinflacyjnej, obok dopłat do prądu dla ok. 2,6 mln najuboższych gospodarstw domowych, będzie ograniczenie marż stacji benzynowych i rafinerii.

Dobrze, że rząd w końcu decyduje się na działania, rzecz jedynie w tym, iż są one bardzo mocno spóźnione. W przypadku benzyny problem nie sprowadza się wyłącznie do marż, bo koncerny paliwowe już poczuły, że klienci ograniczają zakupy na stacjach i same ograniczają zyski. Ceny paliw pcha w górę także drożejący dolar. Złotego osłabia brak zaufania inwestorów do polityki NBP oraz niepokojąca sytuacja przy wschodniej granicy. Wydatki na tarczę antyinflacyjną rząd pokryje zapewne z długu, gasząc zatem wzrost cen wzmocni jeden z najsilniejszych czynników proinflacyjnych. ©℗ MR

Bez Lewandowskiego

POLSKA PRZEGRAŁA u siebie z Węgrami 1:2 i straciła szanse na rozstawienie w barażach kończących eliminacje do MŚ w Katarze. W meczu z silnym rywalem niespodziewanie nie zagrał Robert Lewandowski, choć kilka dni wcześniej wystąpił ze słabiutką Andorą. „Sygnalizowałem, że grając tak dużo spotkań i znając swój organizm, mogę nie być w optymalnej dyspozycji w obu meczach", a „trener słusznie nie chciał zlekceważyć meczu z Andorą" – czytamy w oświadczeniu piłkarza, przyznającego: „decyzja na końcu zawsze należy do trenera, ale potwierdzam, że była ona ze mną uzgodniona". Zważywszy na rozmiar wizerunkowych strat poniesionych na skutek tego zawiłego komunikatu, trudno uznać, że oświadczenie kapitana kadry pisali specjaliści od wizerunku. Gorzej, że straty są także sportowe: najlepszego piłkarza świata może zabraknąć na mundialu. ©℗ MO

Więcej: **powszech.net/niewystep**

GARY KAZANJIAN / AP / EAST NEWS

PONAD TRZY I PÓŁ TYSIĄCA sekwoi wiecznozielonych spłonęło w tym roku w Kalifornii. Jeszcze do niedawna te największe na świecie drzewa, sięgające 60 metrów, które rosną tylko w kilkudziesięciu stanowiskach po zachodniej stronie gór Sierra Nevada, uchodziły za „niepalne". Coroczne susze nękające zachodnie stany USA oraz gwałtowne pożary wywołane piorunami zweryfikowały to przekonanie: w ostatnich dwóch latach w ogniu zginęło blisko 20 proc. populacji sekwoi. Wysokie temperatury zniszczyły też nasiona pozostałych drzew, często wielowiekowych (dożywają one do 2 tys. lat). Na zdjęciu: spalona sekwoja w Kings Canyon National Park w Kalifornii, 19 listopada 2021 r. ©℗ EA

Chiny–USA: protokół rozbieżności

PIOTR BERNARDYN

Konkretów z trzyipółgodzinnej rozmowy, którą w minionym tygodniu odbyli wirtualnie przywódcy USA i Chin, jest jak na lekarstwo. Joe Biden oraz Xi Jinping zgodzili się tylko poluzować restrykcje wizowe dla dziennikarzy, jedyną zaś realną płaszczyzną współpracy między stronami, choć wciąż bez konkretów, wydaje się dziś polityka klimatyczna. Szczytu nie zakończył nawet wspólny komunikat.

Spotkanie, mimo że prowadzone w kurtuazyjnym tonie – Xi nazwał swojego rozmówcę „starym przyjacielem" – unaoczniło za to skalę wzajemnych podziałów. Biden, który chętnie określa swoją prezydenturę jako starcie demokracji z autorytaryzmem, mówił o chińskich represjach w Sinciangu, Tybecie i Hongkongu, o kradzieży własności intelektualnej i zawłaszczaniu Morza Południowochińskiego przez Państwo Środka. Wobec Tajwanu opowiedział się za utrzymaniem *status quo*.

Xi przestrzegł natomiast, że tworzenie ideologicznego bloku przeciw Chinom skończy się katastrofą. Odrzucił próby mieszania się – jak to ujął – Zachodu w wewnętrzne sprawy Chin, a wsparcie USA dla Tajwanu przyrównał do igrania z ogniem. Jego opinia, że na świecie wystarczy miejsca dla ambicji obu krajów, może brzmieć pojednawczo. Jednak przesunięcie akcentów w retoryce Chin jest wyraźne: chcą być traktowane na równi z USA, a nie tylko jako regionalne mocarstwo. Reżimowe media z satysfakcją podkreślały, że to Biden poprosił o spotkanie.

Pekin coraz otwarciej głosi wyższość swego modelu rządów nad zachodnim, a jako argumenty przywołuje chaos w krajowej i zagranicznej polityce USA oraz sukcesy Chińczyków w walce z pandemią. Chłonięciu tej propagandy wewnątrz Chin sprzyja ich samoizolacja – od blisko dwóch lat Państwo Środka pozostaje odcięte od świata (poza handlem), a prezydent Xi nie złożył w tym czasie żadnej wizyty państwowej.

Większość zagranicznych mediów zdobyła się jednak na ostrożny optymizm po szczycie – choćby dlatego, że w ogóle rozmawiano. Możliwe są też cząstkowe porozumienia: wobec Iranu, w polityce energetycznej, a nawet negocjacje dotyczące kontroli arsenałów atomowych. Z pewnością lepsze to niż zapaść, w jakiej były ostatnio wzajemne relacje. ©

Nord Stream 2 musi poczekać

O PÓŁ ROKU może się opóźnić oddanie do użytku gotowego już rurociągu Nord Stream 2 – mimo iż prezydent Rosji wyrażał nadzieję, że gaz popłynie nim natychmiast, a ministerstwo gospodarki Niemiec wydało niedawno konieczne poświadczenie, iż rurociąg „nie zagraża bezpieczeństwu gazowemu Niemiec i UE" (z taką tezą polemizują krytycy NS2).

Tymczasem Federalna Agencja ds. Sieci (Bundesnetzagentur), która musi dopuścić NS2 do użytkowania, nieoczekiwanie zawiesiła w minionym tygodniu certyfikację rurociągu (taką procedurę przewiduje unijne prawo), argumentując, że jego właściciel – spółka Nord Stream, będąca własnością rosyjskiego Gazpromu – jest zarejestrowana w Szwajcarii, co stoi w sprzeczności z unijnymi przepisami. Procedura certyfikacji zostanie podjęta na nowo, gdy Nord Stream powoła spółkę córkę prawa niemieckiego, która stanie się właścicielem i operatorem 85-kilometrowego odcinka rurociągu biegnącego przez teren Niemiec.

Decyzja ta ma charakter formalny – jeśli ktoś miał nadzieję, że może to być forma nacisku ze strony Niemiec na Kreml, aby zaprzestał eskalować sytuację na granicach z Unią i Ukrainą [piszemy o tym w dziale Świat – red.], to był w błędzie. Wszystko wskazuje, że NS2 zostanie uruchomiony – spośród partii, które utworzą w Niemczech nowy rząd, gazociąg popierają socjaldemokraci i liberałowie. Tylko Zieloni są mu przeciwni: uważają, że NS2 to narzędzie, którym Rosja będzie realizować swoją destrukcyjną politykę wobec Unii i Ukrainy.

Informacja, że NS2 ma opóźnienie, wywołała wzrost cen hurtowych na rynku gazu o 10 proc. Wcześniej Rosja sygnalizowała, że nie zwiększy dostaw do Unii, jeśli NS2 nie zostanie szybko uruchomiony. W ten sposób kryzys gazowy w Unii – którego Rosja nie wywołała, ale do którego znacząco się przyczynia – może się jeszcze pogłębić.

©℗ WP / FAZ, OSW, DPA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

FIASKO

W kościele św. Piotra w Calais we Francji bez sukcesu skończył się 17 listopada protest głodowy przeciw łamaniu praw człowieka przez służby antyimigracyjne. Przez 38 dni głodowało dwóch wolontariuszy Caritasu oraz 72-letni jezuita Philippe Demeestère (na zdj.), który ze względu na stan zdrowia głodówkę zakończył już 4 listopada. Domagali się powstrzymania na czas zimowy likwidacji obozowisk imigrantów i konfiskowania ich rzeczy.

ROBIN TUTENGES / AFP

WDZIĘCZNOŚĆ

„Dziękuję za rzucenie światła na życie i świadectwo licznych księży, sióstr zakonnych i świeckich, którzy zdecydowali się towarzyszyć, wspierać i pomagać swoim braciom i siostrom, którzy byli chorzy na AIDS, z wielkim niebezpieczeństwem dla ich zawodu i reputacji" – odpowiedział papież na przesłanie mu książki napisanej przez dziennikarza jezuickiego magazynu „America" Michaela O'Loughlina – geja i katolika, opisującej pracę osób na rzecz homoseksualistów chorych na HIV.

GWARANCJA

Wbrew temu, co wielu myśli, wnioski końcowe synodu o synodalności nie zostały już z góry napisane. Nie ma też woli narzucenia jednej linii myślenia – mówił kard. Mario Grech w wideoprzesłaniu do amerykańskich biskupów. Sekretarz generalny Synodu Biskupów zapewnił, że w punkcie wyjścia żadne ze stanowisk nie jest ważniejsze od innych.

Przepisy o odpowiedzialności biskupów do poprawy

ARTUR SPORNIAK

W CZERWCU PRZYSZŁEGO ROKU KOŃCZY SIĘ trzyletni okres próbny po wprowadzeniu przez papieża przepisów dotyczących badania zaniedbań biskupów w przypadkach wykorzystywania seksualnego małoletnich przez duchownych. To odpowiedni moment, by prawa te zrewidować. Dlatego podczas ostatniego zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski jej delegat ds. ochrony dzieci i młodzieży abp Wojciech Polak zgłosił gotowość przesłania takich uwag – „jeżeli Stolica Apostolska o coś takiego poprosi".

W Polsce kanoniści już dyskutują na ten temat – np. na Wydziale Prawa Kanonicznego UPJPII w Krakowie odbyło się niedawno sympozjum pt. „Przełożony – podwładny. Odpowiedzialność prawna w Kościele". Uczestniczący w nim kierownik biura abp. Polaka ks. Piotr Studnicki przypomniał w rozmowie z KAI, że zgodnie z papieskim dokumentem „Vos estis lux mundi" przeprowadzono w naszym kraju już 11 postępowań dotyczących biskupów – „stąd opinia, że Polska zaczęła być poligonem doświadczalnym dla tego dokumentu".

Jakie słabości ujawniły nowe kościelne normy? Przede wszystkim wadą jest ich fragmentaryczność – dotyczą jedynie wstępnego dochodzenia, które ma rozpoznać zakres odpowiedzialności kościelnego przełożonego. Sam proces jego osądzania przez watykańskie dykasterie owiany jest tajemnicą, zaś kary nakładane przez papieża wydają się arbitralne. Zwłaszcza z punktu widzenia osób skrzywdzonych mają charakter jedynie symboliczny (zwykle jest to zakaz działalności publicznej), z kolei hierarchia skarży się, że niesprawiedliwa jest ich bezterminowość i podkreśla, że nawet wyroki dla księży-przestępców są czasowe. Enigmatyczność ogłaszanych wyroków nie służy także sprawiedliwości – nie wiadomo bowiem, za jakie zaniedbania dany biskup został ukarany.

To wszystko sprawia, że pociąganie do odpowiedzialności biskupów wciąż jest w Kościele procesem nietransparentnym. ©℗

Odkrycie starożytnej bazyliki diakonis

ARCHEOLOGOWIE nie spodziewali się natrafić na stanowisku Ashdod-Yam na kościół, a już na pewno nie na największą bizantyjską bazylikę odsłoniętą dotąd na terenie Izraela. W starożytności istniało tu Azotos Paralios, duże miasto widoczne na mozaikowej mapie z Madaby (VI w.).

Odkrycie zwraca uwagę z dwóch powodów. Po pierwsze, grobowce, które umieszczono w nawach, zostały użyte ponownie. W VI w. bezładnie wrzucono do nich ciała, co wskazuje na pochówki z czasu zarazy i pokrywa się z informacjami o wielkiej epidemii z czasów cesarza Justyniana, na którą dotąd nie było wielu archeologicznych dowodów.

Ale co bardziej intrygujące, w bazylice znajduje się bardzo wiele inskrypcji odnoszących się do posługi diakonis. Niektórzy badacze nazwali wręcz ten kościół „bazyliką diakonis". Napisy dotyczą m.in. świętej matki Sofronii, diakonisy Teodozji, Gregorii i Severy. Niby nic nowego, bo wiemy, że w starożytności w wielu miejscach posługiwały diakonisy – ale ponieważ obecnie trwają debaty nad ich dokładną rolą, warto z zainteresowaniem przyglądać się badaniom bazyliki z Ashdod-Yam. © ZR

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MAREK RABIJ porozmawia z Agnieszką Lichnerowicz o konsumpcji i klimacie (tekst na s. 22).

Słuchaj „Światopodglądu" Radia TOK FM w czwartek 25 listopada o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Jedność stymulowana

BISKUPI USA niemal jednogłośnie (222:8) przyjęli dokument o komunii, w którym nie ma zakazu udzielania jej politykom popierającym aborcję. Wynik zaskakuje, bo dotąd wielu hierarchów broniło pomysłu reglamentowania Eucharystii (zwłaszcza prezydentowi Joe Bidenowi), a postulowany zakaz stał się najważniejszym elementem „wojny kulturowej" i politycznych podziałów w amerykańskim Kościele.

W wyjaśnienia, że wygrała synodalność (wzajemne słuchanie, modlitwa i rozeznanie), mało kto wierzy. Skuteczny okazał się raczej nacisk Watykanu: list prefekta Kongregacji Nauki Wiary, lobbing nuncjusza, serdeczność okazana Bidenowi podczas niedawnej wizyty w Watykanie, a przede wszystkim apele papieża, by nie traktować komunii jako nagrody dla sprawiedliwych.

Jedność udało się uratować, choć pewnie nie na długo.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

DOMY

Do połowy stycznia 2022 r. w słynnym Pavillon de l'Arsenal w Paryżu otwarta będzie wystawa „Moving Architecture" prezentująca najbardziej znane projekty polskiego architekta Roberta Koniecznego. Jego Dom Kwadrantowy wygrał właśnie konkurs Iconic Awards 2021 w dwóch kategoriach: innowacyjna architektura i innowacyjny materiał. To już druga międzynarodowa nagroda dla tego budynku.

ŻABY

Złotą Żabę zakończonego właśnie festiwalu EnergaCAMERIMAGE otrzymał operator Robbie Ryan za zdjęcia do filmu „C'mon C'mon". Srebrna Żaba przypadła Bruno Delbonnelowi za zdjęcia do „Tragedii Makbeta" Joela Coena, a brązowa – Greigowi Fraserowi za zdjęcia do „Diuny", filmu, w którym, zdaniem jurorów „udało się zbudować monumentalny świat będący jednocześnie intymną symbiozą natury i światła". W konkursie polskim nagrodę otrzymali reżyser Piotr Domalewski i operator Piotr Sobociński jr za „Hiacynta".

SERIALE

Choć netfliksowa ekranizacja prozy Andrzeja Sapkowskiego z Henrym Cavillem w roli głównej nie przypadła do gustu wszystkim fanom sagi o Wiedźminie, serial oglądał się rewelacyjnie. Premiera najnowszych odcinków drugiego sezonu zaplanowana jest na 17 grudnia, a Netflix zaprezentował właśnie jego oficjalny trailer.

NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

BARBARA GORTAT / FUNDACJA TU BRZOZA

„FOLKOWE PRZYSTANKI" to projekt Fundacji Tu Brzoza, która od 2015 r. kształtuje rzeczywistość łódzkich wsi, zamieniając obskurne budy w malowane dzieła sztuki. Działalność tę doceniła kapituła nagrody „Dla dobra wspólnego" przyznawanej przez Prezydenta RP. Założycielki Fundacji, siostry Paulina i Barbara Gortat, zostały nominowane w kategorii „dzieło – przedsięwzięcie, projekt". Nagradzane są inicjatywy, które umacniają świadomość obywatelską, solidarność i zachęcają do podejmowania aktywności na rzecz dobra wspólnego. Na zdjęciu „Kobieta z kurą" Juliana Fałata namalowana przez Sylwestra Stabryłę na przystanku w miejscowości Sędów, gmina Wartkowice, woj. łódzkie. ©℗ JT

Piktogramy są 👍 Ale czytamy je powoli

NIEMIECKA LINGWISTKA CYFROWA prof. Tatjana Scheffler zbadała, w jaki sposób mózg interpretuje komunikację za pomocą ikonek. „Postanowiliśmy sprawdzić, czy czytanie emoji jest bardziej podobne do czytania słów czy do interpretowania obrazów" – wyjaśnia.

Jej zespół mierzył czas potrzebny do przeczytania zdań zapisanych z emoji i bez nich oraz sprawdzał poziom zrozumienia treści. „Osoby badane z łatwością rozumiały zdania z emotikonami zamiast rzeczowników" – mówi Scheffler. Problemem nie jest także korzystanie z emoji jako homofonów. Stwierdzenie „dziś w Krakowie jest gęsty 🍲" pozostaje zrozumiałe.

Mózg przetwarza je jednak nieco inaczej niż słowa. Średni czas czytania wyrazów przez osoby badane wynosił ok. 450 milisekund, emoji ok. 800 ms, a emoji-homofonu ponad 900 ms.

Wskazuje to, że rozumienie emoji przebiega w kilku etapach. Najpierw interpretowany jest obraz, następnie dopasowywane słowo. Rozumienie homofonów wymaga dodatkowego kroku. „Emotikon stanowi kompletny »wpis leksykalny«, zawierający informacje o wymowie. Z niego wyprowadzane jest homofoniczne znaczenie" – wskazuje lingwistka.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Rozmiar ma znaczenie

POWSZECHNIE UWAŻA SIĘ, że wyznacznikiem siły wiązań chemicznych jest różnica tzw. elektroujemności pierwiastków wchodzących w skład tych wiązań. Elektroujemność jest wielkością tablicową, czyli przypisaną poszczególnym pierwiastkom. Jej wartości po raz pierwszy zostały wyznaczone eksperymentalnie w 1932 r. przez Linusa Paulinga. W ogólności elektroujemność rośnie w obrębie okresów oraz maleje wewnątrz grup układu okresowego pierwiastków chemicznych. Oznacza to, że np. wiązanie węgiel-węgiel jest słabsze niż węgiel-fluor, gdyż fluor znajduje się w dalszej części tego samego okresu co węgiel i ma od niego większą elektroujemność. Im wiązanie jest silniejsze, tym więcej energii trzeba dostarczyć, by je rozerwać.

Jednakże, jak dowodzi zespół Evy Blokker, w niektórych przypadkach to nie elektroujemność decyduje o sile wiązań. Holenderskim uczonym udało się zbadać poszczególne składowe energii wiązań chemicznych. Zauważyli oni, że w przypadku pewnych wiązań między atomami pierwiastków tej samej grupy o ich energii decyduje nie elektroujemność, ale wielkość nazwana efektywnym rozmiarem atomowym, powiązana z liczbą protonów i elektronów w jądrze atomu. Ta obserwacja stawia pod znakiem zapytania nasz podręcznikowy model energii wiązań chemicznych.

© MARTA BIELIŃSKA

TEMAT TYGODNIKA

SĘDZIOWIE Z INNEJ PLANETY

Polacy sędziów nie szanują, ale się ich boją. Twierdzą, że są zarozumiali i mówią skomplikowanym językiem. Trudno się dziwić, że kolejne plany wywrócenia do góry nogami wymiaru sprawiedliwości obchodzą tak niewielu.

MAREK KĘSKRAWIEC

Gwałtowne przekształcenia, jakim poddano Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy i Krajową Radę Sądownictwa, od dwóch lat nie natrafiają na znaczący opór społeczny. Demonstracje w obronie sądów wygasły, a od początku pandemii jedynym tematem, który wyciągnął tysiące Polaków na ulice, było zaostrzenie prawa aborcyjnego. Nawet ostatnie pomysły spłaszczenia struktury sądów i ustanowienia sędziów pokoju, choć mocno wpłyną na życie każdego z nas, wzbudziły emocje głównie wśród prawników i sejmowej opozycji. Jak to możliwe?

Z ubiegłorocznych badań CBOS wynika, że 43 proc. Polaków ocenia pracę sądów negatywnie, a dobre zdanie na ich temat ma zaledwie jedna trzecia społeczeństwa. To i tak nie najgorszy wynik w porównaniu z wcześniejszymi badaniami. Bardziej niepokojące jest coś, co zauważają również sami sędziowie i adwokaci. Polacy czują lęk przed sądami i niezbyt wierzą, że stoją one na straży sprawiedliwości. Denerwuje ich przewlekłość postępowań (kosztująca budżet rocznie ok. 5 mln zł), skomplikowane procedury i niezrozumiały język. Od lat panuje też przekonanie, że w sądach istnieje korupcja. Kiedy Zjednoczona Prawica przejmowała władzę, uważało tak aż 30 proc. Polaków, choć ich opinia oparta była bardziej na emocjach niż konkretnych przypadkach. Podobnie jest zresztą w kwestii czasu trwania postępowań.

Na tle Europy znajdujemy się lekko poniżej średniej, ale i tak mamy cztery razy lepszy wynik, niż tkwiące w kompletnym paraliżu Włochy. Władza uznała jednak, że społeczeństwo o tym nie wie, więc nie będzie bronić sądów, jeśli niezależność ograniczy im etapowo. Dziś przeprowadzany jest ostatni, a zarazem jeden z najważniejszych aktów tej operacji.

– Zapowiedziane w ubiegłym tygodniu „reformy" są elementem realizowanego od kilku lat pakietu, który ma ostatecznie zlikwidować niezależność sądów, zastraszyć lub usunąć odważnych sędziów oraz wpompować do systemu ludzi posłusznych władzy – uważa mecenas Michał Wawrykiewicz, współtwórca Inicjatywy Wolne Sądy. – Na końcu, w związku z planowaną zmianą struktury wymiaru sprawiedliwości, wszyscy sędziowie będą musieli otrzymać ponowną nominację od neo-KRS. Niewygodni zostaną negatywnie zweryfikowani lub nie wezmą udziału w tym teatrze, a reszta, godząc się na ocenę przez nielegalną instytucję, pozostanie w sądach, ale już „naznaczona piętnem".

Dlaczego Polacy nie obronili sądów

– Jeden z moich klientów chodził na wszystkie demonstracje – opowiada dr Marcin Sala-Szczypiński, dziekan Okręgowej Izby Radców Prawnych w Krakowie. – Aż pewnego dnia matka jego dziecka odmówiła mu ustalonych wyrokiem cyklicznych kontaktów z synem. W lutym złożyłem wniosek do sądu w celu wyegzekwowania prawa ojca. Rozprawa odbędzie się dopiero teraz, po dziewięciu miesiącach, choć w międzyczasie była Wielkanoc, urodziny syna, wakacje. Mówimy tu o zrozpaczonym ojcu i 11-letnim chłopcu, który do prawidłowego rozwoju potrzebuje kontaktu z tatą. Dziś mój klient już nie broni sądów, prędzej zrównałby je z ziemią.

To typowa sytuacja: oceny wymiaru sprawiedliwości spadają zazwyczaj wtedy, gdy ktoś dostanie się w jego tryby. Sala-Szczypiński uważa, że jedną z przyczyn zjawiska jest to, iż niektórym sędziom nie zależy na sprawnym i szybkim prowadzeniu rozpraw. Są one wyznaczane co kilka miesięcy, a sędziowie tolerują przeciąganie procesów. Nagminne są zwolnienia lekarskie czy też wysyłanie przez pełnomocników lub strony niepodpisanych dokumentów, co potem uzupełnia się tygodniami. Do tego dochodzą biegli, którzy czasem potrzebują kolejnych kilku miesięcy na ekspertyzę. Jeśli dotyczy to rynku nieruchomości, gdzie ceny szybko się zmieniają, opinia staje się parodią. Sędziowie na to pozwalają, natomiast wtedy, gdy potrzeba okazać stronom zrozumienie, nagle stają się formalistami.

– Pamiętam sprawę przedsiębiorcy walczącego o wynagrodzenie i odsetki za towar – opowiada Sala-Szczypiński. – Przyjechał na pierwszą rozprawę z ważnym dowodem, potwierdzeniem wydania towaru. Sędzia nie przyjął dokumentu, bo prawo ↦

MONTAŻ TP-ONLINE // STOCK.ADOBE.COM

↦ mówi, że powinno się to zrobić wcześniej. Przepis ten jest jednak po to, by strony nie wyciągały dowodowych asów z rękawa na sam koniec. Tymczasem tu mówimy o człowieku, któremu zepsuła się kserokopiarka, a dowodów nie ukrywał, tylko trzymał je w ręce na pierwszej rozprawie, na oczach sędziego. Pozew został oddalony. Co dziś sądzi o wymiarze sprawiedliwości ten uczciwy i ciężko pracujący człowiek?

Do niedawna o takich historiach radcowie i adwokaci bali się opowiadać głośno, żeby nie odczuć potem szykan na sali rozpraw. Dziś jednak, kiedy okazało się, że bez poparcia społecznego polski wymiar sprawiedliwości może obronić jedynie TSUE, nawet samo środowisko sędziowskie zaczęło dostrzegać problem. Mówi o tym wprost prof. Andrzej Zoll, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, a później rzecznik praw obywatelskich: – Sędziom brakuje ludzkiego podejścia na sali rozpraw. Nie rozumiem np., dlaczego starsze osoby zeznają, czasem bardzo długo, stojąc. Czy majestat Rzeczypospolitej ucierpi, jeśli sędzia pozwoli świadkowi usiąść? Nie ucierpi, a w ten sposób zamiast poczucia niższości buduje się w ludziach szacunek i sympatię dla naszego środowiska.

Sędzia Barbara Piwnik, była minister sprawiedliwości, dodaje, że ona czasem pozwala usiąść nawet oskarżonemu i nie uważa, by od tego miała ucierpieć jej godność. To jednak dość rzadka postawa. O wiele częściej strony stykają się z butą i zarozumialstwem sędziów, co wywołuje niepotrzebny, dodatkowy stres i lęk. – U niedojrzałych jednostek ogrom władzy, jaki otrzymują, bywa zgubny dla ego – mówi mi anonimowo jeden z sędziów. – Moi koledzy mylą często niezawisłość i niezależność z nieomylnością. Spotkania z cierpiącymi na manię wielkości sędziami budzą u ludzi gniew, a przykre opowieści kolportowane są wśród rodziny i znajomych, niepotrzebnie wbijając klin pomiędzy sędziów a społeczeństwo.

Panie sędzio, o co panu chodzi?

Radca prawny Michał Krok, choć sam reprezentuje m.in. szykanowaną przez władze sędzię Beatę Morawiec, przyznaje, że sporo sędziów osobliwie rozumie swą pozycję w systemie wymiaru sprawiedliwości, co czasem objawia się w karykaturalnych próbach odseparowania się od świata. – Studiujesz z kimś pięć lat na roku, jesteście dobrymi znajomymi, aż pewnego dnia spotykasz tę osobę w todze sędziego i ona nie jest już z tobą na „ty", a nawet stara się nie słyszeć „dzień dobry". Taka postawa często przekłada się na stosunek do stron, zimny i pełen wyższości. Bywa, że sędzia potrafi spóźnić się 45 minut na pierwszą, poranną rozprawę i jeśli nawet za to czasem przeprosi, to mówi: „Sąd przeprasza za spóźnienie", zamiast powiedzieć to od siebie. Ludzie takie rzeczy pamiętają. I gdy nadchodzi dzień, kiedy trzeba walczyć np. o Trybunał, nie każdemu żal sędziów. No i potem mamy w TK skład, który nie posiada żadnego autorytetu w środowisku prawniczym.

Michał Krok dostrzega też inne zjawisko, które pogłębiło się jeszcze za rządów PiS. Sędziowie coraz częściej ograniczają się do ustalonych wykładni orzeczniczych, omijając okoliczności specyficzne dla konkretnej sprawy i dostosowując się do schematów narzuconych przez wyższe instancje. To forma lęku zawodowego: wolą orzekać „bezpiecznie", niż wychylić się z rozstrzygnięciem, w którym trzeba będzie się solidnie napracować nad uzasadnieniem, by przekonać drugą instancję.

Dystans, jaki tworzą sędziowie, oraz schematyzm w podejściu do spraw, potęguje język, jakim posługuje się część środowiska. – Każdy prawnik zna słynną anegdotę. Sędzia ogłosił i uzasadnił obszernie wyrok, a klient zwraca się do adwokata: „Mecenasie, ale to w końcu wygraliśmy czy przegraliśmy?". To nie jest miejska legenda, tak się naprawdę dzieje – mówi Michał Krok.

Podobne zdanie prezentuje sędzia Łukasz Piebiak, który przez cztery lata opracowywał w Ministerstwie Sprawiedliwości kontrowersyjne pomysły Zbigniewa Ziobry. – Część uzasadnień pisana jest tak, jakby kierowane były nie do stron procesu, ale do szefów, przed którymi trzeba się popisać – uważa. – Nie chodzi mi o to, że ma to być prostackie, ma to być po prostu zrozumiałe.

Zgodne opinie, wygłaszane przez prawników o bardzo różnych poglądach, mogą zaskakiwać. Zwłaszcza w kontekście powołania niemal 13 lat temu w Krakowie Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, która miała scentralizować nauczanie i stać się kuźnią nowoczesnych kadr.

– Ta szkoła nic nie pomogła w zmianie mentalności sędziów i lepszym przygotowaniu ich do zawodu – mówi otwarcie Barbara Piwnik. – Kształcenie przyszłego sędziego to powinna być codzienna praca z patronem, obecność na sali sądowej, w pokoju narad, możliwość dyskusji o problemach, a nie rozwiązywanie testów i uczenie się na pamięć orzeczeń sądów różnego szczebla. Gdybym mogła, tę szkołę bym rozwiązała.

Sędzia Piwnik uchodzi za osobę, która nie gryzie się w język. Kiedyś była ministrem sprawiedliwości w rządzie Leszka Millera, a dziś mówi się o jej sympatii dla PiS. Także dlatego, że ośmielała się twierdzić, iż zdecydowana większość ludzi wypowiadających się na temat reform sądowych nie ma pojęcia, na czym polegają problemy trzeciej władzy. Jej zdaniem ten brak wiedzy dotyczy również demonstrujących przed sądami i krzyczących „konstytucja".

– Byłam już „komuchem", teraz jestem „pisiarą", a ja po prostu zawsze miałam własne zdanie i nie należałam do towarzyskich koterii. Od lat uważnie obserwuję sądy i widzę, jak one funkcjonują. Widzę grupy trzymające władzę, zawierające od lat sojusze, także w KRS. Kiedy wybory wygrało PiS, a ja nie przystąpiłam do antyrządowego „plemienia", stałam się wrogiem dla części elit. Ale ja nie jestem niewolnikiem żadnej władzy. Śmieszą mnie np. ostatnie pomysły ministerstwa w sprawie punktu sądowego w każdej gminie albo sędziów pokoju. Obawiam się, że to będą sądy „niepokoju" i wzmogą tylko obecny chaos. Nie rozumiem, po co oddawać je amatorom, a nie pomyśleć o tym, by w sądach tych, jeśli powstaną, orzekali np. byli adwokaci, radcowie prawni albo sędziowie w stanie spoczynku.

Sądy pokoju, czyli będzie jeszcze gorzej

Prof. Zoll prezentuje podobną opinię na temat armii niemal 4 tys. sędziów pokoju, którzy mają stworzyć demokratyczny „czynnik społeczny" i wspomóc 10 tys. sędziów w orzekaniu o drobnych przestępstwach. Jego zdaniem to fałszywa odpowiedź na patologie drążące od lat system, skoro warunkiem wyboru ma być jedynie wykształcenie prawnicze oraz trzyletnie doświadczenie w pracy wymagającej wiedzy prawniczej, np. w urzędzie: – To bardzo szerokie pojęcie. Podejrzewam, że sędziami zostanie wiele osób niekompetentnych. W niczym to nie pomoże obywatelom, stworzy się tylko kolejne źródło chaosu, kolejny akt upolitycznienia sądownictwa, skutkujący wieloma odwołaniami od wyroków, które jeszcze bardziej zablokują system. Sądy pokoju

nie staną się głosem społeczeństwa. To będzie raczej głos władzy, która znajdzie sposób na dobór odpowiednich kadr.

Prof. Zoll podkreśla też, że obecny spór wokół sądów i cała kultura polityczna w Polsce nie pozwalają, by rozpocząć proces przybliżania sądów do społeczeństwa: – W krajach zachodnich wygrana w wyborach daje mandat sprawowania władzy, ale ograniczony. Zwycięzca zdaje sobie sprawę, iż część społeczeństwa wspiera opozycję, więc musi też dbać o interesy tej grupy. U nas PiS postanowiło, że skoro wygrało, to może – nie licząc się z nikim – uformować na nowo Polskę i Polaków, właśnie przy użyciu sądów. Pozostaje pytanie, czy za to, jak je zdewastowano, ludzie w przyszłości obwinią PiS, czy raczej utwierdzą się w złej opinii o sędziach?

Przez cztery lata rządów Zjednoczonej Prawicy za reformy sądownictwa odpowiadał wspomniany sędzia Piebiak. Jego życiorys jest osobliwy. Uznanie zdobył jako członek zarządu Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia", które od lat stało na straży niezależności sędziów i – co warte podkreślenia – prowadziło edukację prawną w szkołach, a dziś prowadzi ostry spór z rządem. Przed dojściem PiS do władzy Piebiak kierował w Iustitii zespołem ds. ustroju sądów, przygotowującym zmiany postulowane przez środowisko. W 2017 r. został z Iustitii usunięty, gdy okazało się, że jako wiceminister sprawiedliwości wprowadza reformy zmierzające do uzależnienia sądów od polityków. Dwa lata później musiał odejść z ministerstwa po tym, jak ujawniono, że uczestniczy w hejterskiej akcji przeciwko opornym sędziom, w tym dawnym współpracownikom z Iustitii. Dziś pracuje z dala od kamer, w podległym Zbigniewowi Ziobrze Instytucie Wymiaru Sprawiedliwości.

– Przyszedłem do ministerstwa, by uzdrowić sądownictwo, a nie tłamsić sędziów – wspomina. – Chciałem m.in. zerwać nici łączące nasze środowisko z przedstawicielami lokalnych elit prawniczych, gospodarczych, politycznych, a nawet kościelnych. Takie powiązania były widoczne zwłaszcza w mniejszych ośrodkach. W tych dużych, jak Kraków, Łódź, Poznań czy Gdańsk, wytworzyły się z kolei wpływowe grupy, które w zasadzie rządziły sądami i w niedużym gronie, dobieranym według kryteriów z reguły towarzyskich, decydowały o stanowiskach. Mieliśmy więc w Polsce „księstwa apelacyjne", mieliśmy „spółdzielnię w KRS", funkcjonowały niejasne reguły awansów. Postanowiliśmy to rozbić, co spotkało się z gwałtownym sprzeciwem sędziów tworzących specyficzną kastę, która utrudniała awanse ludziom spoza układu i przez lata była nietykalna, także dlatego, że sądy dyscyplinarne działały fatalnie. Potrafiły być jednak bardzo sprawne i surowe wobec sędziów spoza „towarzystwa". Oczywiście sprzyjała temu instytucja immunitetu, za którą czasem można się było „schować", podczas gdy np. w sąsiednich Niemczech go nie ma i sędziemu podejrzewanemu o przestępstwo można nawet przeszukać dom. *Nota bene* w tych samych Niemczech nikt nie widzi nic złego w tym, by politycy mieli decydujący udział w procesie mianowania sędziów.

Władza uznała, że społeczeństwo nie będzie bronić sądów, jeśli niezależność ograniczy im etapowo. Dziś przeprowadzany jest ostatni akt tej operacji.

Sędzia Piebiak twierdzi, że jego misją była walka z układami. I faktem jest, że to za jego czasów doszło do ujawnienia przez CBA ogromnej afery w krakowskich sądach, gdzie zlecano zewnętrznym firmom fikcyjne, ale kosztowne ekspertyzy. Procent od tych opinii pobierał dyrektor administracyjny sądu, główna księgowa i Krzysztof S., ówczesny prezes Sądu Apelacyjnego, który miał na tym procederze zarobić co najmniej 376 tys. zł.

W sumie straty wynikłe ze zlecania „ekspertyz" sięgnęły 21 mln zł. To był niewątpliwy dowód na patologie i układy w polskich sądach, ale zdaniem wielu prawników Piebiak „kastę" widział najczęściej tam, gdzie jej nie było. A poza tym efekt reform, mających usprawnić sądy i zwalczyć kliki, na razie bardziej oddalił, niż przybliżył Polaków do ich wymarzonego, sprawiedliwego sądownictwa. Dla obywateli nic się w praktyce nie zmieniło, a nawet jest gorzej, bo z racji pandemii sądy pracowały na pół gwizdka. A na dodatek część rozpraw utajniły i niezbyt chętnie organizowały rozprawy zdalne. W tej kwestii, mimo licznych zmian personalnych, ministerstwu nie udało się nic zaradzić. Co się udało? Udało się stworzyć, na razie częściowo, nowe elity sądowe. Tyle że w dużej mierze podporządkowane politykom prawicy.

Wózki na korytarzu zamiast cyfryzacji

Ostatnim aktem w ramach tej polityki jest pomysł spłaszczenia struktur sądowych. Status sędziów rejonowych i okręgowych ma być ujednolicony, pensje zrównane, a przerost liczby stanowisk i biurokracja – ukrócone. Wszyscy mają być też równomiernie obciążeni pracą.

Andrzej Zoll uważa jednak, że istotą zmian jest coś innego. – Chodzi o to, by poddać weryfikacji wszystkich sędziów przez bezprawnie powołaną neo-KRS. To będzie czystka na stanowiskach, które potem obejmą ludzie posłuszni władzy. A jeszcze bardziej niebezpieczne jest to, że poddanie się takiej weryfikacji sprawi, iż sędziowie zostaną ubrudzeni bezprawiem, a cały system utonie w kryzysie, bo trzeba będzie rozdzielać na nowo akta wszystkich spraw. To będzie trwało lata.

Mecenas Wawrykiewicz mówi, że prawdziwe reformy powinny się skupić na wzmocnieniu i dofinansowaniu administracji sądowej, która jest fatalnie opłacana i przytłoczona obowiązkami, a także na oddaniu pewnych kompetencji np. urzędom gminy lub notariuszom. Pilna jest też digitalizacja akt, gdyż widok pań ciągnących wózki z dokumentami po korytarzu sądowym nie pasuje do XXI w.

– Potrzeba nam inwestycji w ludzi i w technologie. Dziś sądy wciąż pracują głównie na papierze, a wiele pism procesowych jest przepisywanych przez referendarzy. To nieporozumienie w dobie internetu, profili zaufanych i podpisów elektronicznych – dodaje sędzia Bartłomiej Przymusiński, członek zarządu Iustitii. – Nie potrzeba nam politycznego nadzoru i ciągłych zmian w prawie, które paraliżują pracę sędziów i są ewenementem na skalę Europy. Nowelizacje prawa nie mogą być odzwierciedleniem doraźnych pragnień politycznych, ale owocem długotrwałych prac zespołów fachowców.

W tej kwestii zgadzają się niemal wszyscy moi rozmówcy. Ich zdaniem minister Ziobro dokonuje zmian w sądach tylko po to, by pozbyć się przeciwników. Gdyby było inaczej, spojrzałby na wymiar sprawiedliwości nie z pozycji polityka, lecz obywatela. ©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Wywrócone kostki domina

GRAŻYNA MAKARA

WŁODZIMIERZ WRÓBEL,
SĘDZIA SĄDU NAJWYŻSZEGO:

Część z nas ukryła się za orłem, za systemem, za togami. Przykro to przyznać, ale czasem zza opasłych tomów akt nie widzimy człowieka.

MAREK KĘSKRAWIEC: Minister Ziobro zapowiedział kolejne zmiany w wymiarze sprawiedliwości. Jak się Panu podoba idea punktu sądowego w każdej gminie?

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL: To jest populizm. Wyborcy mają poczuć, że są ważni, że władza o nich dba i chce przybliżyć im sprawiedliwość. Trudno mi jednak orzec, czy autor tej idei naprawdę wie, o czym mówi. Koszty takiej operacji byłyby ogromne, potrzebne są przecież siedziby, sekretariaty, etaty. Podejrzewam, że gdy ten pomysł przejdzie od ogółu do szczegółów, umrze po cichu. I dobrze: sądownictwo potrzebuje inwestycji, ale w co innego.

Na przykład w niemal czterystu sędziów pokoju? Prezydent Duda uważa, że mogliby godzić zwaśnione strony w sprawach cywilnych oraz zajmować się drobnymi wykroczeniami i występkami. Trochę mi to przypomina powrót do kolegiów ds. wykroczeń z czasów PRL.

Może nie aż tak, bo sędziami pokoju mają być ludzie z wykształceniem prawniczym i przynajmniej trzyletnim doświadczeniem w pracy wymagającej fachowej wiedzy z zakresu prawa, jednak brzmi to bardzo ogólnie i nie gwarantuje ani doświadczenia, ani profesjonalizmu potrzebnego do wydawania orzeczeń. Trudno przy tym znaleźć głębszy sens w tym pomyśle. Nasze władze najpierw radykalnie ograniczyły udział ławników w rozprawach, choć są oni przecież formą uspołecznienia sądownictwa, a teraz twierdzą, że właśnie po to, by społeczeństwo poczuło swoją podmiotowość, zorganizuje mu się sądy pokoju z własną infrastrukturą, administracją, asystentami.

Miliardy złotych pójdą na przedsięwzięcie, które nie odblokuje przeciążonych sądów, a raczej spowoduje wzrost odwołań od niekompetentnych wyroków. Dlaczego, zamiast karmić elektorat złudzeniami i brnąć w mit ludowej sprawiedliwości, nie wzmocnić i nie dofinansować referendarzy? Dziś zajmują się oni kosztami sądowymi, powołują kuratorów, wydają nakazy zapłaty i upomnienia, kierują sprawy do mediacji albo nadają orzeczeniom klauzulę wykonalności. Mówimy więc o ludziach doświadczonych, którzy

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL, sędzia Izby Karnej Sądu Najwyższego, p.o. kierownika Katedry Prawa Karnego UJ. W maju 2020 r. jako kandydat na pierwszego prezesa SN uzyskał ponad połowę głosów Zgromadzenia Ogólnego sędziów SN, jednak prezydent Andrzej Duda wybrał sędzię Małgorzatę Manowską, która otrzymała dwukrotnie mniejsze poparcie.

lepiej sprawdziliby się na sali rozpraw niż sędziowie pokoju. Wyraźnie też zaznaczę, że ta „reforma" oznacza kolejny wielomiesięczny chaos dla całego systemu, który nie przyczyni się do skrócenia procesów. Marnym pocieszeniem jest tu fakt, że z przewlekłością postępowań zmagają się od lat Grecy, Hiszpanie i Włosi.

O tym, że to wielka bolączka dla polskich obywateli, mówi się od dawna.

To prawda. Kiedy słyszę o wyrokach zapadających po 15 latach, jest mi wstyd. Przewlekłość postępowań nie tylko niszczy zaufanie obywateli do państwa, ale też dewastuje życie konkretnym osobom, zostawiając ślady na ich zdrowiu oraz psychice. Musimy ciągle pamiętać, że sądy nie są same dla siebie – sądy są dla społeczeństwa, które musi wierzyć w sprawiedliwość. Trudno o niej mówić, jeśli człowiek latami czeka na wyrok.

Polacy są nieufnym narodem, a nierychliwy i lekceważący obywatela system jeszcze to pogłębia.

Rodzi też po jakimś czasie podejrzenia o nieuczciwość i poczucie, że tylko silni i bogaci mogą zwyciężać. To z kolei stoi w sprzeczności z jedną z najważniejszych zasad wymiaru sprawiedliwości. Zwykły obywatel przed sądem ma się czuć tak samo komfortowo, jak ktoś o wyższym statusie społecznym, ma też wierzyć w swe szanse nawet wtedy, gdy wchodzi w spór z silniejszymi od niego instytucjami. Tak nie jest. Wielu Polaków uważa, że np. w sporze ze szpitalem o domniemany błąd lekarski stoi na straconej pozycji, więc zawczasu rezygnuje z walki. Takie odczucia społeczne sprawiają, że wywracają się kostki domina w całym systemie.

Dlaczego właściwie procesy się tak ślimaczą? Sędziów jest zbyt mało?

W sądach są braki personalne i trudno, żeby ich nie było, skoro przez atak PiS na wymiar sprawiedliwości Krajowa Rada Sądownictwa znalazła się w głębokim kryzysie. Długi czas nie powoływano nowych sędziów, a kiedy zaczęto robić to ponownie, Rada stała się neo-KRS-em, powołanym z pogwałceniem konstytucji. Sądzę jednak, że liczba sędziów nie jest największym problemem – jest ich tylu, co kiedyś. Kłopot w tym, że przybywa spraw.

Słyszałem też, że zatory spowalniające postępowania powstają w wyniku kryzysu w administracji sądowej.

Zdecydowanie. Tych ludzi jest za mało i są bardzo źle wynagradzani. Od dawna protestują, ale rząd ich nie słucha, przez co stają się coraz bardziej sfrustrowani. Zdarza się więc, że gdy po szkoleniu pozyskujemy do pracy fachową osobę, ona odchodzi natychmiast, gdy pojawi się atrakcyjniejsza finansowo oferta. Musimy szukać kolejnego kandydata, a system staje się w tych warunkach powolny i niewydolny, zwłaszcza że wciąż opiera się na ludziach. Rewolucji informatycznej sądy nie przeszły.

Jak to możliwe? Załatwiałem ostatnio sprawy w ZUS, NFZ, w urzędzie skarbowym, urzędzie pracy. Umawiałem się przez internet, przesyłałem cyfrowo dokumenty, a kiedy musiałem iść do którejś z tych instytucji, przede mną były góra dwie, trzy osoby. Obsługujący mnie urzędnicy byli mili, bo nie siedzieli zasypani papierami z tłumem petentów na głowie.

Niestety, gdy po upadku komunizmu modernizowaliśmy kraj, zapomnieliśmy o sądownictwie. Cyfryzacja w wymiarze sprawiedliwości wciąż jest w powijakach, ale nie można winić za to tylko obecnego rządu i parlamentu, gdyż chodzi o wieloletnie zapóźnienia. Jakby władza ustawodawcza i wykonawcza uznały, że nie jest to ich problem, tylko sądów, choć przecież sądy nie ustalają sobie budżetów. Z drugiej strony, czy my sami nie byliśmy zbyt pasywni, nie mieliśmy zbyt słabej siły przebicia? Głos sędziów w tej kwestii mógł być donośniejszy.

Mam wrażenie, że nie tylko w tej kwestii. Przez lata zajmowałem się dziennikarstwem śledczym i z tej racji często kontaktowałem się z sądami. Spotykałem wspaniałych sędziów z charyzmą, ale często miewałem wrażenie, że dla innych jestem natrętem, przeszkadzam im w pracy, że na pewno się nie znam. W żadnej instytucji nie miałem takiego poczucia niższości i kłopotów z dostępem do informacji.

Na sędziach spoczywa obowiązek komunikacji ze społeczeństwem. Jeśli go nie ma, jeśli sądy budzą lęk, a nie zaufanie – politykom łatwiej manipulować wymiarem sprawiedliwości. Mogą łamać prawo, ale większości społeczeństwa to nie obchodzi. Sędziowie muszą zrozumieć, że to w naszym interesie jest organizowanie konferencji prasowych na temat ważnych spraw i cierpliwe uzasadnianie wyroków. Nie możemy wydawać oschłych komunikatów i obrażać się na dziennikarzy, że coś przekręcili. Oczywiście w sądach są rzecznicy prasowi, ale to nie może być funkcja „na doklejkę", przypisana sędziemu, który jednocześnie orzeka. W sądach powinny powstać profesjonalne biura prasowe. Na szczęście świadomość sędziów bardzo się zmieniła w ostatnich latach. Odkąd nasze środowisko zmuszone zostało do walki o dobre imię wymiaru sprawiedliwości, już nie uważa obecności w mediach i zabiegania o zrozumienie społeczne za coś niegodnego.

Faktycznie, część sędziów zeszła już ze szklanej góry. Są jednak rzesze takich, którzy wciąż operują językiem nieczytelnym i sformalizowanym. Kto ich tego uczy? Obywatele czują się głupi, bo czasem nie rozumieją wyroków. To stwarza kolejne bariery.

Kiedyś zajmowałem się rozporządzeniem ministra finansów w kwestii związanej z ubezpieczeniami społecznymi. Muszę przyznać, że nie zrozumiałem, o co chodzi. Takie przepisy powinny być uznawane za sprzeczne z konstytucją już tylko z tego powodu, że nawet wykształcony prawnik nie jest w stanie odkryć ich sensu. Wyroki to słowa i wszyscy sędziowie powinni o tym pamiętać. Dlatego muszą zwracać się do osób na sali rozpraw oraz pisać uzasadnienia językiem klarownym, gdyż to nie adwokat jest stroną w sprawie i to nie on ma tłumaczyć, o co chodziło sędziemu. ↦

Z drugiej strony, te problemy komunikacyjne są również pokłosiem ciągle zmienianego prawa. Legislacja w polskim parlamencie zawsze była na słabym poziomie, a teraz jest jeszcze gorzej. Już nawet nie chodzi o zamach na Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy czy KRS. U nas prawo ciągle się łata, wprowadza poprawki, potem głosuje się kolejne, bo ktoś zauważył, że uchwalony przepis jest niezgodny z innymi. Tak jakby ustawodawcy zmieniali kodeksy bez spojrzenia z szerszej perspektywy i wbudowania punktowych reform w kontekst całości. Ja czasem zupełnie nie rozumiem powodów, dla których wprowadza się niektóre nowelizacje, albo mogę się ich tylko domyślać. Sędziowie gubią się więc pośród przepisów i wciąż muszą sprawdzać, czy stosują aktualną wykładnię. W tej sytuacji łatwo popaść w nadmierny formalizm, stać się tylko urzędnikiem, zwykłym wykonawcą ustaw, trybikiem w machinie. Do tego też prowadzi zjawisko tzw. inflacji prawa. Prawo powinno przecież być trwałe, spójne, a zmiany poprzedzane poważnym namysłem.

Sędziowie jak urzędnicy? To przykre, bo powinni być samodzielni i niezawiśli. Powinni mieć też silny charakter i zdolność do empatii.

W sądach jest wiele mechanicznej, biurowej wręcz pracy. Ale pan mówi o tzw. miękkich kompetencjach. One są niezwykle ważne. Sędzia ma oczywiście przestrzegać wszystkich wymagań pozwalających zaufać jego bezstronności, ale nie może stać się abstrakcyjną figurą ukrytą za togą i majestatem prawa. Ma pozostać człowiekiem i dojrzale mierzyć się z nieuchronnymi w wielu procesach emocjami. Ma się odnosić z szacunkiem do ludzi, być empatyczny, a kiedy trzeba, umieć uciąć dyskusję i przywrócić stronę do porządku. Niestety, tego się nie uczy w dostatecznym stopniu.

Jak to? Przecież od 12 lat działa w Krakowie Krajowa Szkoła Sądownictwa i Prokuratury, w której pod okiem najlepszych fachowców kształcą się aplikanci z całej Polski.

Już drugi raz w trakcie tej rozmowy będę mówił o poczuciu wstydu. Tym większym, że osobiście przyłożyłem rękę do tego projektu. Pomysł na szkolenie kandydatów na przyszłych sędziów w jednej szkole miał zapobiec temu, co było wcześniej, kiedy w każdym regionie uczono czegoś innego. Okazało się jednak, że byłem zbyt idealistyczny, chyba zabrakło mi wyobraźni... Zrezygnowałem z funkcji wiceprzewodniczącego rady programowej, gdy okazało się, że krakowska szkoła wcale nie jest tak niezależna, jak by się mogło wydawać. Dyrektora powoływał minister sprawiedliwości bez konieczności uwzględniania zdania KRS, a nawet mógł to robić wbrew jej opinii. Dyrektor z kolei decydował, kto może tam prowadzić zajęcia. Przyznaję: nie przewidziałem, że szkoła może stać się kolejnym łupem polityków.

GRAŻYNA MAKARA

Wiele wskazuje na to, że reforma struktury sądów jest robiona po to, by odwołać „niewłaściwych" sędziów ze stanowisk i powołać swoich prezesów, przewodniczących wydziałów. Tego jednak nie można nazwać reformą, lecz polityczną czystką.

Obecna prezes kwestionowanego przez wielu sędziów Sądu Najwyższego przez cztery lata była dyrektorką tej szkoły.

Nie będę tego komentował. Kiedy dziś patrzę na KSSiP, to myślę sobie, że uczący się tam ludzie są świetnie wykształceni, ale mają za mało doświadczeń praktycznych, nie nabywają wspomnianych miękkich kompetencji. Nie ma też systemowego analizowania osobowości przyszłego sędziego, by mógł pozbyć się wad lub wzmocnić zalety.

Powiem więcej: część czasu, który ci młodzi ludzie spędzają nad książkami, kodeksami i komentarzami, powinni spędzić w Domach Pomocy Społecznej i MOPS-ach, by zobaczyć, jak wyglądają konflikty rodzinne; by nauczyć się, jak z cierpliwością i przejrzyście tłumaczyć kwestie prawne zwykłym ludziom. Wartościowe byłoby też, gdyby pojechali na nocny patrol i poznali z bliska pracę policji, funkcjonowania aresztów, metody zbierania dowodów. Mogliby przyglądać się pracy kuratorów sądowych, pójść do ośrodka dla młodzieży, do Monaru etc. Tam jest prawdziwe życie, z którego można czerpać wiedzę i doświadczenie. Dziś część z nas ukryła się za orłem, za systemem, za togami. Przykro to przyznać, ale czasem zza opasłych tomów akt nie widzimy człowieka.

Czy da się zreformować krakowską szkołę, by spełniła Pańskie marzenia?

Pewnie tak, tylko nie wiem, kiedy. Myślę też, że KSSiP nie powinna być jedynym miejscem, skąd wychodzą kandydaci na sędziów. Trzeba stworzyć procedury transparentnego ubiegania się o stanowisko sędziego przez osoby wykonujące inne zawody prawnicze, np. adwokatów, choć zarobki cenionych mecenasów są dużo wyższe niż sędziowskie pensje. To byłoby znacznie pożyteczniejsze niż wszystkie wizje płynące z ministerstwa.

Pośród tych wizji jest też pomysł spłaszczenia struktury sądów i zmniejszenia liczby stanowisk. Jak mówił minister Ziobro, dwa tysiące sędziów zajmie się wreszcie orzekaniem, a nie biurokracją.

Zupełnie nie wiem, o co ministrowi chodzi, to są figury retoryczne bez oparcia w rzeczywistości. I nie rozumiem, jak ten pomysł ma pomóc wymiarowi sprawiedliwości. Polacy muszą wiedzieć, jakie są konkretne cele reform, jaki efekt i jakimi metodami ma być osiągnięty. Nie może być tak, że musimy się domyślać, czego tak naprawdę chcą rządzący. Co z tego, co mówią, jest prawdą, a co chce się przemycić pod płaszczykiem.

Wiele wskazuje na to, że reforma struktury sądów jest robiona po to, by odwołać „niewłaściwych” sędziów ze stanowisk i powołać swoich prezesów, przewodniczących wydziałów. Tego jednak nie można nazwać reformą, lecz polityczną czystką. Nic się nie zmieni na lepsze dla obywatela, a na dodatek tych zmian nie przeprowadzimy szybko; raczej spodziewajmy się kolejnych miesięcy chaosu, tak jak w przypadku sądów pokoju. Myślę, że rządzącym chodzi o to, by skusić podwyżkami i wciągnąć część sędziów w system utworzony przez neo-KRS. Jak się takich sędziów ubrudzi, to staną się zakładnikami bezprawnie zmienionej instytucji. I będą posłuszni, bo będą się bali odwołania.

Kariery zaczną robić ludzie mierni, dyspozycyjni, o słabych charakterach i nieuczciwi – ale tacy są już w sądach od lat. Pamiętam, jak na przełomie wieków śledziłem proceder wyłudzania kamienic. Widziałem sfałszowane testamenty, podstawionych spadkobierców, a nawet „cudowne zmartwychwstania”. Czasem trudno było mi uwierzyć, że złe decyzje dotyczące mienia wartego miliony to jedynie błędy.

Trudno było nie mieć podejrzeń, gdy się słyszało o podobnych historiach. Nie chcę sędziów nadmiernie usprawiedliwiać, ale przyczyny takich zdumiewających postanowień nie musiały jednak tkwić w nieuczciwości. Podstawowy problem to brak ustawy reprywatyzacyjnej i jasnych reguł odzyskiwania własności. Przez wiele lat sędziowie mieli w rękach instrumenty z innej epoki, nieadekwatne do wyzwań kapitalizmu.

Z kolei politycy nie palili się do ruszenia tego zgniłego reprywatyzacyjnego jaja, obawiając się gigantycznych roszczeń, więc zostawili sędziów samych. W efekcie w sądach chowano się za nie najlepiej rozumianym formalizmem. Patrzono głównie na dokumenty, nie zawsze słuchano uważnie lokatorów. Brakowało też wiedzy o metodach przestępców, a orzekanie wymagało niestandardowych umiejętności. Dobrzy sędziowie z tym sobie radzili, słabi – nie.

Gdyby Polacy wybrali inne władze, co by się stało z wyrokami sędziów mianowanych przez neo-KRS? Pojawiają się głosy, że wszystkie wyroki, w których orzekali „wadliwi” sędziowie, powinny być unieważnione. To byłby kataklizm.

Jako środowisko mamy dbać o zgodność zapadających wyroków z prawem i dlatego sposób powoływania nowych sędziów budzi nasz sprzeciw. Nie wyobrażam sobie jednak masowego unieważniania wyroków. W sprawach, w których strony akceptują decyzję sądu, to nie do pomyślenia. Orzeczony rozwód nadal powinien być rozwodem. Trzeba jednak opracować jakąś ścieżkę odwoławczą i reguły, wedle których można by wzruszać „prawomocne” postanowienia w kontrowersyjnych sprawach, w których wyraźnie widać polityczny wymiar decyzji.

Nie sposób rozmawiać o prawie i nie zauważyć tego, co się dzieje na wschodniej granicy. Wielu ludzi miota się między troską o bezpieczeństwo Polski a pragnieniem pomocy ludziom cierpiącym na naszych oczach.

Ja w tej kwestii nie mam żadnego dylematu. To prawda: jesteśmy ofiarą cynicznej polityki dyktatora Białorusi, ale pamiętajmy, że nie mówimy o milionach uchodźców, które w 2015 r. trafiały do Europy, albo o tych, które do dziś tkwią w Turcji.

W ubiegłym tygodniu w ciągu tylko jednej doby do wybrzeży Wielkiej Brytanii przybiło 1185 migrantów. Nikt ich nie spychał do morza.

No widzi pan. I dlatego nie ma we mnie żadnego zrozumienia dla push-backów. Ci ludzie powinni trafić do ośrodków dla cudzoziemców, po czym wszyscy, którzy nie uzyskają prawa do azylu, powinni zostać odesłani do ich ojczyzn, o ile to kraj bezpieczny. Nie możemy godzić się na fałszywą alternatywę: albo bezpieczeństwo, albo człowieczeństwo. Można to połączyć, jeśli tylko się chce.

Widok polewaczek i zmarzniętych dzieci przy drutach jest okropny. To obraz, o jaki chodzi Łukaszence. Nie powinniśmy wpisywać się w ten scenariusz. Silne państwo, za jakie chce uchodzić Polska, powinno umieć sobie z tym poradzić.

©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Zawody

Lea wypłakuje oczy. Słyszy, jak ludzie mówią na rozstajach: „Rebeka ma dwóch synów, Laban dwie córki – starszy ożeni się ze starszą, a młodszy z młodszą". „Jaki jest ten starszy?" – pyta. „To zły człowiek, pospolity rabuś". „A młodszy?". „Dobry, mieszka w namiotach". Tak midrasz wyjaśnia „mdłe" oczy Lei (Rdz 29, 17; Cylkow). Płacz Lei okazuje się skuteczny. Jakubowi siedem lat pracy w zamian za rękę Racheli mija jak z bicza trzasnął i właśnie ma ją poślubić, gdy... teść podsuwa mu starszą siostrę. Trudno sobie wyobrazić, że młodzian dopiero rano się orientuje, że niniejszym skonsumował małżeństwo z Leą. Pożądanie zaślepia mu zmysły? A może to kara za oszukanie niewidomego Izaaka? Talmud sugeruje, że Rachela, znając przebiegłość ojca, ustala z ukochanym znaki rozpoznawcze. W ostatniej chwili robi jej się żal siostry i wyjawia jej te znaki. Wedle innej koncepcji, Rachela ukrywa się pod łóżkiem i to ona mówi do Jakuba w czasie nocy poślubnej. Skąd my to znamy: głos jest głosem Racheli, ale ręce są rękami Lei.

Laban tłumaczy oszustwo lokalnym zwyczajem i dalej usidla siostrzeńca: „Dopełnij tydzień tej, a damy ci i tę drugą" (wers 27). Ta i ta druga?! Czy mówi o przedmiotach, czy o swoich dzieciach? Potem córki na wyścigi próbują zajść w ciążę, jakby chodziło o zdobycie większej liczby punktów w zawodach. Czyżby wartość kobiety mierzyło się tym, ilu synów urodzi?

Jakub kocha Rachelę, a biblijną rekompensatą dla Lei jest płodność. Starsza siostra wydaje na świat sześciu synów, więc w tej dyscyplinie okazuje się niedościgniona. Rachela podsuwa mężowi swoją służącą Bilhę, która rodzi Dana i Naftalego. Lea nie pozostaje dłużna: w łożu małżeńskim ląduje też Zilpa i na świecie pojawiają się Gad i Aszer. Dopiero wtedy Rachela zachodzi w ciążę i rodzi Józefa.

Tu midrasz sugeruje wielkoduszność Lei, jakby praojciec nie ożenił się z rywalizującymi o niego siostrami (Tora później zakazuje takiej konfiguracji matrymonialnej). Lea pierwotnie nosi w łonie Józefa, a Rachela – Dinę. Kiedy Lea dowiaduje się, że będzie dwanaście szczepów Izraela – powiła już wówczas sześciu męskich potomków – wychodzi jej, że Rachela urodzi tylko jednego syna, mniej niż służące. Lea lituje się nad siostrą i prosi o podmianę płodów, dlatego wers (30, 21) zaczyna się od słów „a następnie".

Imiona synów to odbicie głębokiej frustracji matek. Jak trzeba być zdeterminowanym, by znieść bez szemrania co najmniej siedem ciąż – pewnie dziewczynek było więcej niż tylko jedna Dina – a potem jeszcze dwie dodatkowe kobiety w łóżku męża. Obie siostry są głęboko nieszczęśliwe – jedna niekochana, druga bezdzietna – i w szalonym współzawodnictwie mogą co najwyżej odnieść pyrrusowe zwycięstwo. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Apokalipsa wciąż trwa

„Będą znaki na słońcu, księżycu i gwiazdach, a na ziemi trwoga ogarnie narody bezradne wobec szumu wzburzonego morza. Ludzie mdleć będą ze strachu w oczekiwaniu tego, co ma nadejść na ziemię, gdyż moce niebieskie zostaną wstrząśnięte. Wtedy zobaczą Syna Człowieczego przychodzącego na obłoku z wielką mocą i chwałą. A gdy to zacznie się dziać, wyprostujcie się i podnieście głowy, bo zbliża się wasze odkupienie". Autor Apokalipsy mówi o powtórnym przyjściu Pana Jezusa, czyli o tzw. końcu świata. Malując przerażającą wizję kosmicznej katastrofy, zachęca do odważnego zmierzenia się z zaistniałą sytuacją: „Wyprostujcie się i podnieście głowy", gdyż ta nawałnica nieszczęść jest niczym innym, jak tylko przedśmiertnym paroksyzmem zła.

Ale Apokalipsa nie dotyczy jedynie dni ostatecznych. Przecież dzisiaj miliony ludzi z przerażeniem patrzą, jak pochłania ich, niby tsunami, śmierć. Wygłodzeni do ostateczności, katowani w więzieniach, przerzucani z jednej granicy na drugą, giną niezauważeni niechby tylko przez statystyki. A to znaczy, że apokaliptyczne czasy są w sam raz dla chrześcijan.

Można oczywiście na ludzką biedę nie patrzeć, chroniąc się w domowym czy kościelnym zaciszu. Można zasłonić oczy polityczną, humanitarną czy religijną frazeologią, ale można też podnieść głowę i, również wbrew nieludzkiemu prawu, sankcjonującemu odmowę pomocy człowiekowi będącemu w zagrożeniu życia, tej pomocy udzielić. Druga rzecz to epidemia, owo morowe powietrze. Żyjemy więc, jak wszystkie poprzednie pokolenia, chciałoby się powiedzieć: w czasach małej apokalipsy. Niestety, mała ona nie jest, a jej zaistnieniu i trwaniu sami jesteśmy winni.

W biuletynie zespołu doradczego ds. covidu Polskiej Akademii Nauk z lipca br. czytamy: należy „zdecydowanie wyciągać konsekwencje wobec osób zaufania publicznego (lekarze, osoby świata nauki), którzy w jawny sposób przeczą podstawowym zasadom nauki i aktualnemu stanowi wiedzy (...), trzeba rozważyć wprowadzenie obowiązku szczepień [który] powinien dotyczyć pracowników medycznych [jak też] innych grup zawodowych i społecznych, które są kluczowe dla funkcjonowania państwa w warunkach pandemii (wojsko, policja, straż pożarna, nauczyciele) lub w szczególny sposób narażone na zakażenie SARS-CoV-2 z powodu bezpośrednich kontaktów z interesantami (np. rehabilitanci, fryzjerzy, listonosze, pracownicy salonów kosmetycznych etc.)".

Szkoda, że nie wymieniono również duchownych. A przecież obślinione palce szafarzy komunii u katolików i obśliniona łżyca w obrządku bizantyńskim to oczywiste źródło zakażeń. W takiej sytuacji na niewiele się zda stawianie morowych krzyży i najpiękniej odśpiewane suplikacje. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Pełne uzdrowienie

Liturgia uczyniła nas ostatnio świadkami uzdrowienia niewidomego mieszkańca Jerycha. Zapis Łukaszowy, którego słuchaliśmy (Łk 18, 35-43), różni się w kilku miejscach od zapisu św. Marka (Mk 10, 46-52). Najpierw tym, że główny bohater wydarzenia nie został przedstawiony po imieniu (Marek go przedstawia: „Bartymeusz, syn Tymeusza"). Dlaczego Łukasz zrezygnował z tej identyfikacji? Być może chce nam powiedzieć, iż każdy z nas może (powinien?) się zobaczyć w owym żebraku spod Jerycha. Również ci, którym się wydaje, iż mają sokoli wzrok. Tamten człowiek też przecież kiedyś widział! Zapytany przez Jezusa: „Co chcesz, abym ci uczynił?" – odpowiada: (dosł.) „Panie, abym znów widział!" („znów" to grec. *anablépo*).

Poza tym, jego uzdrowienie nie sprowadza się jedynie do odzyskania wzroku. Owszem, Jezus mówi do niego: „Przejrzyj ponownie! Twoja wiara cię uczyniła zbawionym"; a Ewangelista stwierdza: „I natychmiast odzyskał wzrok". Wydarzenie się jednak tym samym nie kończy. Otrzymane z powrotem zdrowie (i zbawienie!) nie sprowadza się jedynie do możliwości oglądania świata na nowo. Łukasz dodaje: „i szedł za Nim, wielbiąc Boga" (w. 43).

„Szedł za Nim" – użyte tu greckie słowo *akolouthéo* oznacza również: „towarzyszyć komuś w drodze jako uczeń". Siedzący dotychczas, unieruchomiony przez swoją ślepotę przy drodze żebrak teraz staje się „uczniem w drodze": idzie za Jezusem! Bo uczniostwo jest odwagą pójścia w drogę. Jeśli moja wiara (wzrok otrzymany od Jezusa) mnie nie uruchamia, jeśli nie szuka zmiany, jeśli rezygnuje z postępowania naprzód – to znaczy, że wcale jeszcze nie odzyskałem zdrowia. Może nawet mam większy niż dotychczas problem, bo skoro „znowu widzę", to wszystko „jest w porządku".

Trzeci wymiar zdrowia zawarty jest w sformułowaniu: „wielbił Boga". Modlitwa uwielbienia jest w nas czystym owocem „pracy" Ducha Świętego. To Duch modli się w nas: „Jezus jest Panem". To modlitwa, która całkowicie odwraca nas od samych siebie – przestajemy prosić, dziękować czy przepraszać. Koncentrujemy się wyłącznie na Nim – na tym, Kim Jest. Chcemy, by nasze życie „kręciło się" wokół Niego. By zajął w nim sobie należne, czyli Pierwsze i Najważniejsze Miejsce.

I jeszcze jeden szczegół wychwycony i dodany przez Łukasza (w porównaniu z zapisem św. Marka): taka postawa natychmiast się udziela. Jest zaproszeniem dla wszystkich, którzy są jej świadkami. Ewangelista zapisał: „Także cały lud, który to widział, oddał chwałę Bogu".

Zacząłem od stwierdzenia, że „liturgia uczyniła nas świadkami" tamtego uzdrowienia. Zakończę pytaniem: czy udzieliło nam się uwielbienie naszego bohatera? Ile w naszym byciu przy Panu jest modlitwy uwielbienia? Czy na pewno jesteśmy zdrowi? ©

Komu
podobna jesteś, perło?
Niech twe milczenie
pouczy tego, kto słucha.

EFREM SYRYJCZYK

Nie myśl,
że jesteś samotny.
Cały wszechświat
jest w tobie.

RUMI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (28 XI – 5 XII)

1. niedziela adwentu: Jr 33, 14-16; Ps 25; 1 Tes 3, 12 – 4, 2; Łk 21, 25-28. 34-36;
Poniedziałek: Iz 2, 1-5; Ps 122; Mt 8, 5-11;
Wtorek: Iz 49, 1-6; Ps 19; Rz 10, 9-18; Mt 4, 18-22;
Środa: Iz 25, 6-10a; Ps 23; Mt 15, 29-37;
Czwartek: Iz 26, 1-6; Ps 118; Mt 7, 21. 24-27;
Piątek: Iz 29, 17-24; Ps 27; Mt 9, 27-31;
Sobota: Iz 30, 19-21. 23-26; Ps 147A; Mt 9, 35 – 10, 1. 5a. 6-8;
2. niedziela adwentu: Ba 5, 1-9; Ps 126; Flp 1, 4-6. 8-11; Łk 3, 1-6.

JUTRO NA RATY

Jeden z memów radzi, by w Black Friday zostać w domu – i zaoszczędzić w ten sposób do stu procent. Lepszej okazji, także w kontekście wiszącej nad nami katastrofy klimatycznej, faktycznie nie będzie.

MAREK RABIJ

To oczywiście zbieg okoliczności, ale wymowny: fiasko tegorocznego szczytu klimatycznego w Glasgow zbiegło się w czasie z początkiem przedświątecznej gorączki zakupów, której apogeum wyznacza amerykański Black Friday. Trudno też o bardziej złowrogą i trafną nazwę dla tej orgii konsumpcji, która wielu branżom zapewnia w kilkanaście listopadowych i grudniowych dni nawet do 40 proc. rocznych obrotów. Czarny Piątek według jednej z wersji zawdzięcza nazwę kolorowi atramentu, którym zapisywano niegdyś w księgach rachunkowych przychody (wydatki zaznaczano na czerwono). Równie dobrze może jednak stanowić symbol pułapki, w której utknęliśmy z gospodarką ustawioną wyłącznie pod nieustający wzrost i konsumpcję.

MICHAŁ FLUDRA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Aktywiści Extinction Rebellion protestują w galerii handlowej w Gdańsku, 29 listopada 2019 r.

Kiedy w Glasgow politycy prześcigali się w klimatycznym wodolejstwie, a garstka aktywistów skandowała „bla, bla, bla" w proteście przeciwko ich bezużyteczności, reszta świata tradycyjnie szykowała się do przedświątecznych zakupów. Jedyne novum stanowiła w tym roku wysoka inflacja. W Polsce jej wskaźniki dobiły już niemal do 7 proc. – czyli do wartości nienotowanej od 20 lat – a wszystko wskazuje na to, że w grudniu bliżej jej będzie raczej do 10 niż 5 proc. Zgodnie z teorią z podręczników ekonomii szoki cenowe tej skali powinny już wyraźnie ograniczać skłonność do wydawania pieniędzy. Tymczasem na miesiąc przed Wigilią większość polskich gospodarstw domowych zapowiada jedynie symboliczne zmniejszenie wydatków konsumpcyjnych. Fundacja Instytut Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS na podstawie własnych badań szacuje, że przeciętna polska rodzina wyda w tym roku z okazji świąt 1804,29 zł, czyli tylko o 33,61 zł mniej niż przed rokiem. Jedyną reakcją na ceny rosnące już w niemal dwucyfrowym tempie będzie zatem okrojenie bożonarodzeniowych wydatków o... 1,8 proc.

Niechęć do zaciskania pasa z okazji świąt z pewnością można tłumaczyć poczesnym miejscem, jakie Boże Narodzenia zajmuje w polskim imaginarium, ale nie jest to jedyne możliwe wyjaśnienie. Można wręcz odwrócić to rozumowanie i dojść do konkluzji, że w warunkach wysokiej inflacji Gwiazdka dostarcza dogodnego usprawiedliwienia dla rozrzutności. Zakupy z pewnością stały się jedną z naszych ulubionych dyscyplin społecznych; dość porównać choćby częstotliwość, z jaką pojawia się dziś w jakimś sklepie statystyczna polska (360 razy w roku) i brytyjska rodzina (138 razy). Przy okazji nie da się również uciec od pytania, czy za niechęcią do ograniczenia wydatków w obliczu inflacji nie stoją przypadkiem te same mechanizmy, które sprawiają, że mimo ewidentnych dowodów na zbliżającą się katastrofę klimatyczną nie chcemy – albo po prostu już nie potrafimy – zmienić zgubnych nawyków konsumpcyjnych.

Ile warte są pszczoły

„Ekonomia to ojczysty język polityki (...), życia publicznego i mentalność kształtująca społeczeństwo" – zauważa w głośnej książce „Ekonomia obwarzanka" Kate Raworth i trudno się z nią nie zgodzić. Ekonomizacja kolejnych sfer życia trwa od dekad, a przyspieszyła zwłaszcza na przełomie wieków, kiedy okazało się, że wycenić – a co za tym idzie, także zmonetyzować – da się właściwie wszystko: od ludzkiej pracy, przez zdrowie i czas wolny, aż po „usługi ekosystemu". Próby przeliczania na dolary chociażby korzyści z istnienia lasów deszczowych czy owadów zapylających kwiaty (jak pisze Raworth, tego typu „usługi" w skali globu „warte są" 160 mld dolarów rocznie) można by traktować jako próbę przemówienia do tych, których na co dzień interesuje tylko zysk. Problem w tym, że język ekonomizujący błyskawicznie wyparł inne narzecza, które stają się niezrozumiałe dla opinii publicznej bombardowanej dychotomią zysk-strata.

Właśnie dlatego w czysto prawnym sporze z polskimi frankowiczami, w którym osią są nieuczciwe zapisy w umowach kredytowych, pozywane banki mogą sięgać po argumenty ekonomiczne („branży nie stać na masowe ugody") nie tylko nie narażając się na śmieszność, ale nawet zyskując poparcie części opinii publicznej. I z tego samego powodu wizja spowolnienia PKB nadal przemawia nam do wyobraźni mocniej od ryzyka katastrofy klimatycznej. Rzadsze podróże samolotem, pożegnanie z awokado, koniec ze zmienianiem zawartości całej szafy co pół roku i samochodu co trzy lata – język ekonomii wykształcił dostatecznie dużo figur ze sfery potencjalnie utraconych korzyści, by plastycznie unaoczniać nam konsekwencje tego pierwszego. To drugie – klimatyczną katastrofę – wielu z nas nadal skłonnych jest uważać za pomysły ludzi w śmiesznych białych fartuchach.

Kilka dni temu władze Delhi ogłosiły, że z uwagi na fatalną jakość powietrza do odwołania zamykają szkoły i urzędy, wstrzymane mają zostać także wszystkie prace budowlane. Stężenie niebezpiecznych dioksyn nad stolicą Indii od początku listopada utrzymuje się na poziomie dwudziestokrotnie wyższym od normy. Oddychając w takiej atmosferze każdy mieszkaniec w ciągu tylko jednej doby wprowadza do organizmu mniej ↦

↦ więcej tyle samo toksyn, co po wypaleniu 20 papierosów. Mimo że problem dosłownie widać na ulicach, bo nad miastem wisi szaroniebieska czapa, część przedsiębiorców skrytykowała politykę władz stołecznego dystryktu. Zapowiedź pełnego lockdownu, gdyby jakość powietrza nie uległa poprawie, wywołała wręcz furię. „Zakazy osłabią konkurencyjność naszej gospodarki, pozbawią najuboższych źródła utrzymania, natomiast tylko w ograniczonym stopniu pomogą w walce ze smogiem, z którym o tej porze roku Delhi zmaga się przecież od lat" – napisali w liście do szefa lokalnego rządu członkowie jednej z izb przemysłowo-handlowych. Większość sygnatariuszy na co dzień mieszka i pracuje w Delhi.

Kupić lepsze jutro

Zmiana nawyków konsumenckich czy wyobrażeń o miejscu gospodarki w życiu kraju jest oczywiście piekielnie trudnym wyzwaniem. Mniejsza nawet o lobbing i marketingowy arsenał, za pomocą którego biznes podsyca w nas kolejne zakupowe głody. Mnóstwo książek i artykułów wprowadza dziś czytelnika w tajemną do niedawna geografię centrów handlowych, a nawet w detale rozplanowania produktów na sklepowych półkach, gdzie na wysokości oczu spoczywać powinny zgodnie z handlowym dekalogiem produkty kupowane pod wpływem impulsu. Towary pierwszej potrzeby, po które klient gotów jest się schylić, można ustawić niżej.

W gruncie rzeczy nie chodzi jednak o to, na co i w jaki sposób reagujemy, lecz dlaczego mimo ustawicznego bombardowania bodźcami zakupowymi nadal jesteśmy na nie niemal po dziecięcemu podatni. Najprostsza odpowiedź – że tego właśnie potrzebujemy – nadal będzie nas trzymać daleko od sedna sprawy. Wyłącznie na podstawie dołu piramidy Maslowa nie dałoby się przecież zbudować globalnej gospodarki podwajającej wartość produkcji co kilkanaście lat. Do tego potrzeba już czegoś o wiele subtelniejszego: mechanizmów, które sprawią, że kupujący utożsamią swoje interesy z interesem sprzedających.

Do ich uchwycenia i zrozumienia najlepiej posłużyć się porównaniem losów gospodarek krajów rozwiniętych z tym, co w tym samym czasie spotkało tzw. klasę średnią, dobrze sytuowanych obywateli o stabilnej sytuacji majątkowej, mogących pozwolić sobie na coś więcej niż tylko produkty pierwszej potrzeby. Umiarkowanie zamożni średniacy przez dziesięciolecia powojennej *prosperity* stanowili siłę napędową niemal wszystkich zachodnich gospodarek. Stanowili, bo ostatnie dekady to czas gwałtownego słabnięcia, a może wręcz zaniku tej grupy. Z danych OECD wynika, że w latach 1986-2016 udział klasy średniej w społeczeństwach najbardziej rozwiniętych krajów świata zmniejszył się z 64 do 61 proc. Słabnąca dynamika dochodów sprawiła, że średniakom coraz trudniej było w tym czasie awansować do naprawdę bogatych, za to coraz częściej zmagali się z ryzykiem społecznej i majątkowej degradacji. Pomiędzy latami 2007 a 2016 mediana realnych dochodów klasy średniej wzrastała w krajach OECD o zaledwie 0,3 proc. rocznie. To znacznie wolniej niż w dekadzie od połowy lat 90. XX wieku, gdy dochody rosły im realnie w tempie 1 proc. rocznie. Pod tym względem najlepsza była dekada od połowy lat 80., kiedy w krajach należących do OECD klasa średnia bogaciła się w średnim tempie aż 1,9 proc. rocznie. Tymczasem tylko od połowy lat 90. do 2016 r. koszty ochrony zdrowia wzrosły tam o 94,3 proc. Koszty edukacji poszły w górę o 132,1 proc., a ceny mieszkań – aż o 137,6 proc.

> Ekonomiści mówią o nadpodaży i nadkonsumpcji, czasami na trudną do wyobrażenia skalę. Bo przecież nie jest łatwo pojąć, że na planecie zamieszkiwanej przez niespełna 7,9 mld ludzi **co roku można produkować po 110 mld T-shirtów.**

Co w tym czasie działo się z gospodarką? Między 1986 a 2016 r. wartość światowego produktu krajowego wzrosła (w cenach bieżących) z 12,5 do 76,1 bilionów dolarów – czyli ponad sześciokrotnie. W odniesieniu do państw OECD wzrost był wolniejszy, ale i tak wyraźnie wykraczał poza dynamikę dochodów klasy średniej. To samo zjawisko oddane już nie za pomocą suchych liczb, lecz ludzkich losów, ułożyłoby się zatem w historię o dzieciach zarabiających zauważalnie mniej od swoich rodziców, coraz większych trudnościach z zachowaniem miejsca pracy, koszmarnie drogich nieruchomościach w dużych miastach czy wreszcie o studiach na kredyt, które po ukończeniu gwarantują najwyżej gigantyczne, często niespłacalne zadłużenie. Klasie średniej, która przez dekady nakręcała popyt, odjechał pociąg zwany stabilnością, ale nadal desperacko walczy o utrzymanie się na powierzchni tego, co dotychczas wyznaczało ramy jej codzienności. Zakup egzotycznej wycieczki z karty kredytowej, nowe auto co trzy lata w leasingu na absurdalnych warunkach i inne przejawy życia na kredyt nie mają oczywiście sensu z punktu widzenia racjonalności gospodarowania, ale nie o zdrowy rozsądek tu chodzi, lecz o zrealizowanie na własną rękę obietnicy lepszego jutra, której wolny rynek przestał dotrzymywać już dawno temu. W tej grze zadowalającym wynikiem coraz częściej bywa zresztą jutro nie gorsze od dzisiaj.

Raj na raty

Tylko w ten sposób można wytłumaczyć, jakim cudem w Indiach, USA czy Brazylii, gdzie tempo narastania nierówności majątkowych osiągnęło nienotowany dotąd poziom, gospodarki wciąż rosną napędzane nie inwestycjami miliarderów (ci dawno wolą rynki finansowe), lecz głównie konsumpcją wewnętrzną milionów średnich i drobnych ciułaczy. Im bardziej niebezpieczne ulice mają obywatele w swojej okolicy, im gorszy dostęp do opieki zdrowotnej, słabszą edukację, tym głębiej muszą sięgnąć do kieszeni, aby wszystkie te mankamenty uzupełnić na własną rękę. Albo po prostu zresetować się od trudnej rzeczywistości na endorfinowym haju zakupów. Dane NBP i Biura Informacji Kredytowej nie pozostawiają wątpliwości, że problem ten w coraz większym stopniu dotyczy także Polski. W połowie bieżącego roku skumulowana wartość kredytów konsumpcyjnych udzielonych przez banki osobom fizycznym przekroczyła 202 mld zł. Pod koniec 2016 r. było to zaledwie 150 mld zł. W dodatku wyraźnie

rozjeżdżają się postawy konsumpcyjne młodszych i starszych Polaków, bo zadłużenie osób w wieku do 35 lat idzie ostro w górę, podczas gdy starsi zaczynają ograniczać zakupy na kredyt.

Wysoka inflacja, która jeszcze przez co najmniej kilkanaście miesięcy nie pozwoli o sobie zapomnieć, z pewnością ostudzi nieco ten trend, ale podobnie jak większość konsumentów z krajów wysoko rozwiniętych nie damy się tak łatwo wygnać z zakupowego raju. Ekonomiści mówią dziś wręcz o nadpodaży i nadkonsumpcji, czasami na trudną do wyobrażenia skalę. Bo przecież nie jest łatwo pojąć, że na planecie zamieszkiwanej przez niespełna 7,9 mld ludzi co roku można produkować po 110 mld T-shirtów. Problem ten nie sprowadza się zresztą do wywoływanej zwykle przy tej okazji do tablicy branży *fast fashion*. Niemal cała gospodarka opiera się już na częstych zakupach, do tego podejmowanych pod wpływem impulsu.

Czarne Piątki trwają dziś właściwie cały rok. Oczywiście zwykle nie mają nic wspólnego z amerykańskim pierwowzorem ani z prawdziwą obniżką, ale nie muszą. Klientom wystarcza sama iluzja okazji. Konsument, któremu pralka lub telefon psuje się niemal natychmiast po wygaśnięciu gwarancji, nie powinien też zawracać sobie głowy wyliczeniami, z których mógłby wyciągnąć tyleż logiczny, co niebezpieczny wniosek, że na tak awaryjny sprzęt w dłuższej perspektywie wydaje więcej, niż zapłaciłby kupując towar wyższej jakości. W niektórych branżach, jak w choćby w AGD czy drobnej elektronice, wskaźniki cen potrafią latami ocierać się o deflację, co nie przeszkadza ich producentom notować kolejne wzrosty sprzedaży. Diaboliczność idei planowanego postarzania produktu polega na przekierowaniu uwagi klienta z jego portfela na samą przyjemność zakupów. Tak proste, że działa.

Szantaż i dieta

Tymczasem z szacunków OECD wynika, że tylko do 2030 r. liczba osób dysponujących od 10 do 100 dolarów dziennie na wydatki konsumpcyjne wzrośnie na świecie z obecnych 2 do 5 mld. A to musi poskutkować zarówno dalszym wzrostem popytu, jak i jeszcze wyraźniejszym przesunięciem środka ciężkości globalnej konsumpcji w stronę krajów na dorobku, głównie w Azji. Takie zmiany

Czarne Piątki trwają właściwie cały rok. Oczywiście zwykle nie mają nic wspólnego z amerykańskim pierwowzorem ani z prawdziwą obniżką, ale nie muszą.
Klientom wystarcza sama iluzja okazji.

nigdy nie zachodzą też w politycznej próżni i pierwsze oznaki towarzyszących im napięć dało się dostrzec podczas tegorocznego szczytu COP26. Liderzy państw rozwijających się ostentacyjnie zlekceważyli w Glasgow apele zachodnich przywódców, aby biedniejsi partnerzy złożyli na ołtarzu klimatu własny rozwój gospodarczy. Europejscy i amerykańscy politycy mieli oczywiście rację, kiedy naciskali w tej sprawie na azjatyckie tygrysy. Bez ich współpracy zachodnie postulaty zeroemisyjności staną się walką z wiatrakami, a coraz bardziej restrykcyjne zasady gospodarki odpadami jedynie namnożą nam w domach plastikowych kubłów na śmieci *made in China*. Nie sposób jednak pozbyć się wrażenia, że zachodnia presja na azjatyckich partnerów była także sprytną próbą przerzucenia na nich kosztów klimatycznej transformacji. W przypadku Chin czy Indii konsumpcja wewnętrzna odpowiada najwyżej za jedną trzecią ich emisji CO_2. Reszta trafia do atmosfery przy produkcji dóbr przeznaczonych dla USA i Europy. Globalizacja pozwoliła nie tylko na *outsourcing* produkcji, ale także na *outsourcing* zanieczyszczeń.

Klincz, w jakim utknęli globalni przywódcy w Glasgow, był łatwy do przewidzenia. Politycy muszą uwzględnić w swoich decyzjach temperaturę emocji społecznych, a te, jak widać, ryzyka klimatyczne i ekonomiczne traktują w najlepszym razie jednakowo poważnie. Dopóki to nie ulegnie zmianie, żaden szczyt klimatyczny nie przyniesie przełomu. Dlatego najwyższy czas przypomnieć sobie maksymę starego Paracelsusa, że trucizną nie jest substancja, lecz dawka. I przejść na globalną dietę bez oglądania się na to, kto zacznie.

Święta to nie najlepszy czas na radykalizm, ale może warto zamiast chmary drobiazgów umieścić w tym roku pod choinką po jednym w miarę porządnym i użytecznym prezencie dla każdego członka rodziny. Takim, który posłuży dłużej niż do kolejnego Czarnego Piątku.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE

W dziewiątą rocznicę śmierci

prof. Jacka Woźniakowskiego

będziemy się modlić w Jego intencji i w intencji spraw Jemu bliskich w kościele św. Marka w Krakowie, **w piątek, 26 listopada o godzinie 16:30** podczas Mszy św., którą odprawi ks. prof. Robert Woźniak.

Później zapraszamy na ul. Pijarską 5, gdzie pod tablicą pamiątkową zapalimy świece.

Róża Thun i
Henryk Woźniakowski

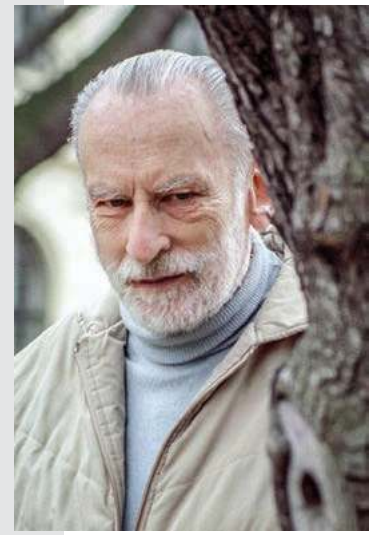

I tak pójdę do lasu

PAULINA BOWNIK, LEKARKA ZNAD GRANICY:

Nie chcę mówić o swoich uczuciach. Chciałabym tylko, aby państwo polskie nie przeszkadzało w niesieniu pomocy.

BARTOSZ RUMIEŃCZYK: Dlaczego Pani to robi?

PAULINA BOWNIK: Znam jedną panią, której polityka nie interesuje. Mówi, że chodzi do lasu z gorącą zupą, bo są w nim głodni i zziębnięci ludzie. Ja chodzę do lasu z torbą lekarską, bo są w nim ludzie, którzy potrzebują pomocy medycznej. Ale muszę zaznaczyć, że nie jestem ratowniczką – jestem lekarką rodzinną, pracuję na oddziale chorób wewnętrznych. Musiałam w trybie ekspresowym dokształcić się z takich zagadnień jak choćby hipotermia.

Czym jest hipotermia?

To obniżenie temperatury organizmu o kilka stopni, co ostatecznie może prowadzić do śmierci. W pierwszych fazach człowiek odczuwa dreszcze i zziębnięcie. Co paradoksalne: temperatura może wzrastać i póki z wychłodzonym jest kontakt – jest dobrze. Ale w kolejnych fazach pojawia się uczucie splątania: człowiek nie do końca wie, co się z nim dzieje, nie odpowiada na pytania i powoli traci kontakt z rzeczywistością. W ostatnich fazach przestaje odpowiadać na bodźce.

Spotyka się Pani głównie z hipotermią?

Owszem. I tych przypadków jest coraz więcej, ale tym, co mnie niepokoi, jest coraz więcej pobić.

Przez polskich pograniczników?

Nie mam ciepłych uczuć w stosunku do naszych pograniczników, ale z tego, co wiem, nie wykazują się aż taką agresją jak służby białoruskie. Owszem, popychają ludzi, używają niecenzuralnych słów i stosują przemoc psychiczną, ale pogranicznicy białoruscy biją. Spotykam się z najrozmaitszymi urazami: obtłuczeniami po pałkach, połamanymi żebrami, urazami twarzoczaszki i – niestety – połamanymi kończynami.

W lasach są też kobiety w ciąży oraz po poronieniach. Zajmowała się Pani jedną z nich, pochodzącą z Konga kobietą o imieniu Judith.

Dostałam wezwanie z informacją, że na miejscu jest kobieta w ciąży. Gdy dotarłam, siedziała na macie i sprawiała wrażenie strasznie smutnej, wręcz przytłoczonej. Na początku powiedziała, że nic jej nie jest i że nie potrzebuje lekarza. Gdy usiadłam obok niej i zaczęłam po prostu rozmawiać, zauważyłam, że na ręce ma plaster, więc powiedziałam po polsku (rozmawiałyśmy przez francuskiego tłumacza) „ojej, masz tu kuku". Na co ona odparła: „Tak, i mam poronienie". Wtedy zaczęłyśmy rozmawiać o tym, który był to miesiąc i jak do tego doszło.

Według relacji dziennikarzy OKO.press nasi pogranicznicy przerzucili ją przez granicę i wtedy poroniła.

Nie wszystko zrozumiałam podczas naszej rozmowy, ale jako lekarka nie jestem od tego, by wnikać w historię uchodźców. Jestem od udzielania pomocy medycznej. Ta kobieta krwawiła i była w bólu, więc przeprowadziłam badanie.

To było badanie ginekologiczne?

Badanie brzucha, bez rozbierania. Proszę pamiętać, że jestem tylko lekarzem rodzinnym i wcześniej w swojej praktyce nie musiałam zajmować się poronieniami czy np. zakładać wenflonów, a dziś muszę to robić. Zakładanie wenflonu w przypadku osoby odwodnionej – i to w lesie – jest bardzo trudne.

Z czego to wynika?

Trudno znaleźć odpowiednie miejsce do wkłucia, bo żyły są pozapadane. Tak było w przypadku Beshira, mężczyzny, który był wychłodzony, miał 32 stopnie, ale był także odwodniony. Ponad 20 minut, wspólnie z panią anestezjolog, szukaliśmy u niego żyły. Znaleźliśmy jedną, maleńką – na kciuku. Mimo że nie powinno się w tym miejscu zakładać wenflonu, pani anestezjolog się wkłuła. Mężczyzna był tak odwodniony, że krew w wenflonie zaczęła krzepnąć, więc trzeba było wkłuć się jeszcze raz.

Kilka razy w życiu miałem zakładany wenflon i gdy teraz patrzę na swój kciuk – to nie wyobrażam sobie wkłucia w tym miejscu.

To wszystko nie powinno tak wyglądać. A Beshir po kilku godzinach został wypisany ze szpitala. *Nota bene*, przed rozmową z panem skończyłam pisać skargę do komendanta miejskiego policji w Białymstoku na funkcjonariuszy, którzy usiłowali uniemożliwić przekazanie mężczyźnie dokumentów, by mógł złożyć wniosek o azyl. Dwóch policjantów, nie przedstawili się, wyprowadziło mnie siłą ze szpitala. Gdy wyjęłam telefon i zaczęłam dzwonić po prasę, pozwolili mi wrócić na oddział. Ta historia akurat

ANNA MARIA BINIECKA

Paulina Bownik w Usnarzu Górnym, 31 sierpnia 2021 r.

skończyła się dobrze, bo mężczyzna żyje i ma wszczętą procedurę azylową.

A co stało się z Judith?

Po badaniu wstała, ubrała się i poszła w las. W dzień uchodźcy odpoczywają, a w nocy idą. Z Judith też ułożyło się pomyślnie. Jest bezpieczna za granicą, spotkała się z mężem. Ale gdy ją spotkałam, miała za sobą cztery push backi, od miesiąca się nie myła, była w złym stanie psychicznym.

Co czuje lekarz, który wie, gdzie są ludzie potrzebujący pomocy, a nie może do nich iść?

Wielokrotnie jestem pytana o uczucia, ale – proszę wybaczyć – nie chcę mówić o sobie. Powiem tylko, że chciałabym, aby państwo nie przeszkadzało nam w niesieniu pomocy. Znam ludzi, którzy za noszenie zupy i ciepłych ubrań do lasu dostają mandaty, od których co prawda się odwołują, ale w sądzie sprawy przegrywają. Tymczasem, jak powiedział Mirosław Mniszewski, który jako jeden z pierwszych informował o obozie w Usnarzu Górnym, i który od początku kryzysu angażuje się w działania pomocowe – gdyby nie my, w lasach leżałyby setki trupów.

Poświęcamy więc swoje życie prywatne, by tych trupów nie było, a państwo nas zastrasza, karze za wchodzenie do strefy stanu wyjątkowego. A przecież to tam są osoby najbardziej potrzebujące, najsłabsze, które nie mają siły wyjść ze strefy: kobiety w ciąży, dzieci, osoby starsze i chore. I to tam pomoc jest najbardziej potrzebna.

Medykom na Granicy spuszczono powietrze z kół w karetce, potem powybijano szyby w prywatnych samochodach [w ubiegłym tygodniu podlaska policja zatrzymała w tej sprawie trzy osoby – red.].

Skrócili swoje działania o ostatni dyżur. Zastraszanie działa?

Ja do lasu i tak pójdę, chyba że ktoś mi przystawi nóż do gardła. A obowiązki Medyków przejęli dzień później ratownicy Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej. Ale po tym ataku dzwoniły do mnie dwie osoby z mojej byłej pracy, z pytaniem, czy u mnie wszystko w porządku.

No, ale jeżeli wojskowym wolno robić takie rzeczy, bo to oni spuścili powietrze z kół karetki, a następnie odjechali śmiejąc się medykom w twarz, to inni czują się bezkarni. Uważam, że za to, co się stało w bazie Medyków na Granicy, odpowiedzialność ponosi państwo polskie.

Straciła Pani zaufanie do polskiej straży granicznej?

Pani major Katarzyna Zdanowicz, po moim wywiadzie dla zagranicznej telewizji, w którym ze łzami w oczach mówiłam o wyrzucaniu za granicę kobiet i dzieci, stanowczo zaprzeczyła, by takie sytuacje miały miejsce. Powiedziała, że funkcjonariusze są szkoleni w moralnym i etycznym zachowaniu. To było tuż po Usnarzu Górnym, a kilka dni później było Michałowo i sprawa zaginionych dzieci. Wtedy pani major przyznała: te osoby zostały doprowadzone do linii granicznej. To tyle, jeśli chodzi o prawdomówność straży granicznej.

Co powinniśmy zrobić, by zacząć ten kryzys rozwiązywać?

Powinniśmy zacząć postępować zgodnie z prawem międzynarodowym. Umożliwić ludziom złożenie wniosków o azyl, rozpatrzyć te wnioski i jeśli nie zachodzą przesłanki ku objęciu ochroną – deportować, a jeśli zachodzą – nadać status uchodźcy albo wyrazić zgodę na pobyt tolerowany. Zbiorowa mogiła po stronie białoruskiej to rozwiązanie najgorsze dla wszystkich.

© Rozmawiał BARTOSZ RUMIEŃCZYK

PAULINA BOWNIK była jedną z pierwszych lekarek chcących udzielić pomocy w Usnarzu Górnym. Służby nie pozwoliły jej podejść do ludzi koczujących na granicy. Trzy miesiące później nadal próbuje pomagać.

Ciemności nie widzę

KRZYSZTOF STORY

Mieszkańcy Siechnic, sąsiedzi 45-hektarowej sztucznie doświetlanej szklarni, tęsknią za widokiem gwiazd.

Pociąg relacji Kraków–Wrocław 12 km przed końcową stacją wjeżdża nieoczekiwanie na plan zdjęciowy „Mad Maxa". Jest dawno po zachodzie słońca, a tu nagle jasno. Pochmurny i mglisty wieczór przestaje posłusznie otulać ciemnością krajobraz za oknami wagonu. Robi się żółto. Poza „Mad Maxem" przypomina to jeszcze scenę z „Blade Runnera 2049". Bohater idzie tam przez postapokaliptyczne Las Vegas pełne rudego pyłu. Pod Wrocławiem jest podobnie, tylko tutaj zamiast pyłu krajobraz zanieczyszcza samo światło.

Ta scena wita mnie przy każdym wieczornym powrocie do rodzinnego Wrocławia. Źródłem surrealistycznej jasności jest Przedsiębiorstwo Produkcji Ogrodniczej w Siechnicach, które od 2012 r. należy do firmy Citronex. To 45 ha sztucznie doświetlanych szklarni – jedna z największych upraw w tej części Europy. W szklanych domach rosną pomidory – głównie czerwone, trochę żółtych. Tory kolejowe przebiegają tuż za zakładem. Jeszcze bliżej stoją domy, żyją ludzie.

Pomidorowy blask

Siechnice widać nie tylko z okien pociągu, ale też z całego Wrocławia, na zdjęciach satelitarnych, a nawet z odległych przecież górskich szczytów. Moim osobistym rekordem jest widok łuny ze wzgórz nad Lądkiem-Zdrojem – to ponad 80 km w linii prostej.

Pomidorowy blask obserwują też naukowcy z Instytutu Astronomicznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Obok planetarium przy ulicy Kopernika znajduje się jedna ze stacji pomiarowych projektu ALPS (All-sky Light Pollution Survey), który mierzy zanieczyszczenie światłem w różnych lokalizacjach. Rozmawiam z dr. Sylwestrem Kołomańskim, szefem projektu:

– Według definicji astronomicznej za niebo zanieczyszczone światłem uznajemy takie, które jest o więcej niż 10 proc. jaśniejsze od naturalnego. Nie ma w Polsce miejsca, które by się w niej nie mieściło. Najbliżej naturalnej ciemności są takie rejony jak Bieszczady, Góry Izerskie, Puszcza Piska czy Drawieński Park Narodowy.

– A duże miasta?

– We Wrocławiu prowadzimy pomiary od dłuższego czasu. Najlepiej jest w bezchmurne noce, ale nawet wtedy niebo jest aż około 30 razy jaśniejsze od naturalnego.

A jak jest teraz? Sprawdzamy pomiary dokonywane na żywo przez stację ALPS. 17 listopada 2021, godzina 18.40 (ponad 2,5 godziny po zachodzie słońca). Niebo jest 380 razy jaśniejsze, niż byłoby bez sztucznych świateł. Dr Kołomański mówi, że to jeden z wyższych wyników w tym roku. W mieście jest odwrotnie niż w naturze – najjaśniejsze są pochmurne noce. Takie jak dzisiejsza, kiedy nisko wiszące chmury dodatkowo odbijają i rozpraszają światło. Problem zanieczyszczenia światłem jest globalny, coraz lepiej zbadany i przede wszystkim coraz większy. – Świat robi się coraz jaśniejszy – dodaje Kołomański. – Między 2012 a 2016 rokiem wzrost jasności w skali globalnej wyniósł 9 proc. Ta dynamika dotyczy zwłaszcza krajów rozwijających się, jak Indie, Chiny, oraz rozwiniętych, np. Polski. Żeby świecić, trzeba mieć za co.

Droga do Betlejem

Jadę do Siechnic. Nawet gdybym nie znał drogi na pamięć, nie musiałbym włączać nawigacji. Wystarczy jechać w stronę światła. Do szklarni dojeżdżam 1,5 godziny po zachodzie słońca, lampy są już włączone. Dają ciepłe, żółte światło, tak mocne, że spokojnie mogę przy nim czytać książkę. Nic dziwnego, że mieszkańcy o uprawach Citroneksu mówią: „Betlejem". Od innych słyszę: „smocza jama". Dla mnie, zwłaszcza z perspektywy drona, Siechnice są jak kadr z filmu *science fiction* – wielkie pole cybernetycznej pszenicy.

Większość mieszkańców Siechnic mówi, że przywykła do przedłużonego dnia. Światła Citroneksu gasną mię-

KRZYSZTOF STORY

dzy 23 a północą, zapalają się około 5. Czasu na sen mają dość, a w domach i tak założyli rolety. Ktoś czasem zrobi mem o tym, że UFO na pewno wylądowałoby w Siechnicach. Tylko od jednej osoby słyszę, że faktycznie ciężej jej zasnąć, kilka osób skarży się na hałas z tzw. działa przeciwgradowego (urządzenie, które minimalizuje ryzyko gradu, który mógłby uszkodzić szklarnie). Jeśli coś przeszkadza pozostałym, to tylko brzydota miasta. Słyszę, że tęsknią za widokiem gwiazd.

Mieszka tu 7500 osób, choć jeszcze 10 lat temu było ich prawie o połowę mniej. To nie tylko zasługa rozwoju zakładu, który zatrudnia 600 osób. Siechnice stały się sypialnią Wrocławia. Wolnych miejsc jest już niewiele, co chwilę spotykam kolejny plac budowy albo domy stojące w szczerym polu bez porządnej drogi dojazdowej. Suburbanizacja w pełnym rozkwicie nie oszczędziła też terenów tuż przy pomidorach. Pod samą szklarnią mieszkają ludzie, buduje się kilka nowych osiedli. Spotykam tu młode małżeństwo na wieczornym spacerze. Wprowadzili się dwa miesiące temu.

Siechnice, 17 listopada 2021 r.

– Nie da się tu kupić domu bez rolet, ale ceny nie są specjalnie niższe – mówią. – Nam to w ogóle nie przeszkadza, nawet więcej, czasem pomaga. Tu zbudowano dużo domów przy szutrowych drogach bez żadnego oświetlenia. Bez tych szklarni mielibyśmy zupełnie ciemno. Ludzie sobie doskonale radzą, ale zwierzętom to na pewno przeszkadza.

Rudziku, pobudka!

Negatywny wpływ zanieczyszczenia światłem na życie zwierząt był potwierdzany naukowo na całym świecie. Sytuację w Siechnicach sprawdzała ornitolożka Karolina Skorb.

– Na mapach zanieczyszczenia światłem z reguły najjaśniejsze są centra dużych miast – mówi. – A tu najjaśniejszy punkt jest 15 km od centrum. W dodatku tuż obok szklarni znajduje się mały las, 19 ha. To idealna powierzchnia doświadczalna.

Skorb nagrywała i analizowała śpiewy ptaków, by zbadać liczbę gatunków i ich aktywność. Obszar kontrolny wyznaczyła po drugiej stronie miasta, daleko od intensywnych świateł. Pierwszy wniosek: w okolicy szklarni żyje mniej gatunków. Okazało się też, że rudziki w Siechnicach budzą się średnio o 40 minut wcześniej niż ich koledzy z zachodniej strony Wrocławia. Jeszcze większe różnice były u kosów: miały pobudkę 70 minut wcześniej, o 20 minut później szły spać.

– Każde wydłużenie aktywności oznacza dodatkowy wydatek energetyczny – dodaje ornitolożka. – W dodatku ptaki, które mają deficyt snu, muszą kiedyś odespać. Wtedy są narażone na ataki drapieżników. Wyobraźmy sobie, że nas codziennie ktoś zrywa z łóżka o ponad godzinę wcześniej.

Karolina Skorb badała tylko aktywność ptaków w ciągu doby, ale konsekwencji zanieczyszczenia światłem jest więcej. – Negatywnie wpływa na bogactwo flory jelitowej – dodaje. – Zwierzęta wtedy mniej efektywnie pozyskują energię z pożywienia. Zwiększa się za to poziom kortykosteronu, hormonu stresu. Nadmiar światła istotnie przyspiesza dojrzewanie płciowe ptaków. Efekt może być taki, że wcześniej przystąpią do lęgu, a pisklęta wyklują się wczesną wiosną, kiedy nie ma jeszcze odpowiedniej ilości pokarmu albo jest za zimno.

740 samolotów

Na liście gatunków wrażliwych są też owady i nietoperze. I, jak zwykle, gdzie jeden traci, tam drugi korzysta. Nie chodzi tylko o pająki wieszające sieci na latarniach, by łapać zwabione światłem owady, ale też o ludzi i uprawiane przez nich rośliny. Sens i potrzebę doświetlania szklarni tłumaczy dr Anna Kołton z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie: – Rolnik ma wyprodukować jak najlepszej jakości plon. Zdrowy, bezpieczny, smaczny i akceptowalny cenowo. Z drugiej strony jesienią i zimą mamy krótszy dzień i klimat, który temu nie sprzyja. Pomidor potrzebuje nawet do 16 godzin światła, musimy albo doświetlać, albo uprawiać go tylko w lecie. To samo dotyczy szklarni z ogórkiem, sałatą, papryką.

Kołton szacuje, że pod sztucznym światłem z metra kwadratowego możemy zebrać od 60 do nawet 120 kg pomidorów każdego roku. Mnożąc 120 przez 45 ha uprawy w Siechnicach, dostaniemy 54 tys. ton. To tyle co 740 samolotów pasażerskich airbus a320. Bez lamp mielibyśmy zaledwie ułamek tego.

Regulacji brak

Czy jednak oświetlenie konieczne do uprawy musi rozlewać się na cały okoliczny region? Anna Kołton wyjaśnia, że nie: – Jest tylko jedna możliwość: instalacja specjalnych kurtyn. To technicznie wykonalne, tylko bardzo drogie. Metr kwadratowy takiej zasłony może kosztować nawet ponad 30 dolarów. Dodatkowo konieczna jest budowa specjalnej wentylacji, która wymusi przepływ powietrza przy zasuniętych kurtynach. Oczywiście problem zanieczyszczenia światłem jest poważny, ale rozumiem przedsiębiorcę, który nie zdecyduje się na tak dużą inwestycję, jeśli nie musi.

A nie musi, bo polskie prawo nie ma prawie żadnych regulacji związanych z oświetleniem. Dobrze pokazuje to przypadek Siechnic, których burmistrz Milan Ušák próbował skłonić Citronex do ↦

RDC **AUTOR** będzie gościem Roberta Łuchniaka w porannej audycji Radia RDC w środę 24 listopada o godzinie 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – **www.rdc.pl**
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

↦ ograniczenia emisji światła. Urząd Miasta mógł jedynie poprosić władze powiatu, by te nakazały firmie przeprowadzenie „przeglądu ekologicznego". Starosta przychylił się do prośby. Citronex od decyzji się odwołał i sprawę wygrał, bo Samorządowe Kolegium Odwoławcze stwierdziło, że „brak jest podstaw prawnych, aby zobowiązywać Spółkę do udowodnienia (...) że eksploatowana przez nią instalacja nie oddziałuje negatywnie na środowisko". Władze Siechnic więcej zrobić nie mogą.

Dr Kołton jest więc w pewnym konflikcie: z jednej strony promuje ideę ciemnego nieba, z drugiej współpracuje z rolnikami i ogrodnikami, którzy bez świateł nie mogą pracować: – Najrozsądniejszym rozwiązaniem jest wprowadzenie takich regulacji, by emisję światła rozpatrywać już na etapie budowy takiej szklarni. To też znacznie tańszy sposób niż dokładanie kurtyn do już działającej uprawy.

Paleta szkód

Słowo „zanieczyszczenie" kojarzy się z realnymi szkodami. W przypadku światła oczywisty jest wpływ na przyrodę, ale to nie koniec. Dr Sylwester Kołomański mówi o tym z perspektywy astronomicznej: – Degradacja nocnego nieba to degradacja zasobu naukowego, możliwości badania wszechświata. Jeszcze przez długi czas obserwacje naziemne będą istotne w procesach badawczych.

Dawniej obserwatorium we Wrocławiu mieściło się w samym centrum miasta, na Wieży Matematycznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Prawie sto lat temu zbudowano planetarium na ulicy Kopernika, w Parku Szczytnickim. Daleko od centrum, ciemniej. Dzisiaj oba te miejsca są bezużyteczne, a naukowcy z Wrocławia na obserwacje jeżdżą 30 km dalej, do Białkowa.

Piotr Nawalkowski ze Stowarzyszenia POLARIS-OPP pokazuje, że paleta szkód jest szersza: – Człowiek od zawsze funkcjonował w rytmie okołodobowym, tak samo jak reszta natury. Ciągła ekspozycja na światło zaburza nasz zegar endogenny. Jest to już przedmiotem wielu badań, głównie zagranicznych. Potwierdzono, że praca na nocnych zmianach w silnym świetle zaburza wydzielanie melatoniny i zwiększa ryzyko rozwoju nowotworów. Istnieją badania wykazujące, że osoby słabowidzące, niewidome rzadziej zapadają na choroby nowotworowe. U kobiet to jest przede wszystkim rak piersi, u mężczyzn rak prostaty. Sztuczne przedłużanie doby wpływa też na układ krążenia, zdrowie psychiczne, procesy metaboliczne i inne.

Światełko do nieba

Nawalkowski od lat zajmuje się ochroną ciemności. Już jako nastolatek pasjonował się astronomią, z kolegami spotykał się w Sopotni Wielkiej w Beskidzie Żywieckim i obserwował nocne niebo pełne gwiazd. Z czasem założyli stowarzyszenie, a 10 lat temu zaczęli w Sopotni czynną ochronę ciemnego nieba. Współpracując z samorządem doprowadzili do wymiany latarni na takie z płaskimi szybami, które świecą tylko w dół, a nie rozpraszają światła dookoła. Organizują Festiwal Ciemnego Nieba, a Sopotnia jest dzisiaj znana głównie z astroturystyki. – Właśnie ruszamy z nowym projektem „Racjonalna polityka oświetleniowa w praktyce" z funduszy EOG – mówi Nawalkowski. – Będziemy pracować nad uchwałą krajobrazu nocnego, a mieszkańcom, którzy będą chcieli oświetlać lepiej swoje domy czy firmy, pomożemy merytorycznie i finansowo.

Zanieczyszczenie światłem w wielu krajach jest już rozpoznawane jako problem prawny. – Już w 2003 r. osiem z dwudziestu regionów we Włoszech miało lokalne prawa dotyczące zanieczyszczenia światłem – mówi dr Magdalena Zienowicz, architektka z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. – Miejscem, które warto obserwować jako dobry przykład, jest też Seul, gdzie w 2012 r. wprowadzono szereg rozwiązań, nie tylko technicznych, ale też mocno postawiono na edukację. Albo Valladolid w Hiszpanii, gdzie wszystkie witryny uliczne są oświetlane z zewnątrz. Lampy montowane na elewacji dzięki temu równolegle oświetlają ulicę i chodnik. We francuskim Rennes niedawno wprowadzono strategię ograniczania oświetlenia miejskiego, wyłączania niektórych obszarów.

Co można zrobić, by świecić lepiej? We wszystkich rozmowach pada jedna odpowiedź: świecić mądrze. Jak mówi Sylwester Kołomański, nie chodzi o to, by wrócić do świeczek, wręcz przeciwnie. Korzystać z innowacyjnych technologii, by jasno było w czasie i miejscu, w którym tego potrzebujemy. Padają też konkretne przykłady rozwiązań. Płaskie oprawy, które powodują, że światło nie rozprasza się wszędzie dookoła, a oświetla tylko chodnik czy ulicę. Puste ulice o 2 czy 3 w nocy nie muszą być oświetlone tak mocno, jak o godzinie 19. Można zaoszczędzić nawet 50 proc. energii (i pieniędzy), a nasze oko nie zauważy dużej różnicy. Piotr Nawalkowski podaje przykład Norwegii, w której latarnie świecą słabiej, gdy spadnie śnieg. Rewolucją jest też technologia LED, choć tu eksperci podkreślają, jak ważna jest temperatura barwowa (najtańsze, zimne diody źle wpływają na nasz organizm). Często też stare lampy wymienia się na dużo wydajniejsze LED-y i cała ulica nagle jest prześwietlona.

– Nie istnieje dobre albo złe światło – mówi Piotr Nawalkowski. – Każde ma swoje zastosowanie. Przecież nie wyjedziemy osobówką orać pola ani kombajnem na wycieczkę w góry. Tak samo ważny jest więc dobór odpowiedniego oświetlenia do miejsca i potrzeb. Kiedy chcemy napić się szklanki wody, nie rozlewamy całego wiadra, a niestety tak dzieje się bardzo często ze światłem wokół domów. Ze sztucznym światłem jesteśmy nadal zbyt rozrzutni. Współpracując z Norwegami zobaczyłem, że ich państwo podchodzi do tego bardzo oszczędnie i racjonalnie. Czy jako kraj jesteśmy bogatsi niż Norwegia, żeby pozwalać sobie na wysyłanie światła w kosmos?

©℗ KRZYSZTOF STORY

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 232/21 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy nieruchomości położonych w Jaraczewie, stanowiących drogi publiczne, oznaczonych geodezyjnie jako działka 469/2, arkusz mapy 3, o powierzchni 0,63,40 ha, działka 469/4, arkusz mapy 2, o powierzchni 0,01,24 ha, oraz działka 753, arkusz mapy 4, o powierzchni 0,37,00 ha, dla których nie jest prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

Warszawa, listopad 2020 r.

Epidemia śmierci

PIOTR WÓJCIK

Nie można zrzucić na pandemię całej winy za falę zgonów w Polsce. To bardziej efekt kumulujących się od lat problemów w ochronie zdrowia. Tolerowaliśmy je, więc fala wzbierała powoli, aż przybrała formę obecnego tsunami.

Gdyby w marcu 2020 r. powiedziano nam, że z powodu COVID-19 umrze 79 tys. ludzi, mało kto by uwierzył. Niestety, ten czarny scenariusz właśnie się ziścił i trudno się dziwić. Życie nad Wisłą cenione jest niżej niż w zdecydowanej większości krajów Europy, a Polacy umierają często z błahych powodów, takich jak zapalenie płuc. Długimi latami utrzymywaliśmy niedofinansowaną ochronę zdrowia, co właśnie teraz przynosi tragiczne rezultaty. Koronawirus jest jedynie dodatkowym czynnikiem, który sprawił, że epidemia śmierci przybrała jeszcze boleśniejszą formę.

Żyjemy krócej

Fala zgonów w Polsce zaczęła przybierać na sile w pierwszej połowie października zeszłego roku, gdy tygodniowa liczba zgonów notowanych w Rejestrze Stanu Cywilnego przebiła granicę 10 tys., choć w poprzednich latach umierało ok. 7,5 tys. Polaków. W najbardziej tragicznym 45. tygodniu ubiegłego roku (2-8 listopada) zmarło ponad 16 tys. osób. Od tamtej pory liczba zgonów utrzymywała się na poziomie ponad 10 tys. aż do początku maja tego roku.

Według Eurostatu ciężki okres od października do grudnia 2020 r. w Polsce był jednocześnie najczarniejszym kwartałem w całej Unii Europejskiej. W samym listopadzie liczba zgonów okazała się niemal dwukrotnie wyższa niż średnia miesięczna z lat 2016-2019. W październiku i grudniu „tylko" o połowę wyższa. Pamiętną wiosną 2020 r. podobną sytuację miały tylko Hiszpania i Włochy, jednak apogeum trwało tam dwa miesiące, a nie trzy, jak u nas. Wiosną tego roku Polska znów przodowała pod względem nadmiarowych zgonów – w kwietniu ich liczba była wyższa o dwie trzecie niż średnia z lat 2016-2019, a w marcu o jedną trzecią. Równie źle było tylko w Czechach i Bułgarii.

Jakub Lipiński z Klubu Jagiellońskiego prowadzi publicznie dostępną bazę danych „Excess Deaths in 2020-21 in EU Countries", w której podaje zsumowaną liczbę nadmiarowych zgonów z poszczególnych tygodni okresu pandemii: od początku ubiegłego roku aż do chwili obecnej. W ciągu analizowanych 93 tygodni w Polsce zanotowaliśmy łącznie 165 tys. zgonów więcej niż przeciętnie w analogicznym okresie w latach 2015-2019. To najgorszy wynik w Unii – w drugich pod tym względem Włoszech, które liczą ponad 20 mln więcej, liczba nadmiarowych zgonów wyniosła „jedynie" 152 tysiące. W także większej od nas Hiszpanii – 124 tysiące. W przeliczeniu na milion mieszkańców Polska znalazła się na niechlubnym drugim miejscu w UE – za Bułgarią, a przed Czechami. Liczba osób umierających „ponad normę" w Polsce jest proporcjonalnie czterokrotnie wyższa niż w ciężko doświadczonej pandemią Wielkiej Brytanii.

W rezultacie wyraźnie spadła oczekiwana długość życia. Według GUS w ubiegłym roku statystyczny Polak w momencie urodzenia miał 72,6 lat życia przed sobą. To najmniej od 2011 r. Statystyczna Polka pożyje dłużej – 80,7 lat, ale to i tak jest najniższy wynik od 2010 r. W skrócie, w zaledwie 12 miesięcy straciliśmy to, co udało się zbudować w trakcie całej poprzedniej dekady.

Z kolei w „International Journal of Epidemiology" grupa naukowców głównie z Oksfordu (ale też m.in. Instytutu Maxa Plancka) opublikowała szeroką analizę wpływu pandemii na długość życia w państwach należących do OECD. Polska, obok USA, Bułgarii i Litwy, znalazła się w grupie krajów, w których długość życia spadła najbardziej.

Umieramy na raka i choroby krążenia

To dramatyczne dane. Przegraliśmy z pandemią z kretesem, jednak nie wzbudziło to większych emocji wśród Polek i Polaków. Znacznie większe wzburzenie budzi inflacja, konflikt na wschodniej granicy, zmiany podatkowe czy pandemiczne restrykcje, które u nas i tak są dosyć łagodne. 165 tys. nadmiarowych zgonów rozeszło się, *nomen omen*, po kościach, gdyż Polacy przyzwyczaili się do przedwczesnych i niepotrzebnych śmierci, które towarzyszą nam od lat na potężną skalę. ↦

↦ Zakodowaliśmy je sobie jako coś zupełnie normalnego, chociaż wielu z nich spokojnie można by uniknąć. Gdyby tylko system ochrony zdrowia działał choć w przybliżeniu tak, jak w Europie Zachodniej.

Za przedwczesne zgony uważa się przypadki śmierci osób poniżej 75. roku życia w wyniku uleczalnych lub możliwych do uniknięcia chorób. Powyżej tej granicy ludzie zaczynają już umierać z tzw. starości, która oczywiście sama w sobie nie jest przyczyną śmierci, jednak przyjmuje się, że poniżej 75. roku życia większość chorób, nawet tych poważnych, powinno się móc wyleczyć. Według Eurostatu już przed pandemią Polska wypadała pod tym względem słabo. W 2018 r. zanotowaliśmy 355 przedwczesnych zgonów na 100 tys. mieszkańców – tylko w ośmiu krajach UE było ich więcej. Mowa w sumie o niepotrzebnej śmierci 135 tys. osób rocznie – tyle istnień jeszcze przed pandemią można było uratować każdego roku, gdyby tylko leczenie lub profilaktyka przebiegały prawidłowo. Oczywiście w każdym z państw ludzie umierają przedwcześnie, ale w wielu zdecydowanie rzadziej. Średnio w UE takich śmierci notuje się prawie o połowę mniej niż u nas, w Szwecji i Holandii zaś – aż dwukrotnie mniej.

Za liczne przedwczesne zgony odpowiada w Polsce najczęściej choroba niedokrwienna serca i rak jelita grubego, i to nie odróżnia nas od Europy. Wyróżniamy się przede wszystkim wysokim wskaźnikiem umieralności na zapalenie płuc, który jest trzykrotnie wyższy niż przeciętnie w UE. Ta zupełnie uleczalna choroba zabija więc co roku około 6 tys. Polaków. Według kontroli NIK z 2016 r. dostęp pacjentów do leczenia chorób układu oddechowego nie tylko był niewystarczający, ale wręcz się pogorszył. W 2018 r. NIK wykazała, że czas oczekiwania na rehabilitację pulmonologiczną wynosi nawet 191 dni.

CZARNA LICZBA

165 000

To zsumowana liczba nadmiarowych zgonów w Polsce, od początku pandemii aż do chwili obecnej. Daje to najgorszy wynik w Unii Europejskiej.

Mamy również o połowę wyższy wskaźnik śmiertelności na choroby mózgowo-naczyniowe – w tym udary. Wśród chorób możliwych do uniknięcia prym wiedzie też rak płuc, na który umiera co roku 50 osób poniżej 75. roku życia w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców. To trzeci najwyższy wynik w UE – po Węgrzech i Chorwacji.

Mniej Polaków

Grzechem pierworodnym polskiego systemu ochrony zdrowia jest finansowanie. Według OECD w zeszłym roku na zdrowie łącznie wydaliśmy 7,2 proc. PKB (Francja i Niemcy 12,5 proc.), jednak ponad jedna czwarta tych nakładów to środki prywatne. Można więc powiedzieć, że polski system ochrony zdrowia jest w jednej czwartej sprywatyzowany – i nic w tym dziwnego. Według najnowszego „Barometru Watch Health Care" średni czas oczekiwania na świadczenie medyczne w Polsce to prawie 3,5 miesiąca. Na wizytę u kardiologa czeka się pół roku, a u endokrynologa prawie 8 miesięcy. Pacjenci zamożniejsi ratują się więc wizytami prywatnymi, natomiast ci biedniejsi po prostu rezygnują z leczenia. Mamy też trzeci najniższy w OECD poziom refundacji leków – aż dwie trzecie wydatków związanych z preparatami na receptę to środki prywatne. W efekcie dostęp do usług medycznych w Polsce jest nierówny i zależy od stanu portfela. Według najnowszego raportu „Health at Glance" OECD, co dwudziesty pacjent w Polsce ma niezaspokojone potrzeby medyczne z powodów finansowych.

Słaba dostępność do opieki medycznej sprawia, że odwlekamy wizyty w placówkach aż do momentu, gdy jest za późno. Tak jest np. z rakiem piersi. Według OECD śmiertelność w Polsce jest trzecią najwyższą wśród 37 krajów członkowskich – wynosi 42 zgony na 100 tys. kobiet, czyli jest prawie dwukrotnie wyższa niż w Finlandii i Hiszpanii. Przeciętnie jedynie trzy czwarte pacjentek przeżywa 5 lat od diagnozy (trzeci najgorszy wynik w OECD), chociaż wśród kobiet leczonych we wczesnym stadium 5-letnia przeżywalność wynosi aż 95 proc. Problem w tym, że w Polsce takie początkowe fazy stanowią zaledwie 41 proc. chorych. W Holandii we wczesnym okresie choroby diagnozuje się dwie trzecie pacjentów...

Ekonomista Rafał Mundry, na podstawie danych GUS, publikuje regularnie 12-miesięczną sumę kroczącą urodzeń i zgonów w Polsce. We wrześniu dla zgonów wyniosła ona 539 tys., a dla urodzeń 335 tys. Mamy więc do czynienia z zupełnie rekordowym deficytem demograficznym – w ciągu ostatnich 12 miesięcy ubyło nas aż 200 tys. To tak, jakby z mapy kraju zniknął cały Toruń. Liczby urodzeń już raczej wyraźnie nie podniesiemy, gdyż kolejne narzędzia polityki prorodzinnej spełzły na niczym. Możemy jednak zastopować tę epidemię śmierci, która przechodzi przez Polskę.

Oficjalne zgony covidowe odpowiadają jedynie za niecałą połowę nadmiarowych przypadków zanotowanych od początku pandemii. W sumie według GUS covid był przyczyną 9 proc. zgonów w 2020 r. Nadal choroby układu krążenia odpowiadały za jedną trzecią śmierci, a nowotwory za jedną piątą. Nie można więc zrzucić całej winy za przechodzącą przez Polskę falę śmierci jedynie na pandemię. To efekt kumulujących się od lat problemów w ochronie zdrowia. Tolerowaliśmy je, więc fala zgonów wzbierała powoli, aż przybrała formę obecnego tsunami. Bez radykalnej reformy systemu ochrony zdrowia będziemy mieli małe szanse na uniknięcie kolejnej katastrofy.

© PIOTR WÓJCIK

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 125/21 toczy się postępowanie z wniosku Henryka Rozwarzewskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Ednie Rowenie Rozwarzewskiej zm. 17 listopada 2008 r. w Służejowie, ostatnio zamieszkałej w Służejowie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Ednie Rowenie Rozwarzewskiej, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

JACEK

Podsiadło:
Partactwo w pralnictwie

W latach 30. koncern Schichta reklamował swój proszek do prania hasłem „Radion sam pierze". Tadeusz Faliszewski śpiewał: „Rozpuść Radion w zimnej wodzie, / na litr jedno deka starczy! / Potem bieliznę włóż i gotuj / piętnaście minut w pianie / wreszcie odłów bez kłopotu / i gotowe całe pranie. / Radion sam pierze!".

Niemiecki potentat w dziedzinie czystości trafnie odgadywał odwieczne marzenie każdej kobiety, żeby pranie robiło się samo. Kobiety, bo chłop za pranie brał się tylko ten, który kobiety nie miał. Ewentualnie miał, ale prał terapeutycznie. Za pomocą prania uspokajają się bohaterowie „Czterdziestolatka" i „Wojny domowej". Inż. Karwowski chwali się znad namoczonej koszuli: „Ja sobie nawet w akademiku sam prałem i zawsze mnie to uspokajało!". Karwowska wyzywa go od szopów praczów i podpowiada: „Oddałabym twoje koszule do Pracy Kobiet i w trzy dni miałbyś wszystkie wyprane i wyprasowane". Odpowiedź brzmi: „Tylko żeby mi guzików nie poobrywali!". Zaś przyłapany na praniu Jankowski wyjaśnia: „Kupiłem sobie w Łodzi koszulę non-iron i chcę sobie raz coś sam przeprać!". Nie może sprać zabrudzeń kołnierzyka i mankietów, więc Jankowska radzi: „Trzyj mocniej albo noś krócej".

„Noszenie krócej" jako sposób na zachowanie świeżości garderoby miało jeszcze stać się modne. Na płycie grupy Perfect z 1981 r. Grzegorz Markowski marzy: „Ach, chciałbym ja tak umieć żyć, / co noc z inną małolatą w dyskotece pić. / Ach, czemu więc nie mogę ja / mieć koszule nowe zawsze zamiast stare prać". Nie wiem, czy o małolatach też, ale o niepraniu koszul marzył za Gierka co drugi Polak, niepranie koszul stało się miarą jego wyobrażeń o wystawnym życiu i zadawaniu szyku. W jednym z odcinków „07 zgłoś się" sprzątaczka w nadmorskim kurorcie dzieli się z por. Borewiczem obserwacjami z życia cudzoziemskich donżuanów: „Wie pan, to są eleganccy panowie. Mają tyle koszul, że nie piorą ich wcale, tylko ciągle zmieniają na nowe". Ponieważ co drugi Polak nie podziela marzeń co drugiego Polaka, w głosie Borewicza pobrzmiewa sarkazm: „To rzeczywiście szalenie eleganckie".

Obrywanie guzików, którego tak się bał Karwowski, nie było najgorszą z tradycji peerelowskich pralni. W telewizyjnym „Wielokropku" z 1963 r. duet Kociniak-Kobuszewski podawał, że w ciągu półrocza warszawskie pralnie zgubiły 700 ubrań, po czym Kobuszewski śpiewał w imieniu własnej, utraconej odzieży: „Któż mię teraz przywdzieje? / Jakiś inny już pan? / W pralni, miejmy nadzieję, / wykonano już plan". Reportera poznańskiego „Tygodnia" zdziwiła podczas „zwiadu" w pralni dziewicza, niezawierająca żadnej skargi książka skarg i wniosków. „– Klienci są zniechęceni długo utrzymującymi się trudnościami w pralnictwie i już nie wierzą w skuteczność żadnych interwencji? – pytam kierowniczkę punktu. – Nie jest tak dobrze, aby klient w ogóle zaniechał interwencji. Jeżeli przychodzi raz jeden, potem drugi i trzeci, i mimo upływu terminu garderoba nadal jest niewyczyszczona, sięga po książkę".

W maju 1975 r. w Kielcach reporterzy „Słowa Ludu", naliczywszy na osiedlu Żeromskiego 14 balkonów obwieszonych praniem, sprawdzali podczas specjalnego „rajdu", jak funkcjonują pralnie dla mieszkańców instalowane w blokach. „Niech pan popatrzy: brak kratki zlewowej, kotła, nie można go napełnić wodą, bo zawór zepsuty". Ale brak kotła z zepsutym zaworem na Żwirki i Wigury 30 to nic w porównaniu z sytuacją na Kusocińskiego 23, gdzie pralnię umiejscowiono na 10. piętrze. „Woda nie zawsze dochodzi tak wysoko, monterzy ADM zabrali kran od wanny, nie można płukać – informuje dozorca".

Kiedy na rynku pojawiła się sławetna Frania, w zakładach pracy losowano szczęśliwców, którzy mogli ją nabyć. Opiewano ją w poezji i w pieśni (Gawęda: „Więc gdy się poplamisz sokiem albo smalcem, / zatańcz rokendrola przy domowej pralce"; Tropicale Thaitii Granda Banda: „Franiu, uroda twa / jak rdza / pożera mnie"). A potem Frania nagle postarzała się i zbrzydła w naszych oczach. Kronika z 1982 r.: „W sklepach gospodarstwa domowego Frania nie ma powodzenia. Młode małżeństwa chcą robić pranie tylko w pralce automatycznej. Dla ułatwienia sklep wprowadził zapisy na zapisy". Małgorzata Szpakowska w „Obyczajach polskich" zauważyła, że poczciwą Franię traktowano niemal jak domownika, podczas gdy jej następczyni to już tylko urządzenie. „Początkowo wprawdzie jest to urządzenie drogie i bardzo trudno dostępne; aby zdobyć którąś z polskich pralek lub radziecką wiatkę, prądożerną, ale niezniszczalną, przed sklepami ustawiają się nocne kolejki i sporządzane są tak zwane »listy społeczne«". W kronice z 1983 r. listy owe określa się jako „sekretne" i zawiadywane przez „tajemnicze masonerie". To dlatego, że pralka automatyczna jak żadna przed nią stała się przedmiotem handlu wymiennego i spekulacji. Pióreckа w „Zmiennikach" umówiła się z Ołtarzewską „przed Predomem", gdzie zapowiedziano „zapisy na pralkę". Zdziwionemu Pióreckiemu („A gdzie tu pralkę wstawisz?") tłumaczy jak dziecku: „A kto mówi o pralce? Jak będziemy mieli pralkę, to się ją zamieni z pocałowaniem ręki na zlewozmywak, kuchnię z piekarnikiem i jeszcze coś dorzucą...".

Kiedy pralka nowej generacji pojawiła się i u Karwowskich, pani Madzia zachwycała się, że wreszcie jest coś, co naprawdę samo „pierze, odwirowuje, uwzględnia specyfikę materiału!". A Karwowski swoje: „Kiedyś ręcznie prałem, tarłem to, wyżymałem, miałem się nad czym skupić i dawało mi to ogromne odprężenie, a tak to tylko włączam i wyłączam, o, o, o!".

„Uważaj, bo zepsujesz". ©

Z ODDECHEM

BABCIA BABIA

Jedyna znana opowieść o najwyższej w Polsce górze poza Tatrami dotyczy tylko jej połowy. Po tej drugiej dzieją się dziwy.

TEKST MARCIN ŻYŁA | ILUSTRACJE ADRIANNA IWANEJKO

JEST TU W LESIE ŚCIEŻKA TAK WĄSKA, ŻE ZNALEŹĆ MOŻNA JĄ TYLKO wtedy, gdy stanie się we właściwym miejscu, popatrzy w bok i zamknie oczy. Mignie wtedy pod powieką jak powidok, jak nitka chińskiego muru widziana z orbity albo daleka, pierwsza błyskawica, która w słoneczny dzień wieszczy burzę tak nieprawdopodobną, że zawsze myślimy: „to ułuda".

Poprowadzi nas ta ścieżka wysoko, do osuwisk wielkości kamienic, obok dziur w ziemi, z których kilka to jeszcze nieodkryte jaskinie, przez strome jary potoków, z widokiem na Tatry. Obejdziemy świerki powalone wiatrem i postaramy się nie przepaść w dzikim ogrodzie borówek, który sto lat temu, jak wszystkie raje, gajowi ochrzcili „Ameryką".

Bo z naprzeciwka ktoś już ku nam idzie na spotkanie.

PRZEZ ZASPY, z których wystają pojedyncze gałęzie kosodrzewiny, przedziera się siedemnastoletnia dziewczyna. Wspina się z dołu, z lipnickiego cmentarza – właśnie pochowała ojca, który wrócił z niewoli u Rosjan chory na tyfus. Jest styczeń 1919 r. Zmierzcha. W dziwnej chwili, gdy już nie jest jasno, a jeszcze nie ciemno i cały świat staje się niebieski, Wilmie też się zdaje, że nie chce żyć.

Jest wycieńczona. Żeby zbić trumnę, pozbierała deski ze starych szałasów, ciało zwiozła saniami. Teraz sama wraca na tysiąc sześćset metrów ponad poziomem Adriatyku. Węgry skończyły się tutaj dwa miesiące temu, ale wysokości ciągle mierzą od brzegów w Trieście. Nie ustalono nowych granic. Ludzie mówią językiem, który nazwą słowackim lub polskim dopiero później, gdy w Paryżu znudzeni ambasadorowie usiądą w końcu nad mapą Orawy i prostą, czerwoną kreską przedzielą hale, na których od pięciu lat Wilma, jako jedyna dziewczyna, wypasa stada wołów.

ALBIN MARCINIAK / EAST NEWS // ANDRZEJ IWANOWSKI / FORUM // ADRIAN GŁADECKI / REPORTER // MONTAŻ TP-ONLINE

Znajduje kolibę, wbija narty w śnieg, zasypia. Sto metrów wyżej, już w ciemnościach, duje śniegiem szczyt Babiej Góry.

Szum wiatru przechodzi w śnie Wilmy w dźwięk wolego rogu. To Staszek Kowalik, syn gospodarza schroniska, przywołuje ją, by opowiedziała gościom, jak na pierwszym wiejskim zebraniu po zamachu w Sarajewie została wybrana na wolarkę. Za powołanego do armii ojca.

Czterysta krów wypasali w Babiej chłopcy z Lipnicy, trzydziestu może ich było i ona sama. Co to był za widok, gdy po Zielonych Świątkach gospodarz pierwszego domu wyprowadzał swoje zwierzęta, w miarę zaś, jak szły w górę wsi, sąsiedzi dołączali kolejne. Rosło tak stado przez kilka godzin i za ostatnią rolą dochodziło do polany, gdzie je koszarowano i liczono. Tu zaczynała się jej praca – nazajutrz o świcie pędziła już zwierzęta wysoko, na hale Babiej.

Zostawały tam do sierpnia, gdy na dole potrzebowano je z powrotem, do żniw. Wolarze zmieniali się co tydzień, częściej między wsią a kolibami kursowali ich pomocnicy, odpaśnicy, donoszący jedzenie i tabakę. Wilma najbardziej lubiła moment, gdy wszyscy zasypiali przy ognisku, a wokół, w kręgu, gromadziły się co mniej płochliwe woły.

Jednak nigdy nie schodziła do Lipnicy. Nawet gdy jej zmiennicy trafiali się w ciemne noce nowiu – znikała w lesie.

NIE MA DRUGIEJ TAKIEJ GÓRY. Wznosi się na 1725 metrów nad poziomem morza, prawie dwieście wyżej niż Pilsko, drugi co do wysokości szczyt Beskidów. W obecnych granicach Polski wyższe od niej góry są tylko w Tatrach. Widać ją znad Cieszyna i Rużomberku, z Krakowa, zawsze inaczej, bo wygięty ku południu łuk masywu i pokryty rumowiskiem szczyt odmieniają jej wygląd w zależności od miejsca, z którego się patrzy. Rozdziela zlewiska mórz, dla chmur i wiatrów stanowi tak poważną przeszkodę, że tworzy własną pogodę.

Wśród turystów była popularna od dekad, ale nigdy jeszcze nie wchodziło na nią tak wielu ludzi jak teraz. Rykoszetem odbiła się na Babiej popularność Tatr. Bo te najwyższe góry najpiękniej widać właśnie z jej szczytu. Szczególnie jesienią, tuż po wschodzie słońca, gdy wszystko, co niżej – przepastne torfowiska i powstałe po ostatniej wojnie sztuczne jezioro – pokrywa morze mgieł. A polanę Krowiarki – miejsce, z którego zaczyna się wycieczki – morze samochodów.

Po tych standardowych informacjach w przewodnikach po Babiej Górze następuje zwykle wysyp rytualnych określeń: „Królowa Beskidów", „Matka Niepogód"...

Ale nigdzie jeszcze nie napisano, że znana w dzisiejszej Polsce opowieść o górze dotyczy tylko jej połowy – tej od strony wypoczynkowej wsi Zawoja. To tutaj, na północ, Babia obrywa się przepaścistymi zboczami, tu działa schronisko na Markowych Szczawinach, tędy wiedzie skalna Perć Akademików, gdzie w co trudniejszych miejscach zamontowano klamry i łańcuchy. Nawet na emblemacie parku narodowego górę przedstawiono od północy.

Druga połowa Babiej jest jak ciemna strona Księżyca.

W CIEMNOŚCIACH, bez światła, Wilma chodziła starym sposobem Orawian. Patrzyła w górę, szukała przecinki, fragmentu nieba między koronami drzew. Wysoko podnosiła nogi, ręce wyciągała na sztywno do przodu, w każdej chwili liczyła się z upadkiem.

Rzadko brała smolną, drewnianą pochodnię, a nawet wtedy dochodziła z nią tylko do pierwszego miejsca, skąd nie było słychać krzyków wolarzy, i długo siedziała, patrząc na zmieniające się kolory płomienia oraz na złudy, które tworzył wahliwy cień. „Ile się wtedy przeróżnych kształtów, figur, postaci widziało, a to wszystko przy tym gdzieś głęboko zostawało w umyśle i duszy – wspominał potem pisarz słowacki Milo Urban, rówieśnik Wilmy, który w te same noce w podbabiogórskich Rabczycach też gapił się w ogień. – Nie miałem wtedy jeszcze pojęcia o dawnych przodkach, co przy takim świetle przesiadywali wieczorami i takie same kształty, figury i postacie nawiedzały ich myśli i pomagały pokonać ciemność". ↦

↦ Była zmęczona również dlatego, że dzień przed pogrzebem wróciła z Krakowa. Półtora dnia zajęło przejście siedemdziesięciu kilometrów, z powrotem dłużej, bo niosła metalowe sprzączki do uprzęży, które po odparciu armii rosyjskiej na początku wojny wciąż najtańsze były na Kleparzu. Wilma przywykła do marszu na długich dystansach, bo w jej wsi od nóg często zależało przetrwanie. Na tym północnym krańcu królestwa, przy granicy z Galicją, ziemia była nieurodzajna, okres wegetacji krótki. Węgrzy nigdy się tu nie osiedlili, nazywali region „smutną sierotą". „Ej, ta naso Orawa, słynie ino za to, ze trzisto dni zimy, reśte samo lato", śmiali się lipniczanie. I sami chodzili do Węgier.

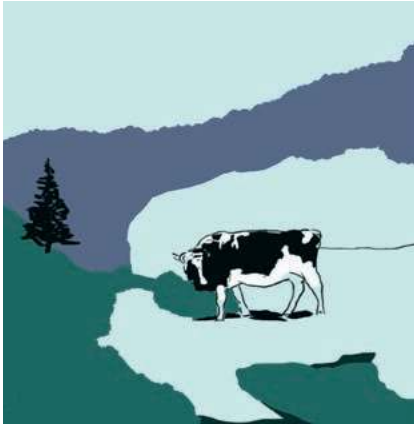

Marsz do Budapesztu trwał stąd dwa tygodnie. Szli tam orawscy chłopcy stawiać imponujące budynki, fundowane przez miasto i króla Franciszka Józefa z okazji tysięcznej rocznicy przybycia Madziarów na środkowoeuropejską równinę. Stali na rusztowaniach parlamentu, patrzyli na rozruch pierwszego na kontynencie metra napędzanego prądem, tak samo jak kilkadziesiąt lat wcześniej ich dziadkowie obserwowali próby mechanizmu Mostu Łańcuchowego. Szły orawskie dziewczyny do służby w bogatych willach na Wzgórzu Gellerta. Wszyscy spoglądali na Dunaj, wiedzieli, że rzeka niesie wody potoków rozpoczynających swój bieg na halach Babiej. Ich Babiej. Tęsknili za nią.

Po powrocie z kraju, z którego pochodziło jej imię, Wilma spotykała też „amerykanów" albo „wychodźców" – Orawian, którzy uciekając przed ubóstwem i długami emigrowali wcześniej za ocean. Opowiadali jej o innych wielkich budowach, o miastach z wieżami wysokimi jak Babia oraz o tym, jak w Ameryce kowboje pędzą krowy i krzyczą coś w obcym języku, a oni myślą wtedy o tym niesamowitym widoku, gdy lipnicką drogą idzie porykujące stado kilkuset wołów, albo o wieczorze przed wypędzeniem stada na hale, kiedy odpaśnicy popisują się przed dziewczynami strzelaniem z biczów.

Chłopiec, który jej to opowiadał, był pierwszym, jakiego miała. Szybko pod Babią korzystano z miłości, bo choć mieszczańska moralność przyniesiona tu przez katolickich księży zakorzeniła się już na dobre, to przecież kobiety wciąż były, jak przed dwustu laty, bardziej niezależne od mężczyzn. Teren był trudny, ziemia nieurodzajna, nie było miejsca na zasady, które nawet w miastach, w głębi serca, wszyscy chcieliby łamać.

„Jeśli nie przepadnie się w Ameryce – pomyślała po tamtej nocy Wilma – przywozi się stamtąd niestworzone historie".

JEŚLI MY NIE PRZEPADNIEMY w „Ameryce" i wyjdziemy z nieskończonych krzaków borówek, ścieżka wyprowadzi pod ścianę z ziemi, teraz już mocno zarośniętą. Może to gdzieś tu zwołuje w grudniu coroczną naradę wilków Święty Mikołaj, mówiąc, którym to najbardziej grzeszącym pasterzom mają w kolejnym roku pożreć owce. To może stąd, ciemną nocą, wylatuje z podziemnych pieczar smok, po czym siada na ciężkich, deszczowych chmurach – tak, według jednej z legend zebranych przez etnografkę Urszulę Janicką-Krzywdę, powstały przepastne torfowiska między Babią a Tatrami.

Dla niektórych smoki torfowisk to słynne „smocze ogony" – trąby powietrzne i tornada powstające nad puści-

znami, kiedy w upalne letnie dni mokradła intensywnie pochłaniają słońce, a ciepła warstwa przyziemnego powietrza wsysa energię wody i zaczyna wędrówkę ku górze. A kiedy dochodzi do lasu i napotyka cięższe powietrze, wbija się klinem pod spód, unosi, ochładza, tworzy wir, szybki nawet na sto kilometrów na godzinę.

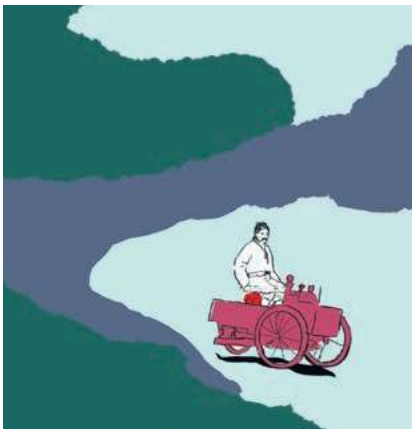

Smoczy ogon wysysa z torfowisk wodę, łamie sosny i smreki. Ale niektórzy widzą w nim coś więcej. Pewien inżynier, na co dzień mieszkający w Nowej Zelandii, własnym sumptem wydał książkę, w której przekonuje, że wylatujące z Babiej dziwy to statki kosmiczne, a system podziemnych tuneli pod górą ma bezpośrednie połączenie z Sumatrą.

Nauczycielka szkoły w Jabłonce zanotowała 2 stycznia 1957 r.: „Około godziny 20. nad Babią Górą zaobserwowano olbrzymią czerwień nieba, łunę, która po chwili rozdzieliła się na trzy jaskrawe ogniska – może były to latające talerze. Po niecałej godzinie łuna zniknęła, a nad Orawą zapanowała głęboka ciemność. Według relacji ludzi, którzy tej nocy nie spali, około północy na niebie ukazały się znów trzy olbrzymie miotły (ja tego nie widziałam). Czerwień oblała przestworza, a jakiś nadzwyczajny blask zabarwił śnieg na kolor czerwony. Strach padł na oglądających to zjawisko, bo śnieg wyglądał tak, jakby był skropiony krwią. Wnioskom, horoskopom, wróżbom przez następne dni i długie wieczory nie było końca. Zapowiadano klęski w przyrodzie, wojny i wydarzenia dziejowe. I co? Sprawdzało się”.

Są i tacy, którzy widzą Babie smoki z pokładów samolotów startujących z podkrakowskich Balic. Bo – dziwnym trafem – przelatują one dokładnie nad szczytem góry, jakby naszpikowanym elektroniką maszynom nie wystarczały żyroskopy, tylko musiały minąć ten wysoki ostaniec z ziemi, który przyciąga nie tylko żywych.

TAMTEJ ZIMOWEJ NOCY, niektórzy twierdzą, że jej ostatniej, przyśnił się też Wilmie dźwięk źle nastrojonych skrzypiec. Oraz, zupełnie nie wiadomo dlaczego, Jan Dominik. Jeden z tych, o których mówiono „dziwak”, choć nie brzmiało to chyba tak źle jak teraz. Rzeźbiarz z Zubrzycy Dolnej, nie tak znany jak lipnicki Heródek, lecz i tu rozpoznawany. Mówili na niego „Ikar”, bo kiedyś zbudował coś w rodzaju szybowca, na którym, szczęśliwie tylko nisko, próbował latać. Skonstruował też drewniane auto na pedały. Podobno pomalował je na czerwono, co płoszyło krowy, więc namówieni przez sąsiadów pijani parobcy zniszczyli w końcu jego wynalazek.

Ile świata można takim autem przejechać w dwa tygodnie, które zajął marsz na Węgry? Gdzieś z tyłu głowy, już w fazie głębokiego snu, próbowało się to pytanie przebić do świadomości Wilmy.

PRAPRAWNUCZKA WILMY jest do niej bardzo podobna. Przynajmniej sądząc po starych zdjęciach tej pierwszej. Czeka przy ścieżce, po drugiej stronie wykrotu tak wielkiego, że zajmie chwilę, zanim zdecydujemy, z której jego strony się uściśniemy.

– Zobacz – pokazuje suche drzewa – świerki zjada kornik. W Babiej las zaczyna przypominać Bieszczady, od dołu pną się już samosiejki buków, brzóz i jesionów. Za kilkadziesiąt lat ludzie zobaczą górę taką, jaką była przez wieki, pełną ↦

↦ drzew liściastych. Pierwszy raz od stu lat dojrzą tu coś, czego nie widziała Wilma.

– Myślisz, że ona wróci wtedy do wsi? – pytam, ale chyba zbyt cicho.

Ruszamy razem do góry, znakowanym, pustym dziś szlakiem. Po lewej stronie, też w gęstym lesie, biegnie polsko-słowacka granica, którą od 20 lat można wreszcie przekraczać swobodnie. W Lipnicy żyją wciąż ostatni ludzie, którzy wypasali w Babiej krowy, lecz las dawno już pokrył hale i polany, gdzie kiedyś przy ogniskach czekali na odpaśników z tabaką. Zarosła już całkiem Kuhynia, zawieszona dolinka po prawej stronie, w której zbójnicy mieli ukrywać swoje łupy, czasem wchodząc w komitywę z wolarzami. Tu, powyżej Wyłamanej Rzeki i Przykrego Upłazu, miał leżeć kamień zamykający wejście do tuneli ze skarbami. Już nie da się tu przyjść w Niedzielę Palmową, kiedy diabły suszą kradzione dukaty, w samo południe, gdy w kościele w Lipnicy trwa właśnie Podniesienie. A tylko wtedy zobaczyć można skarby – sami zbójnicy ufundowali część świątyni.

Wychodzimy na pola kosodrzewiny, którymi w tamto styczniowe popołudnie podchodziła z nartami Wilma. Mijamy ruiny dawnego schroniska, którego grający jej na rogu Staszek Kowalik był, po swoim ojcu, już ostatnim gospodarzem. W tym roku, w jeden z ostatnich pięknych dni października tylko dwie minuty zajmował helikopterowi lot z dołu, z łąk, gdzie koszarowano woły. W czterech kursach dowiózł beton, ławki i tablicę informacyjną, by powstał jeszcze jeden punkt, z którego przemarzniętymi palcami ludzie będą wpisywać hasztagi #wschodsloncanababiej.

NIE WCHODZIMY NA SZCZYT. W górach szczyty są najmniej interesujące. I zawsze są przed nimi takie ostatnie miejsca, z których już widać wszystko, ale jeszcze nie wieje wiatr.

– Myślę, że nie wróci – brzmi spóźniona odpowiedź. – Myślę, że chodzi tędy do dziś, bo to nie zawsze jest tak, że gdy się nie zejdzie w dół, umiera się w górach. Ona musi tu gdzieś być po prostu dlatego, że Babia Góra odgrywała w jej życiu niezwykłą rolę. Zdaje się, że najważniejszą, bo kojarzyła ją z rajem i niebem. Od naszej strony nikt nie nazywa jej „Diablakiem". Dlatego nawet nocą, bez strachu, wędrowała po jej lasach, by choć na moment przenieść się w inny, lepszy świat. Znaleźć się wśród roślin i drzew, porozmawiać z nimi, na co czasem pozwalała jej wyobraźnia, a czasem – myślę nawet, że częściej – przynależna nam tutaj intuicja, które z tych wszystkich dziwów i legend są prawdziwe.

Wtedy postanawiamy, że też przecież możemy zostać tu jak Wilma, na zawsze. Wędrować bez ustanku po Babiej, jej lasach i halach. Tak długo, aż trafi się ten dziwny, wspaniały moment, który trafia się może tylko raz w życiu – gdy chodząc bez wyraźnej przyczyny i żadnego planu, podnosi głowę i choć dla całego świata poza nim gąszcz zieleni, drzew i mokrego poszycia jest taki sam i nie do odróżnienia, on orientuje się, że już raz, sam nie wie kiedy, może w dzieciństwie, a może wtedy, gdy jeszcze nie istniał – już tu był.

©℗ MARCIN ŻYŁA

▪ Źródłem wielu przytoczonych w tekście legend i informacji były archiwalne numery czasopisma regionalnego „Moja Orawa". Postaci Wilmy i jej praprawnuczki są fikcyjne. Przynajmniej poza lasami Babiej Góry.

Złap oddech przed świętami!

Więcej informacji na **powszech.net/dzisiajwbetlejem**
Szukaj w miejscach z dobrą prasą

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY:

Kraków
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich
PRZEKRÓJ

WIARA

W PĘTLI

S. BARBARA CHYROWICZ, ETYK:

Rozkazy wypychania migrantów poza Polskę nie tylko narażają ich życie, ale też niszczą tych, którzy je wykonują.

ARTUR SPORNIAK: Co Siostra myśli, oglądając starcia na granicy białoruskiej?

S. BARBARA CHYROWICZ: Najpierw przychodzą mi na myśl ci, którzy sprowokowali migrantów do podjęcia walki. Zdesperowani ludzie niekoniecznie dokonują racjonalnych wyborów, nie wiemy też, czy nie byli przymuszani do agresji. Obawiam się, że udostępnione w mediach obrazy agresywnych grup migrantów rzucających kamienie w kierunku polskiej Straży Granicznej mogą sprawić, że przedstawiciele tej części naszego społeczeństwa, którzy od początku niechętnie odnosili się do udzielania pomocy błąkającym się po naszej stronie granicy migrantom, powiedzą: to chuligani, mieliśmy rację, takim nie pomagamy! Obraz uzbrojonych w kamienie bojówek przesłoni dramat ludzi, którzy stali się kartą przetargową w politycznym sporze.

Kilku policjantów zostało rannych.

Broniąc granicy naszego państwa. Sytuacja migrantów stała się patowa. Ściągnięci do Europy nadzieją na lepsze życie, a ostatecznie przerzucani z jednej strony granicy na drugą jak pionki w grze, stali się żywą tarczą, za którą kryje się rzeczywisty agresor. Nic nowego...

Mówi się o nowym typie wojny. A etycy – zdaje się – zawsze mieli kłopot z wojną.

Zwłaszcza ci, którzy podkreślają, że życie każdego człowieka jest wartością. Trudno pogodzić tę zasadę z zadaniem formacji zbrojnych, których celem w trakcie działań wojennych jest zniszczenie wroga, nawet jeśli jest to uznawana za sprawiedliwą wojna obronna. Broniący ojczyzny żołnierz nie będzie przecież analizował personalistycznych zasad, będzie walczył, czyli często zabijał. Na naszej granicy nie toczy się jednak regularna wojna. Broniące granicy przed nacierającymi na nią migrantami polskie służby używają gazu i armatek wodnych, które mają skutecznie zniechęcić agresorów do atakowania, a nie zabijać.

Pozostaje jeszcze pytanie, czy medialny przekaz tego, co dzieje się na granicy, jest wiarygodny? Mamy tylko krótkie filmy przekazywane przez służby, nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy oddają one pełny obraz sytuacji.

Ujęcia ze szturmu na granicę przesłoniły obrazy kobiet z dziećmi koczujących w lesie.

A dramat humanitarny trwa. Jeśli nie będziemy tego dostrzegać, będziemy przegrani, nawet gdy kryzys na granicy zostanie zażegnany. Agresja migrantów, którą widzimy w filmowym przekazie, wywołuje w nas niepokój i o los naszej granicy, i o tych, którzy jej bronią, nie wiemy jednak, jak długo szturmujący granicę młodzi mężczyźni koczowali w lesie i ile razy byli przepychani przez granicę. Wiemy, że na jakimś etapie poniewierki ludziom jest już czasem wszystko jedno, bo mają poczucie, że niewiele mają do stracenia.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że główną odpowiedzialność moralną za całą tę sytuację ponosi ten, kto ludzi poszukujących dla siebie i swoich rodzin lepszego ży-

GRAŻYNA MAKARA

cia na polską granicę ściągnął, zachęcając do podróży na Białoruś; wiedząc, że to podróż bez perspektyw.

Migranci, którzy już znaleźli się po naszej stronie granicy i utknęli w lasach, nie są naszymi wrogami. Skoro nawet w trakcie działań wojennych obowiązują konwencje nakazujące humanitarne traktowanie rannych i wziętych do niewoli jeńców, to tym bardziej na opiekę i wsparcie zasługują ofiary konfliktu, które tego konfliktu pewnie nawet nie rozumieją. Jeżeli o tej porze roku w naszej strefie klimatycznej zostawimy człowieka w lesie, to jego los jest właściwie przesądzony.

I słyszymy o śmierciach w lesie.

Umierają w nim ludzie, którzy nie rzucali na granicy kamieniami. Nie możemy problemu migrantów sprowadzać do agresywnych zachowań grupy młodych mężczyzn i patrzeć na wszystkich jak na wrogów.

W nowej książce traktującej o tym, co wpływa na nasze działania moralne, odwołuje się Siostra do takiego obrazka: siedzę przed telewizorem, popijam coca-colę, jem słone orzeszki i patrzę na jakąś tragedię, powiedzmy – migrantów koczujących na białoruskiej granicy. Co z tego obrazka można wyczytać?

W książce nie piszę o migrantach, tylko ogólnie o dramatach przeżywanych przez „obcych", migranci się jakoś w tym mieszczą. Jeżeli sceny przepychanych tam i z powrotem przez granice ludzi nie robią na nas żadnego wrażenia, znaczy, że coś straciliśmy.

Co?

Elementarne poczucie ludzkiej solidarności i wrażliwość na los człowieka. Przepychani przez granicę ludzie otrzymują jasny przekaz: nikt was tutaj nie zapraszał i nikt was tutaj nie chce! To stoi w sprzeczności z podstawowym przekazem chrześcijańskiej wiary, w której sposób, w jaki traktujemy drugiego człowieka, jest wyrazem miłości do Boga. Nie mogło zatem w sporze o pomoc migrantom zabraknąć stanowiska episkopatu. ↦

S. BARBARA CHYROWICZ jest etykiem, kierownikiem Katedry Etyki Szczegółowej KUL. Należy do Zgromadzenia Misyjnego Służebnic Ducha Świętego (werbistek). Ostatnio wydała książkę „Widok stąd. Dlaczego działamy tak, a nie inaczej?" (Znak, 2021).

DAWID ZIELIŃSKI

Anna Dąbrowska z fundacji Homo Faber z syryjskimi uchodźcami niedaleko wsi Lewosze, 29 października 2021 r.

Zdajemy sobie sprawę z politycznego uwikłania losu migrantów, bez politycznych negocjacji nie da się tej kwestii rozstrzygnąć. Może warto przypomnieć sobie i to, że w czasie komunistycznych rządów nasi rodacy niejednokrotnie „urywali się" z zagranicznych wycieczek i zostawali w krajach zachodniej Europy? Nikt ich nie przepychał z powrotem do rodzimego kraju, w którym nie toczyła się przecież wojna. Chcieli lepszych warunków życia niż te, których doświadczali w siermiężnej, komunistycznej rzeczywistości.

Czy politycy też powinni kierować się moralnością?

Nikt nie jest zwolniony z przestrzegania fundamentalnych zasad, a zwłaszcza politycy, którzy niejednokrotnie deklarowali i nadal deklarują nam swoje przywiązanie do wartości. Pełnione funkcje, także wypełniane w ramach urzędowej podległości rozkazy, nie zwalniają nas z moralnej odpowiedzialności. Podobno niektórzy pogranicznicy brali zwolnienia lekarskie, bo nie chcieli uczestniczyć w przepychaniu migrantów za granicę.

Władza pilnuje, żeby to się działo bez świadków.

Świadków unika ten, kto ma coś do ukrycia. Co i dlaczego chcemy ukryć? Przedstawianie migrantów jako dewiantów i kryminalistów wywołuje w widzach niechęć i agresję wobec ludzi, którzy po prostu dążą do polepszenia swojego losu. Świadomi medialnego wpływu kreatorzy rzeczywistości są ostatecznie odpowiedzialni za to, że setki kilometrów od granicy Kowalski mentalnie zamyka drzwi przed „obcymi" i ogradza się murem przed proszącymi o pomoc. Takie mury nie znikają łatwo.

Tytuł książki Siostry – „Widok stąd" – wskazuje, że nasze odkrywanie moralnych zobowiązań ma indywidualny charakter. Jak się bronić przed stymulowaną niewrażliwością i co konkretnie możemy zrobić?

Starać się o jak najlepsze dostępne nam rozeznanie sytuacji, dostrzegać niuanse. Lubimy sięgać po informacje tylko z jednej strony, bo jednoznaczne interpretacje zastanych faktów ułatwiają nam zajęcie stanowiska i „porządkują świat". Dowiadujemy się, od kogo mamy się odsunąć i kogo zwalczać. Zbyt łatwo przejmujemy wygodne opinie, nie podejmując wysiłku wieloaspektowego rozeznania zdarzeń, konfliktów i problemów. Tkwimy w niewiedzy, za którą jesteśmy odpowiedzialni.

Konkretnie pomóc możemy poprzez materialne wsparcie, dołączając się do prowadzonych zbiórek. Nie mniej ważne jest budowanie społecznej wrażliwości, nawet w małym gronie. To ona ostatecznie sprawia, że nie pozostajemy obojętni wobec potrzeb drugich, nie tylko migrantów. Nie wiemy, czy za jakieś dwadzieścia lat sami nie będziemy stać u czyichś granic, pukać do czyichś drzwi. W pozbawionym społecznej wrażliwości społeczeństwie nikt nam nie otworzy, bo będziemy obcy. Jak dotąd szczyciliśmy się jako naród postawą gościnności i tolerancji. Czy nadal mamy do tego prawo?

Ktoś może powiedzieć: pomagam swoim, to są jednak obcy. Dystans różnicuje obowiązki moralne.

Kim są obcy? We współczesnym świecie fizyczny dystans nie ma już takiego znaczenia. Kiedyś informacje o tym, co dzieje się na innych kontynentach, dochodziły do nas ze znacznym opóźnieniem albo nie dochodziły wcale. Niewiedza usprawiedliwiała brak zaangażowania. Dzisiaj dzięki mediom wchodzimy w sam środek konfliktów. A że odpowiedzialność jest proporcjonalna do wiedzy i możliwości działania, to nie zawsze pozostajemy „niewinni". W pierwszym rzędzie odpowiadamy za bliskich, ale problemy „obcych" nie są nam już dzisiaj nieznane. Myślę, że moralnie wrażliwi na krzywdę drugich znajdą sposób, w jaki można im pomóc. Nawet jeśli nazwiemy ich obcymi w tym sensie, że nie znamy ich osobiście, to przecież – zważywszy wspólne nam człowieczeństwo – nie są naprawdę obcy. Kiedy spojrzymy na nich w świetle Ewangelii, ich nędza stanie się dla nas wezwaniem do zaangażowania się po ich stronie. Czy my bierzemy na serio treść naszej wiary?

Inna rzecz, że nasz świat jest areną nieustannych konfliktów, wojen i zdrad. Łatwość dostępu do informacji sprawia, że ze wszystkich stron jesteśmy bombardowani obrazami ludzkiego nieszczęścia, także tego, którego źródłem są naturalne kataklizmy. Jesteśmy zbyt ograniczeni mentalnie, by móc współodczuwać z wszystkimi, których dotyka tragiczny los, zbyt ograniczeni materialnie, by nieść wszystkim pomoc, nawet w małych społecznościach. Co nie zmienia faktu, że nasza bierność i ignorancja wobec problemów drugich są nie do usprawiedliwienia. Świadczą o tym, że coś zatraciliśmy.

Jesteśmy wtedy winni moralnie?

Jeżeli odsuwamy od siebie niewygodne dla nas informacje, a krzywda obcych, czy może lepiej: nieznanych nam ludzi, nie robi już na nas żadnego wrażenia, to znak, że utraciliśmy moralną wrażliwość. Na granicy są konkretni ludzie, mają imiona, nazwiska i własną historię, nie są „polityką Łukaszenki". Problem migrantów jest także kwestią polityczną, jego rozstrzygnięcie wymaga zaangażowania dyplomatycznego, zapewne w skali międzynarodowej. Można odrzucać polityczny cynizm i chronić ludzi uwikłanych w polityczną grę; bronić z determi-

nacją granicy, ale nie przepychać przez nią na siłę tych, którym udało się ją przekroczyć i utknęli w lesie. To nasz las, w naszym lesie grozi im śmierć.

Argument, że zawsze musimy pomagać, uznawany jest za naiwny. Wpuścimy jedną grupę, to na jej miejsce przyjdzie o wiele więcej migrantów.

Mamy prawo dokładnie sprawdzać personalia tych, którzy znaleźli się na terenie naszego kraju. Zapewne nie wszystkie prośby o azyl zostaną zaakceptowane. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie temu, by zapewnić elementarne środki do życia tym, którzy już u nas są – zwłaszcza matkom z małymi dziećmi. I zastanawiać się, jak dalej problem migrantów rozwiązać. Zaopiekowanie się migrantami nie blokuje rozwiązań politycznych. Mamy nadto prawo przypuszczać, że to nie ostatnia fala. Wojny, kataklizmy i zmiany klimatyczne powodować będą nowe „wędrówki ludów".

Słyszymy o działaniach służb, które celowo utrudniają pomoc. Jeśli to prawda, to jest to okrutne.

Mają taki rozkaz i rodzinę na utrzymaniu.

W nie tak odległej historii ludzie odmawiali wykonywania rozkazów, kiedy uważali, że żąda się od nich tego, co podłe i nieprzyzwoite. Działanie wbrew własnym przekonaniom narusza naszą moralną tożsamość; jeśli dotyczy rzeczy ważnych, ma dla nas wymiar moralnego dramatu. Posłuszeństwo wydanym rozkazom nie usprawiedliwia działań, o karygodności których byliśmy sami przekonani.

Pogranicznicy – jeśli doniesienia są prawdziwe – znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji. Muszą odpowiedzieć sobie na pytanie, co jest dla nich ważniejsze: możliwość utraty pracy czy świadomość skrzywdzenia bezbronnego człowieka, która ich zapewne nie opuści? Zbyt łatwo jest zasłaniać się rozkazem i zrzucać całą odpowiedzialność na decydentów. Dla decydentów to czasem o tyle łatwe, że nie patrzą w oczy ludziom, których dotyczą ich rozkazy. To osłabia empatię i usypia sumienie. Natomiast żądanie uległości pozbawia podwładnych – jeśli rzeczywiście ulegną – czegoś bardzo wartościowego.

Czego?

Nikt nie jest zwolniony z przestrzegania fundamentalnych zasad, a zwłaszcza politycy, którzy niejednokrotnie **deklarowali swoje przywiązanie do wartości.**

Poczucia własnej wartości, w jakiejś mierze także własnego człowieczeństwa. To tak proste, że niemal banalne: chodzi o to, by niezależnie od „zmieniających się wiatrów" pozostawać prawym moralnie człowiekiem. Takie rozkazy nie tylko krzywdzą migrantów, ale też niszczą tych, którzy je wykonują.

Niektórzy członkowie organizacji pomocowych doświadczali sytuacji, że Straż Graniczna, poinformowana o spotkanych przez nich migrantach, wcale nie zawoziła ich do ośrodków, tylko wypychała z powrotem za granicę. Mają teraz dylemat, czy w ogóle informować władze o kolejnych spotykanych grupach. Pokusa, by pomóc migrantom wydostać się ze strefy stanu wyjątkowego, jest ponoć duża.

Rozumiem, że nie chcą informować służb w obawie o życie migrantów. Bardzo trudno jest skomentować takie przypadki. Jeśli prawo pozwala obecnie na przepychanie ludzi poza granice, przeciwdziałanie temu jest działaniem wbrew prawu. Ale to nie jest prawo respektujące wartość ludzkiego życia. Organizacje chcą pomagać skutecznie. Widzą, że pomoc okazuje się doraźna – udaje im się kogoś nakarmić i ogrzać, a po chwili ten ktoś znów znajduje się w tragicznym położeniu. Jeśli jednak członkom organizacji pomocowych wykaże się, że nie respektują prawa, mogą się spotkać co najmniej z zakazem dalszej działalności. Migrantom to nie pomoże.

Znaleźliśmy się w sytuacji, kiedy nie ma już dobrych odpowiedzi na różne pytania. To zapętlona sytuacja. Po drodze podjęto tyle nietrafnych decyzji, że każda następna pogłębia tylko problem.

W książce wspomina Siostra o warunku sensownego pomagania: „kiedy pomoc nie stanowi dla nas szczególnego obciążenia". Gdy pomoc zbyt dużo zaczyna kosztować, przestaje być obowiązkowa?

Gdzieś kończy się obowiązek niesienia pomocy, a zaczyna supererogacja, czyli działania, które dalece wykraczają poza to, co nazywamy naszym obowiązkiem. Nie wszystkich z nas stać na to, by zrezygnować z w miarę wygodnego życia i całkowicie zaangażować się na rzecz tych, którzy znaleźli się w trudnej, czasem dramatycznej sytuacji. Niektórzy tak właśnie odczytują swoje życiowe powołanie, większość z nas godzi jednak troskę o finansowe zabezpieczenie siebie i bliskich ze wspieraniem różnego rodzaju akcji pomocowych. Jeśli ta pomoc staje się dla nas nadmiernym obciążeniem – proporcjonalnie do naszych możliwości, destabilizuje nasze życie i narusza zobowiązania wobec najbliższych, mamy prawo ją ograniczać. Nie można mieć pretensji do tych, którzy dbają o swój majątek i starają się zabezpieczyć dobra dla swojej rodziny i dzieci, można mieć pretensje do tych, którzy nie potrafią wysupłać złamanego grosza, by wesprzeć drugich. Ta granica przebiega gdzieś przez naszą indywidualną moralną wrażliwość.

Pisze Siostra: „Właściwy ludziom sposób działania opiera się na »widoku stąd« – jesteśmy stronni. Taka jest nasza kondycja". Czym jest „widok stąd"?

Można powiedzieć, że każdy z nas ma swój „moralny adres", nie ma „moralnie bezdomnych". Każdy ma jakieś swoje moralne pochodzenie, moralny rodowód, jedyne w swoim rodzaju dziedzictwo, w którym mieszczą się ludzie i zdarzenia, a także to wszystko, co wnoszą do sfery moralności nasze naturalne predyspozycje. Ten mój „widok stąd" to wszystko to, co sprawia, że moje moralne poznanie jest takie, a nie inne. Nie działam zatem z bezstronnej perspektywy. Warto sobie zdawać z tego sprawę także dlatego, by nie mierzyć drugich swoją miarą, nie sądzić. Zbyt łatwo przychodzą nam takie osądy.

Rozeznanie naszego „moralnego adresu" jest szansą na to, że będziemy bardziej świadomie podejmować decyzje. Świadomi własnych moralnych uwarunkowań możemy starać się wznieść ponad nie, budować własną moralną tożsamość, nie poddając się biernie panującym trendom. ©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

WOJCIECH PACEWICZ / PAP

Poranna mgła w Lublinie. 9 listopada 2018 r.

Dzień Syna Człowieczego

PIOTR SIKORA

Oto paradoks Adwentu: wspomnienie konkretnego wydarzenia z przeszłości nakłada się na oczekiwanie tego, czego jeszcze nigdy nie było.

Czy sygnał budzika, hałas śmieciarki, a może śmiech dziecka – w każdym razie jawa – przedostała się przez twoją krawędź snu? Jeszcze nie otwieraj oczu. A jeśli powieki masz już uniesione – poczuj ich ciężar i pozwól im opaść. Czujesz, jak powietrze wślizguje się w nozdrza? Zimne? Ciepłe? Jaki zapach ma przestrzeń?

Rano

Ciężar kołdry na ciele, ciężar ciała na łóżku. Porusz palcem prawej nogi – powoli, poczuj, ile mięśni, kości i stawów współpracuje, by się odgiął do góry. A teraz wszystkie te, które podwijają ku dołowi stopy ten najdalszy koniec twego ciała (patrząc z perspektywy głowy, w której uczniowie Kartezjusza chętnie zamknęliby świadomość).

Otwórz oczy. Pierwszy raz w nadchodzącej właśnie reszcie twojego życia. Pierwszy raz czując ciało, które jeszcze trochę śpi, lecz siada. Pierwszy raz nieco mechanicznie zmierza do łazienki, czując: lewa stopa, począwszy od pięty, wspiera się na ziemi, przyjmuje na siebie cały ciężar, noga odpowiada na siłę grawitacji – stawy, mięśnie i kości, kostka, łydka, goleń, kolano, udo, aż po pośladek. Potem druga noga, i znowu, i znowu – ile kroków postawiłeś, zanim pierwszy raz w – nieco krótszej już – reszcie twojego życia woda (zimna? letnia? ciepła?) spłynie po twojej twarzy? Jak tam twój kręgosłup?

Powtarzam sobie te uważnościowe mądrości od rana, także wtedy, gdy pierwszy raz idę do swej starej pracy, trasą tą samą, co zwykle. Lekko przestraszony, bo z otwierającą się coraz szerzej świadomością pozoru kolistości czasu, złudzenia powtarzalności zdarzeń. Ta jesień nie jest tamtą z poprzedniego roku. Wykład, który wygłoszę za 30 minut (nie zmieniam jego treści od lat, bo dotyczy *philosophiae perennis*, filozofii wieczystej), wygłoszę po raz pierwszy. Do studentów, którzy jeszcze nigdy w tamtej chwili, co nadejdzie za niecałe już pół godziny, nie siedzieli w sali.

Od tej właśnie nadchodzącej, stale ubywającej reszty twego życia nie sposób uciec w żadną świętą wieczność – choćby wiara nie wiem, jak silna była, a pobożność żarliwa. Nawet liturgiczna tradycja o starożytnych korzeniach łudzi swoich wyznawców: ten sam rytuał, te same teksty pieśni, modlitw, czytań – ale Adwentu, którego nadejście tamte wyrażają, jeszcze nigdy nie było. Idzie więc pierwszy, w – krótszej niż rok temu (myślę z drżeniem) – właśnie nadchodzącej reszcie mojego życia.

Obiad z mistrzami

Twoje drżenie jest niepotrzebne, powiedziałby mi zapewne dawno zmarły cesarz-filozof, albowiem „chociażbyś miał żyć jeszcze trzy tysiące lat albo dziesięć tysięcy razy dłużej, przecież pamiętaj o tym, że nikt innego nie traci życia nad to, którym żyje, a innym nie żyje, jak tym, które traci. Najdłuższe więc równa się najkrótszemu. Teraźniejszość jest bowiem równa u wszystkich, a więc i to, co się traci, jest równe”. Właśnie nadchodząca reszta twojego życia zawsze jest taka sama.

Pierwszy raz przeczytaj tym umysłem, który właśnie w tobie się tworzy – mógłby powiedzieć Marek Aureliusz – co Mistrz chrześcijaństwa mówił o przyjściu Królestwa. W wersji Łukasza, kanonicznej, kopiowanej przez wieki, wydawanej drukiem, noszonej w procesjach i czytanej w kościołach stoi tak: „Zapytany przez faryzeuszów, kiedy przyjdzie królestwo Boże, odpowiedział im: »Królestwo Boże nie przyjdzie dostrzegalnie; i nie powiedzą: Oto tu jest, albo: Tam. Oto bowiem królestwo Boże w was jest«. Do uczniów zaś rzekł: »Przyjdzie czas, kiedy zapragniecie ujrzeć choćby jeden z dni Syna Człowieczego, a nie zobaczycie. Powiedzą wam: Oto tam, lub: Oto tu. Nie chodźcie tam i nie biegnijcie za nimi! Bo jak błyskawica, gdy zabłyśnie, świeci od jednego krańca widnokręgu aż do dru-

giego, tak będzie z Synem Człowieczym w dniu Jego«" (Łk 17, 20-24).

Królestwo jest w tobie, we właśnie nadchodzącej reszcie twojego życia, które jest dniem Syna Człowieczego (hebraizm ten znaczy po prostu: człowiek). A długotrwałe jest i rozciągnięte w czasie jak błysk pioruna albo jak ruch kieszonkowca pozbawiający cię portfela, gdy mrugasz oczami.

Ta sama opowieść w wersji Tomasza – która w jednym egzemplarzu przeleżała nieruchomo, zamknięta w glinianym dzbanie, przysypana piaskiem pustyni – głosi: „Zapytali go uczniowie: »Kiedy nastanie odpocznienie umarłych i kiedy przyjdzie nowy świat?«. Jezus odrzekł: »To, czego szukacie, nadeszło, lecz wy tego nie rozpoznajecie«" (EwT 51). I parę wersów niżej: „Uczniowie spytali go: »W którym dniu przyjdzie królestwo?«. Odpowiedział Jezus: »Nie przyjdzie przez wypatrywanie go i czekanie na nie. I nie powiedzą: Patrz tu!, ani: Patrz tam! Królestwo Ojca rozszerza się po ziemi, a ludzie go nie widzą«" (EwT 113).

Nie zobaczysz – mówi Mistrz (ortodoksi zgadzają się tu z wyklętymi) – żadnego kawałka wieczności wśród rzeczy rozbłyskujących na moment, żadnego nieporuszonego, świętego kamienia w meandrującym strumieniu świata. Królestwo jest w tobie, w twoim (zawsze pierwszym) odczuciu ruchu palcem, w twoim (zaskoczonym jak niemowlę przez nieznany dotąd smak utartego jabłka) dotyku dłoni osoby, którą od zawsze kochasz, w twoim (nieoczekiwanym) rozpoznaniu śpiewu skowronka, w twoim spostrzeżeniu dobrze znanego widoku za oknem, zmaterializowanym na niespodziewającej się niczego siatkówce oka.

Rozszerza się, a nie widzisz go – patrząc uparcie w wąską szczelinę zbudowaną z oczekiwań. To tak jakbyś, poszukując wiedzy, stanął w centrum Oksfordu i zapytał: „którędy na ten słynny uniwersytet?".

Popołudniowe cienie

Królestwo wszędzie jest, a nic nie zasłania, wszystko pokazuje. Jak światło – nie przypadkiem widzący wszystkich tradycji nazywali je tym imieniem. Patrzę pod nogi – widzę drewnianą podłogę. W lewo – białą ścianę. W prawo – ptaka za oknem. Na pewno to widzisz? Co wpada w twoją źrenicę? Dociera do siatkówki? Pobudza nerw wzrokowy?

Nie pióro ptaka. Nie farba ściany. Nie drewno podłogi.

„Człowiek, rodząc się, jest miękki i wrażliwy; umierając – twardnieje i sztywnieje; dziesięć tysięcy rzeczy rodząc się jest miękkich i wrażliwych, umierając – twardnieje i sztywnieje. Twardość i sztywność towarzyszy śmierci. Miękkość i wrażliwość – towarzyszą życiu" – zauważa Księga Dao. Obserwacja oczywista dla tych, którzy próbowali dotrzymać kroku własnym dzieciom w ćwiczeniach rozciągających: „tato, złap proste nogi za stopy, dotknij głową kolan... ale kolan nie zginaj!". Obserwacja oczywista, gdy myślimy o ciele. Czy równie jasno dostrzegamy jej prawdziwość, myśląc o myślach? Sokrates, młody do siedemdziesiątki, wiedział, że nie wie. Chodził i pytał. Jego stary uczeń, Platon, ujrzał – tak był przekonany – nieruchomy świat idei. Inni też, twierdził, mogą je zobaczyć – jeśli tylko wyjdą z umysłowej pieczary, w której marne cienie biorą za prawdę. Nie powiedział Platon, gdzie iść dalej po wyjściu z jaskini.

„Bez wychodzenia z domu można poznać świat. Bez wyglądania przez okno można poznać Drogę nieba". Na przekór mądrości Księgi Dao spoglądam za szybę, hen nad parapetem. Pierwszy raz widzę tak zamglone powietrze. Wychodzę z domu, wdycham zapach pierwszy raz opadłych liści (w całej reszcie swojego życia będą butwieć, rozkładać się, stawać częścią gleby). Bez żalu, że mnie nie ma gdzie indziej, idę ścieżką, która zaczyna się pod podeszwami moich butów.

Świat jest dziwny. Stopy zanurzone w pianę liści – miękką, puszystą i rudą, jak zakrzepła krew. Dookoła tyczki młodych buków, siwa szczecina ziemi. Ani śladu człowieka, a rosną w równych rzędach, jakby sadzili je żołnierze. Schodząc między drzewami nad rzekę, naśladuję siebie, gdy miałem pięć lat. Szuram nogami w rudej warstwie jeszcze nie ziemi, błocę spodnie, niszczę buty. Płaska jak lustro, nieporuszona powierzchnia wolno płynącej wody onieśmiela: „czemu hałasujesz?". Ciało nieruchomieje. Pozornie. Krew płynie jeszcze przyspieszonym rytmem, oddech porusza się razem z liśćmi, które tu i tam utrzymały się na dębach i kołyszą się przed swoim pierwszym lotem.

Od dawna tu przychodzę, nigdy tu nie byłem. Reszta mojego życia skraca się i trwa już tylko tyle, co mrugnięcie oka. Przychodzi. Powieka unosi się, rzeka dalej płynie. Nie wiem, co powiedzieć, bo każde słowo już w chwili, gdy krtań zaczyna drgać – jest spóźnione. I każda synaptyczna błyskawica uderza myślą zawsze w to, co było. Wieczne Tworzenie z niczego napełniając wszystko, bezgłośnie krzyczy: Nie jesteś sam... Nie nadawaj imion... ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Nominacja dla Michała Okońskiego!

Michał Okoński został nominowany do Nagrody im. Bohdana Tomaszewskiego dla dziennikarzy sportowych, przyznawanej przez magazyn „Press", za „mądre i oryginalne refleksje na temat piłki nożnej i wielkich piłkarskich imprez oraz romantyczne spojrzenie na sport".

Gratulujemy i życzymy powodzenia!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. GRAŻYNA MAKARA

Prezbiterki

KAROL WILCZYŃSKI

Już niedługo kobieta będzie mogła zostać w Polsce biskupką.

„Rewolucja w Kościele", „Kobieta ksiądz w Polsce? Teraz to już możliwe", „Kiedy pierwsze biskupstwo dla kobiety?" – tego typu nagłówki obiegły media tuż po tym, jak luterański Synod przegłosował większością ponad dwóch trzecich głosów możliwość ordynacji kobiet na prezbiterów i biskupów. Choć nie jest to pierwszy spośród protestanckich Kościołów w Polsce dopuszczających taką możliwość, faktem jest, że luteranie to największy z nich (na terenie RP żyje ok. 60 tys. osób tego wyznania).

– Przyznaję, wiele osób zaskoczyło, że decyzja Synodu była pozytywna już teraz. Spodziewaliśmy się tego dopiero za jakiś czas, może kilka lat, więc przyjęliśmy to bardzo pozytywnie – mówi diakon Wiktoria Matloch, od lat pracująca w krakowskiej parafii św. Marcina.

Dk. Matloch jest jedną z kilku kobiet, których bezpośrednio dotyczy ta decyzja – już od 1 stycznia kobiety pełniące urząd diakona w Kościele luterańskim będą mogły stać się duchownymi w pełnej posłudze prezbitera (księdza), co umożliwi im także, na równi z mężczyznami, zostanie proboszczami parafii. Do tej pory nie było to możliwe, ponieważ jako kobiety nie mogły startować w wyborach na proboszczów, by przewodzić zborowi, a w konsekwencji nie mogły kandydować na urząd biskupa i przewodzić całemu Kościołowi.

– W tym sensie nie zmienia się posługa duszpasterska kobiet. Główna zmiana dotyczy kwestii administracyjnych. Już nie będę musiała mieć mężczyzny nad sobą w pracy parafialnej. Będziemy startować w wyborach na proboszcza na tych samych zasadach jak mężczyźni. Będziemy też mogły być wybierane na biskupki. To jest jednak perspektywa kilku lat. Musimy najpierw formalnie objąć probostwa – tłumaczy dk. Matloch.

Sprawiedliwie

„Formalnie", ponieważ *de facto* od wielu lat są przypadki kobiet, które służą w parafiach luterańskich w pełnym tego słowa znaczeniu – również zajmując się wieloma rzeczami związanymi z administrowaniem parafią, mając nad sobą jedynie nadzór mężczyzny.

Choć proboszczami byli mężczyźni, to za organizację prac parafii, rad parafialnych i administrację często odpowiadały kobiety. Nie mówiąc o sprawowaniu liturgii – kobiety odprawiają nabożeństwa w Kościele luterańskim w Polsce od 1963 r. Wówczas umożliwiono absolwentkom teologii wprowadzenie w urząd nauczania kościelnego. Od 1999 r. mogły przyjąć święcenia diakonatu.

W 2008 r. Synodalna Komisja Teologii i Konfesji stwierdziła, że nie istnieją przeszkody natury teologicznej w ordynowaniu kobiet na posługę księdza.

Co zatem się zmieniło? Dla dk. Matloch ta zmiana oznacza większą, choć jeszcze nie pełną, równość kobiet i mężczyzn w Kościele: – Wreszcie kobiety mają możliwość takiego samego awansu i takiej samej posługi. W Krakowie zawsze sobie ceniliśmy to, że wierni mogą porozmawiać z duchownym: albo z mężczyzną, albo z kobietą. Dzięki decyzji Synodu posługa mężczyzn i kobiet – duszpastersko, homiletycznie, liturgicznie i administracyjnie – zostanie zrównana.

Jak podkreśla dk. Matloch, kobietom w tym zawodzie bardzo zależy na równouprawnieniu: – Chcemy przecież, by Kościół był przykładem, że równość jest możliwa. Widzimy również, że dla osób decydujących się na konwersję do naszego Kościoła jest to ważne. Bo Kościół dotychczas traktowano inaczej – a czy nie przeszkadzałby nam fakt, że w restauracjach, szkołach czy innych miejscach pracy nie zatrudniano by kobiet na stanowiskach liderskich? Z jakiegoś powodu jednak przyjmujemy to jako oczywistość w rzeczywistości kościelnej.

Opór

– Czy dobrze czujemy się w Kościele, w którym jedynie mężczyźni biorą za wszystko odpowiedzialność? – pyta retorycznie ks. Michał Makula z parafii ewangelicko-augsburskiej w Łodzi, przewodniczący Komisji Skrutacyjnej na Synodzie, który podjął decyzję o ordynacji kobiet.

Ks. Makula, choć sam wsparł decyzję o święceniu kobiet – podobnie jak 45 spośród 59 synodałów – wskazuje jednak, że wciąż wywołuje ona kontrowersje wśród polskich luteran.

– Wokół tego tematu długo trwała dyskusja. Nadal jakaś część osób chciałaby, żeby było tak, jak zawsze. Ale dzięki rozmowom i długoletnim badaniom, a przede wszystkim ogromnej wytrwałości i pracy kobiet angażujących się w służbę, udało się przekonać do tych zmian. Często było tak, że tam, gdzie nie chciał iść mężczyzna, wysyłano kobietę. To zaważyło na tym, że proporcje w gło-

JACEK TARAN

Diakon Wiktoria Matloch, kościół ewangelicki św. Marcina w Krakowie, 19 listopada 2021 r.

sowaniach się zmieniały – w latach ubiegłych odbyły się one kilka razy. Ostatnie głosowanie sprzed pięciu lat pokazało, że większość jest już za ordynacją kobiet, ale jeszcze nie dwie trzecie – mówi.

Nie ma wątpliwości, że decyzja Synodu będzie miała swoje skutki w Polsce, nie tylko dla luteran. Jak twierdzi katolicka teolożka, Agnieszka Piskozub-Piwosz, choć formalnie ta decyzja nie będzie miała dla katolików znaczenia, gdyż „zarówno decyzje administracyjne, jak i teologia Kościoła ewangelicko-augsburskiego nie mają wpływu na Kościół rzymskokatolicki", to w praktyce może zmienić wiele.

– Pamiętam, jak kilka miesięcy temu po obejrzeniu zdjęć z Ekumenicznej Drogi Światła w Łodzi zwróciłam uwagę na brak jakiejkolwiek kobiety wśród przedstawicieli różnych wyznań współprowadzących to nabożeństwo. Dla wielu moich znajomych, głównie kobiet, ten brak był ewidentny i gorszący, dla innych oburzające było to, że w ogóle zwracam na to uwagę – mówi Piskozub-Piwosz.

– Wydaje mi się jednak, że gdy kobiety zaczną pełnić w parafiach luterańskich urząd proboszcza, coraz trudniej będzie nam, katolikom, pomijać ich obecność. Choć do tej pory już od lat mogły sprawować nabożeństwa w parafiach luterańskich, nie jest bowiem do tego wymagany prezbiterat, to na modlitwach ekumenicznych luteran reprezentował zwykle właśnie proboszcz: a więc wyłącznie mężczyzna – tłumaczy teolożka.

Ekumenizm

Z perspektywy dk. Matloch i ks. Makuli decyzja Synodu luteran nie będzie stanowić problemu na poziomie ekumenicznym. – W codziennej praktyce nie przeszkadza mi to, że jako kobieta siedzę, i prawdopodobnie będę siedzieć, w ławce w czasie spotkań ekumenicznych. Dla mnie ważniejsze jest bycie z przedstawicielami innych Kościołów – mówi dk. Matloch. – Podejrzewam, że mogłoby to przeszkadzać niektórym duchownym z innych krajów, gdzie kobiety i mężczyźni od dawna pracują jako duchowni i zarówno kulturowo, jak też ekumenicznie jest to normalne, że luteranki są księżmi. Ale w Polsce sytuacja jest inna. Kościół rzymskokatolicki dopiero zaczyna dyskusję o miejscu kobiet. Myślę, że teraz nie jest na to gotowy, podobnie jak na dyskusję o celibacie, którego u nas nigdy nie było – dodaje.

Agnieszka Piskozub-Piwosz nie ma wielkich nadziei, że obecność luterańskich prezbiterek na ekumenicznych nabożeństwach będzie mieć wpływ na Kościół rzymskokatolicki. – Być może wpłynie to choć trochę na zmianę mentalności części duchownych i parafian, którzy usłyszą w swoim katolickim kościele duchowną luterańską np. na styczniowym nabożeństwie ekumenicznym – podkreśla.

Zdaniem teolożki decyzja polskich luteran nie wpłynie jednak na przyspieszenie debat teologicznych w Kościele rzymskokatolickim.

Działania na rzecz ordynacji kobiet w Kościołach luterańskich zostały przyspieszone wskutek II wojny światowej – w sytuacji braku mężczyzn do służby zaczęły angażować się kobiety. Ale też w krajach takich jak Szwecja czy Niemcy – pomimo że już w latach 70. XX w. ordynowano tam kobiety – prowadzono długoletnie dyskusje. Tak samo było teraz w Polsce.

Jak podkreśla dk. Matloch, myśląc o służbie Kościołowi, długo zastanawiała się nad wyjazdem i studiami za granicą, co umożliwiłoby jej przyjęcie od razu pełnych święceń. – Z drugiej strony myślałam, że Polska to moje miejsce, że może doczekam możliwości ordynacji kobiet na księży. Gdy zaczynałam swoją pracę, Komisja Kobiet rozpoczynała kolejne przygotowania do podjęcia tematu o ordynacji, było możliwe, że temat ruszy. Tak się właśnie stało.

U katolików

Nie ma raczej na to szans w Kościele rzymskokatolickim. – Długo zgłębiałam dyskurs wokół odmawiania katoliczkom święceń kapłańskich i im więcej czytałam i słuchałam na ten temat, tym bardziej rosło we mnie przekonanie, że tzw. argumenty teologiczne przeciw święceniom kobiet to rzecz wtórna względem uświadomionych i nieuświadomionych założeń antropologicznych, a czasem po prostu niewiedzy i uprzedzeń, nie do utrzymania – mówi Agnieszka Piskozub-Piwosz. ↦

– Kto zna debaty z początków XX w. dotyczące dopuszczania kobiet do studiowania na uniwersytetach albo do wykonywania zawodu lekarza, doświadcza *déjà vu* – słyszymy podobne mity i przejawy niepokoju wokół możliwej zmiany. Dzisiaj jednak, przynajmniej w Europie, nikogo nie zaskakuje lekarka, a studentek jest więcej niż studentów płci męskiej. Czy za 50 albo 100 lat tak samo będzie z prezbiterkami? A jak z biskupkami? Tu nawet Kościół protestancki w Polsce ma jeszcze pracę do wykonania, choć nie blokują go tzw. argumenty teologiczne – dodaje teolożka, wskazując jednocześnie na artykuł ks. prof. Alfonsa Skowronka publikowany w „Tygodniku Powszechnym" (nr 30/2009), w którym nieżyjący już dogmatyk odrzucił argumentację przeciwników święceń kobiet.

Co więcej, jak podkreśla dk. Matloch, teologiczne różnice w pojmowaniu kapłaństwa między katolikami a luteranami są na tyle duże, że nie widzi ona możliwości, by – na poziomie dyskusji – decyzja Synodu o święceniu kobiet wpłynęła na Kościół rzymskokatolicki. Jak wyjaśnia, różnice wynikają z innych interpretacji Biblii. Według luteran „kapłaństwo" kończy się na najwyższym arcykapłanie Jezusie Chrystusie. – Dlatego w naszym Kościele kapłaństwo rozumiemy wyłącznie jako służbę wspólnocie, jako przewodnictwo w zborze – bo „prezbiter" to ten, który przewodzi zborowi. Duchowny jest częścią zboru, co widać bardzo w liturgii, gdy modli się on w jedną stronę razem ze wszystkimi, wspólnie jako jeden zbór.

Dk. Matloch dodaje, że z tego powodu Kościół luterański w Polsce odszedł od terminu „kapłan". – W naszej tradycji kapłanem jest każdy wierzący. W Kościele ewangelickim przyjęto zasadę powszechnego kapłaństwa wszystkich wierzących. Duchowny nie jest zatem kapłanem szczególnego rodzaju, a różnica polega nie na jakości, ale na powołaniu go do głoszenia Słowa Bożego i udzielania sakramentów (por. 1 Kor 4, 1-2). Ordynacja duchownego nie jest sakramentem – tłumaczy dk. Matloch.

> Dzisiaj, przynajmniej w Europie, nikogo nie zaskakuje lekarka, a studentek jest więcej niż studentów płci męskiej. **Czy za 50 lat tak samo będzie z prezbiterkami?**

– Stąd w kulturze polskiej dawniej często mówiło się na duchownych luterańskich „pastor", choć teraz mówi się raczej po prostu „ksiądz" – wyjaśnia dk. Matloch.

Agnieszka Piskozub-Piwosz wskazuje zarazem, że najistotniejsza wydaje się wspólna podstawa – wiara w powszechne kapłaństwo wszystkich ochrzczonych osób, niezależnie od płci ani jakiejkolwiek innej różnicy między nami.

Parytety

Problemem kulturowym, o którym już zaczęły rozpisywać się osoby zajmujące się językiem polskim, będzie kwestia nazewnictwa. Z jednej strony diakon Wiktoria Matloch świadomie i konsekwentnie nie używa feminatywów. – Sama wolałabym używać formuły „ksiądz" – podkreśla.

Z drugiej strony ks. Michał Makula używa formuły „diakonka" czy „biskupka". Na Instagramie polonistki Anety Korycińskiej, znanej szerzej jako „Baba od polskiego", odbył się nawet miniplebiscyt na kobiece wersje określenia „ksiądz" – wśród najpopularniejszych znalazły się m.in. „książyni" i „księdzka". To drugie określenie funkcjonuje już jednak od lat w Kościele luterańskim w kontekście żon księży.

Innym tematem, który wywołała decyzja Synodu, jest kwestia parytetów i zarządzania. Praktyką w zachodnich Kościołach luterańskich oraz Światowej Federacji Luterańskiej jest to, by w każdym gremium decyzyjnym było minimum 40 proc. kobiet, 40 proc. mężczyzn oraz 20 proc. osób młodych. Wokół parytetów zapewne będą toczyć się kolejne dyskusje polskich luteran, którzy – dzięki decyzji Synodu – zbliżyli się do innych Kościołów ewangelicko-augsburskich na całym świecie.

To wszystko pokazuje jednak, że decyzja luteran – jako konsekwencja długoletnich dyskusji – podjęta została autonomicznie. Jak podkreśla ks. Makula, nie należy czytać tej decyzji w kontekście ogólnych dyskusji o sytuacji kobiet w Polsce, która jest trudna. – Decyzja Synodu jest przede wszystkim efektem długoletnich debat skoncentrowanych wokół Biblii i tego, jak funkcjonowały kobiety w czasach apostolskich.

– Wierzę, że nasze duszpasterstwo będzie teraz znacznie lepsze – dodaje ks. Makula.

© KAROL WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

10 lat działalności krakowskiego Klubu „Tygodnika Powszechnego"!

Za bezinteresowne zaangażowanie, chrześcijańską postawę wobec potrzebujących, pokazywanie, czym jest prawdziwa wspólnota, energię do działania i niegasnącą ciekawość drugiego Człowieka – dziękujemy. Życzymy kolejnych lat obfitych w dobre spotkania i gratulujemy pięknego jubileuszu!

Redakcja „Tygodnika Powszechnego"

WOJCIECH

Bonowicz:
W inną stronę

Głęboka noc, mężczyzna w średnim wieku, pijany jak statek, wraca do domu. Z Kazimierza, Stradomską, Grodzką, przez Rynek, wędruje w stronę Krowodrzy, im bliżej celu, tym głośniej wykrzykując: „Cudzoziemcy, przyjeżdżajcie!”. Nie, nie ma na myśli uchodźców, raczej turystów, z myślą o których kilka lat temu otworzył restaurację, a może sklep. Chodnik kołysze nim łagodnie, to znów nieoczekiwanie potrząsa, a nawet rzuca o ścianę. Ulice są prawie puste, wzdłuż jednej stoją samochody, które w ciągu dnia strażnicy miejscy pracowicie zaopatrzyli w żółte blokady. Mężczyzna przystaje na moment zdumiony tym widokiem, a potem krzyczy: „Wracajcie, Anglicy!!!”.

Kim jesteś, strażniku, który tego dnia wraz z kolegą montowałeś blokadę na kole czarnego bmw? Czy wiesz, że wjechała nim do centrum naszego miasta rodzina Włochów, Hiszpanów, Szwedów, ludzi spokojnych i miłych, gotowych zostawić tu trochę pieniędzy? Ktoś zapomniał im powiedzieć, czegoś nie doczytali, może nie mieli drobnych do parkomatu. Wiadomo, żadne to wytłumaczenie, prawo jest równe dla wszystkich, ostatecznie cała operacja, choć kłopotliwa, nie będzie dla nich zbyt kosztowna. Najmilszy strażniku, nie mam do Ciebie pretensji, ale czy spojrzałeś choć przez chwilę w okno na parterze, gdzie wylegiwał się mlecznobiały kot i kwitły dwie guzmanie?

Ach, ileż roboty jest z takim kwiatem! A czy zakwitnie drugi raz? Szanse są niewielkie, zwłaszcza w mieszkaniu, w którym zimą powietrze jest suche. Mlecznobiały kot, czy raczej kotka, zeskakuje z parapetu, krąży wokół miseczki z wodą, w końcu zaczyna pić. Czy gdyby guzmanie mogły biegać, pobiegłyby za nią? Tym, co łączy nas wszystkich, jest czasowa nieruchomość. Ktoś zasnął w fotelu i na chwilę przestał być człowiekiem, to znaczy przestał głaskać, podlewać, szykować jedzenie. Ostatniej nocy na klatce trochę hałasowali Hiszpanie czy Szwedzi – ktoś się przewrócił, ktoś wybuchnął śmiechem. Niemal cała kamienica składa się z mieszkań na wynajem. „Mieszkamy jak w hotelu”, żartują stali lokatorzy. Każda śmierć oznacza, że zwolnił się kolejny numer.

Mężczyzna pijany jak statek przepływa przez skrzyżowanie, które jest ruchliwe za dnia, a późną nocą niebezpieczne: kierowcom zdarza się tu gnać ponad sto dwadzieścia na godzinę. Parę dni wcześniej, kiedy w przychodni czekał na zastrzyk, wywiązała się rozmowa, dlaczego pijani częściej wychodzą cało z wypadków. „Trzeźwe ciało usiłuje się bronić, pijane poddaje się temu, co się dzieje”, tłumaczył starszy mężczyzna w płaszczu. „Mój przyjaciel wracał z imprezy, wpadł pod tramwaj i tylko lekko go poturbowało”, przypomniała sobie pani, która nie chciała usiąść. Ludzie mają rozmaite powody, dla których nie chcą usiąść – pomyślał wówczas, ale nic nie powiedział, bo denerwował się czekającym go zastrzykiem. Teraz był pijany i denerwował się tym, co będzie dalej z jego sklepem lub restauracją.

Gdyby wieczorne wiadomości wyglądały tak jak ten tekst, czy bylibyście zaskoczeni? Zdezorientowani? Źli? Czy gdybyśmy poznawali świat zupełnie inaczej, niż się to nam na ogół proponuje, inaczej też byśmy żyli? Widzimy to, co się nam pokazuje, zapamiętujemy twarze, których wcale nie chcielibyśmy pamiętać. Tematy naszych rozmów ustala ktoś inny. Co by się stało, gdyby nasza uwaga, nasz zachwyt wymknęły się spod tej kontroli? Czy bylibyśmy lepszymi ludźmi? Czy chętniej spieszylibyśmy na ratunek zdesperowanym?

Nie ma odpowiedzi na wiele pytań. Ale niektóre pytania są ważniejsze od innych. ©

Kup komplet odświętny i zadbaj o dobry nastrój*

Napisz na zamówienia@TygodnikPowszechny.pl a my zajmiemy się resztą!

Tylko **35 zł za komplet** + przesyłka w prezencie

**oferta ważna do wyczerpania zestawów*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

GRY NA GRANICACH

O co chodzi dziś Łukaszence i Putinowi? Najkrótsza odpowiedź brzmi: o to samo co wcześniej. Kreml chce odzyskać kontrolę nad Ukrainą, a Mińsk chce wymusić złagodzenie sankcji.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Zbyt wcześnie jest, aby podsumowywać trwający już od pół roku kryzys na granicy unijno-białoruskiej. Spróbujmy jednak przynajmniej opisać i ocenić jego obecny stan, a także szerszy jego kontekst.

Szczególnie że w ciągu ostatnich dwóch tygodni doszło tu do pewnych ważnych zwrotów.

Coraz większy problem dla Mińska

Nigdzie na świecie nie ma całkowicie szczelnych granic. Jednak przerzucenie przez Polskę nad granicę z Białorusią dodatkowych sił przyczyniło się do znaczącego spadku liczby nielegalnych jej przekroczeń. Obecnie ponad 20 tys. żołnierzy Wojska Polskiego oraz funkcjonariuszy Straży Granicznej i policji stacjonuje w rejonie granicy polsko-białoruskiej.

Skuteczniejsza jej ochrona wymusiła zmianę taktyki przez reżim Aleksandra Łukaszenki. O ile wcześniej linię graniczną na niemal całej długości próbowały przenikać – przy pomocy służb białoruskich – liczne grupki migrantów, o tyle w poniedziałek 8 listopada strona białoruska zdecydowała o uformowaniu kolumny 2-3 tys. ludzi. Została ona skoncentrowana w okolicy przejścia granicznego w Kuźnicy. W kolejnych dniach migranci kilkakrotnie podejmowali próby sforsowania granicy, co okazało się bezskuteczne wobec zgromadzenia znacznych sił po polskiej stronie. Jednocześnie Łukaszenka zaczął straszyć uzbrojeniem migrantów w „broń z Donbasu" (cokolwiek miało to oznaczać) i zamknięciem gazociągu jamalskiego, transportującego rosyjski gaz przez Białoruś do Unii.

Niemożność przedostania się migrantów przez granicę zaczęła generować coraz większy problem dla Mińska. Międzynarodowe media obiegły zdjęcia leśnego koczowiska, przypominające sceny z filmów o wędrówce ludów w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Na to nałożyły się zabiegi dyplomatyczne, by zatrzymać, a przynajmniej mocno ograniczyć przyloty nowych migrantów do Mińska. Pod groźbą objęcia ich sankcjami linie Turkish Airlines i Flydubai postanowiły, że nie będą przyjmować obywateli Iraku, Syrii i innych tzw. państw migracyjnych na pokłady swoich samolotów lecących do białoruskiej stolicy.

Kreml beneficjentem kryzysu

W tej sytuacji reżim w Mińsku postanowił dopuścić do strefy nadgranicznej – po raz pierwszy od chwili, gdy wywołał ten kryzys – media zagraniczne. Celem było pokazanie narastającego kryzysu humanitarnego i wywarcie w ten sposób presji na zachodnią opinię publiczną. Zaskakująco szybko okazało się to skuteczne.

Najpierw telefon do Władimira Putina wykonała kanclerz Angela Merkel. W odpowiedzi usłyszała, że Rosja „oczywiście nie jest stroną trwającego kryzysu", ale gotowa jest pośredniczyć w jego zakończeniu. Kreml, który od początku zapewniał wsparcie propagandowe i polityczne dla działań reżimu Łukaszenki, wszedł teraz w swoją ulubioną rolę: rzekomo bezstronnego pośrednika. Swoją drogą, rozmowa Merkel–Putin pokazuje, że nikt nie ma złudzeń

JAN HETFLEISCH / GETTY IMAGES

Irakijczycy i iraccy Kurdowie, którzy zdecydowali się wrócić z Białorusi do swojego kraju, wchodzą na pokład samolotu przysłanego po nich przez iracki rząd. Lotnisko w Mińsku, 18 listopada 2021 r.

co do tego, czyim wasalem jest Łukaszenka.

Nie ma również wątpliwości, że Rosja ściśle koordynuje z Mińskiem działania na granicy, i że jest politycznym beneficjentem tego kryzysu. Rosyjskie MSZ, śladem władz białoruskich, w ostatnich dniach nieustająco wysuwa pod adresem Polski i reszty Unii absurdalne oskarżenia o doprowadzenie do wywołania kryzysu migracyjnego, domagając się, aby kraje unijne przyjęły migrantów lub – jak to ujął szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow – zapłaciły Białorusi 500 mln euro za ich „goszczenie".

Polityczny błąd Berlina

Wkrótce po telefonie na Kreml niemiecka kanclerz złamała nieformalne unijne tabu i zadzwoniła do Łukaszenki. Choć jest to zrozumiałe w kontekście panującego w politycznym Berlinie paradygmatu, który głosi, iż dialog jest konieczny za wszelką cenę, decyzja ta wpisała się w oczekiwania Mińska. Białoruś mogła odtrąbić swój pierwszy sukces: nie udało się zmusić do negocjacji Polski, lecz udało się Niemcy. Białoruska propaganda uderzyła w fanfary, stwierdzając, że w ten sposób Zachód faktycznie uznał Łukaszenkę (od sfałszowania wyborów w sierpniu 2020 r. Unia nie uważa go za prezydenta).

Jeśli jednak ktoś miał nadzieję, że doprowadzi to do spadku napięcia na granicy, to nic bardziej mylnego. Już następnego dnia po pierwszym telefonie na linii Berlin–Mińsk doszło do najpoważniejszej jak dotąd eskalacji i aktów agresji wobec polskich żołnierzy i funkcjonariuszy (kilkunastu zostało rannych); zostali oni zmuszeni do użycia gazu łzawiącego i armatek wodnych. O ile Niemcy zawsze wolą rozmawiać, to na Wschodzie panuje zupełnie odmienne podejście: skoro ryba zaczęła brać, trzeba mocniej ↦

↦ pociągnąć za spławik, aby połów był bardziej udany. Czyli mówiąc inaczej – docisnąć przeciwnika.

Kolejna rozmowa Merkel z Łukaszenką w środę 17 listopada jeszcze bardziej ośmieliła reżim. Choć w momencie pisania tego tekstu nie są znane konkretne ustalenia, to wiadomo, że zapewniono unijne wsparcie dla białoruskiego Czerwonego Krzyża (700 tys. euro) i prawdopodobnie poczyniono jakieś ogólne ustalenia dotyczące odsyłania migrantów. Dokładny mechanizm nie został jednak ustalony.

Mińsk twierdzi, że 5 tys. migrantów ma wrócić do swoich krajów (w miniony czwartek do Iraku odleciały z Mińska 374 osoby), kolejne zaś 2 tys. miałoby trafić przez „korytarz humanitarny" do Niemiec. Berlin z kolei przekonuje, że nie wyraził zgody na ich przyjęcie.

Pozytywne natomiast jest to, że być może udało się nie dopuścić do śmierci wielu osób, gdyż w ostatnich dniach władze białoruskie zapewniły przynajmniej części z nich schronienie w wielkim magazynie przy granicy.

Haracz dla reżimu

Sprzeczne oświadczenia Mińska i Berlina pokazują, że kryzys nie został rozwiązany. Pojawia się jednak pytanie, jaka może być cena porozumienia z Łukaszenką. Bo nie ma wątpliwości, że reżim wysunął żądania, i że dotyczą one zapewne znaczącego złagodzenia spodziewanych unijnych sankcji. W połowie listopada Unia podjęła bowiem decyzję o ukaraniu Mińska za wywołanie kryzysu na granicy. Konkretny charakter tych sankcji wciąż nie jest znany (trudno nie zapytać, dlaczego na decyzję o ich przyjęciu trzeba było czekać tyle miesięcy).

Sygnały płynące od litewskiej dyplomacji wskazują, że ceną za ustępstwa Mińska może być wyłączenie białoruskich linii lotniczych Belavia spod reżimu sankcyjnego. Gdyby ta informacja się potwierdziła, byłoby to znaczne ustępstwo wobec Łukaszenki.

W obecnej sytuacji warto pamiętać, że zgoda na płacenie faktycznego „haraczu" terrorystom i gangsterom (takie słowo pojawiło się w komunikacie Komisji Europejskiej o działaniach Łukaszenki) jedynie spotęguje żądania. Jeśli Mińsk i Moskwa uznają, że operacja graniczna zakończyła się po ich myśli, jest prawdopodobne, że podobne „kryzysy migracyjne" (cudzysłów jest tu zasadny, gdyż jest to kryzys wywołany sztucznie) będą się w przyszłości powtarzać. Dlatego jedyna skuteczna droga to nie ulegać szantażowi.

Wielu unijnych polityków zapomina o represjach na Białorusi, w tym o niemal 900 więźniach politycznych. W tej sprawie nikt z Berlina czy Brukseli nie dzwonił do Mińska.

Szkoda też, że w obecnej sytuacji Niemcy i znaczna część krajów Unii zapominają o masowych represjach trwających na Białorusi, w tym o niemal 900 więźniach politycznych, których liczba codziennie rośnie. W tej sprawie w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy nikt z Berlina, Paryża czy Brukseli nie próbował dzwonić do Mińska.

Cel: zastraszyć Zachód

Na kryzys graniczny warto patrzeć także w szerszym kontekście działań Rosji w ostatnim czasie. Z jednej strony propaganda białoruska i rosyjska sugerują, że napięcie na granicy może zamienić się w konflikt regionalny – co służy zwiększeniu presji na Unię, by przyjęła warunki rozwiązania problemu. Z drugiej zaś widać, że rosyjska gra wykracza daleko poza granicę unijno-białoruską.

Od początku listopada w czołowych mediach zachodnich pojawiają się alarmujące doniesienia o niestandardowych ruchach wojsk rosyjskich wzdłuż granicy z Ukrainą. Wielu polityków i wojskowych wprost mówi, że nie można wykluczyć nowej fazy rosyjskich działań zbrojnych wobec Kijowa. Szef ukraińskiej dyplomacji Dmytro Kuleba ocenia, że sytuacja „niebezpiecznie się pogarsza" i „nie można wykluczyć żadnego scenariusza".

O co zatem chodzi Rosji? Najkrótsza odpowiedź brzmi – o to samo co wcześniej. Kreml nigdy nie pogodził się z utratą po 2014 r. kontroli nad Ukrainą i jego kluczowym celem jest odzyskanie tejże kontroli. W Moskwie najwidoczniej zdiagnozowano, że pochłonięta problemami wewnętrznymi Unia i zdominowane przez wyzwanie chińskie Stany Zjednoczone stracą zainteresowanie Ukrainą. A jeśli nawet nie stracą, to przynajmniej Rosja próbuje je przekonać – przez kolejną już w tym roku demonstrację militarną – aby „odpuściły" sobie Kijów.

Na tym etapie bardziej prawdopodobne jest, że Rosja prowadzi operację zastraszenia Zachodu, licząc, że samymi demonstracjami swoich sił zbrojnych zdoła odciągnąć Zachód od Ukrainy.

Towarzyszy temu trwający od kilku miesięcy amerykańsko-rosyjski dialog strategiczny, którego cele obie strony postrzegają zupełnie odmiennie. Waszyngton chciałby porozumienia o zachowaniu stabilności w regionie i zrezygnowania przez Rosję z powtarzających się regularnie cyberataków na instytucje w USA. Kreml zaś uważa, że uda mu się zmusić Amerykanów do rezygnacji ze wspierania Ukrainy, co ma otworzyć mu drogę do realizacji upragnionego celu – ponownego zwasalizowania Kijowa. Nie jest jednak wykluczone, że targom tym towarzyszyć może powrót do prowokacji zbrojnych lub działań militarnych.

Kwestia determinacji

Jednak, powtórzmy, wydaje się, że przynajmniej na obecnym etapie Rosja jedynie pręży muskuły i nie zdecyduje się na nową fazę konfliktu. Czynnikiem powstrzymującym Putina jest bowiem oczekiwanie na ostateczne zatwierdzenie gazociągu Nord Stream 2. Brakuje jeszcze jego certyfikacji ze strony niemieckiego regulatora rynku energetycznego. Moskwa próbuje przyspieszyć ten proces, ograniczając ostatnio dostawy gazu na unijny rynek, co stało się kluczową przyczyną rekordowego wzrostu cen tego surowca. Potwierdza to zarazem coś, przed czym wielu ostrzegało od dawna: groźne jest uzależnianie Unii od dominującego dostawcy gazu, który ani myśli przestrzegać reguł rynkowych (ani innych).

W efekcie obserwujemy dziś ofensywną grę Rosji na kilku frontach: białoruskim, ukraińskim i gazowym. Najwidoczniej Kreml uznał, że otworzyło się przed nim unikalne okno możliwości dla powiększenia swoich wpływów w regionie i w związku z tym próbuje grać ostro. To, czy mu się to uda, zależy w dużym stopniu od determinacji Zachodu, aby wyznaczać Moskwie wyraźne granice – oraz cenę za ich przekraczanie.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Tekst ukończono 19 listopada.

JAN HETFLEISCH / GETTY IMAGES

Kontrola paszportów covidowych na kiermaszu przedświątecznym w Innsbrucku, 15 listopada 2021 r.

Pandemia niesolidarnych

BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK Z WIEDNIA

Rekordowy wzrost zakażeń zmusza austriacki rząd do radykalnych kroków. Po eksperymencie z lockdownem dla niezaszczepionych wprowadzono lockdown dla wszystkich. Od lutego 2022 r. szczepienie na covid ma być obowiązkowe.

Dziesięć, dwanaście, wreszcie w czwartek 18 listopada ponad piętnaście tysięcy nowych zakażeń – austriacka Agencja Zdrowia i Bezpieczeństwa Żywności melduje codziennie coraz wyższe, zatrważające dane. Uwzględniając liczbę ludności to tak, jakby w Polsce notowano codziennie ponad 60 tys. nowych infekcji. Z tendencją rosnącą.

Statystyczny wskaźnik zachorowań – pokazujący ich liczbę na 100 tys. mieszkańców w ciągu tygodnia – w połowie listopada Anno Domini 2021 zbliżał się w Austrii do tysiąca.

To wróżyło zapaść systemu ochrony zdrowia oraz kolejne straty dla gospodarki i budżetu. A także dalszą polityczną polaryzację i erozję społecznej solidarności. Oraz zapowiedź kolejnych fal pandemii, jeśli i tym razem nie uda się odwrócić trendu, czyli wydatnie podnieść odsetka zaszczepionych obywateli.

Nieudana próba

Aby wyhamować lawinowy wzrost zakażeń, najpierw sięgnięto po eksperyment: lockdown dla niezaszczepionych. Ogłoszono go niespodziewanie, po dłuższych politycznych dyskusjach, w które wsłuchiwali się już tylko najbardziej zahartowani.

Wprowadzone od 15 listopada (i zaplanowane na dziesięć dni) nowe obostrzenia miały dotyczyć ok. 2 mln mieszkańców, którzy dotąd nie zdecydowali się na szczepienie; to jedna trzecia dorosłej populacji (lockdown ten nie dotyczył dzieci poniżej 12. roku życia). Kanclerz Alexander Schallenberg, stojący na czele koalicji składającej się z konserwatywnej Partii Ludowej (ÖVP) i Zielonych, zapowiedział je jako „drastyczne środki zwalczania pandemii".

Jednak po bliższym przyjrzeniu się temu, z czego chwilowo musieli zrezygnować niezaszczepieni, przymiotnik „drastyczne" wydawał się na wyrost. Nie będąc osobą zaszczepioną i nie mając poświadczenia o przejściu covidu (to „zasada 2G", od słów *geimpft* i *genesen*: zaszczepieni i ozdrowieńcy), można było udać się do miejsca pracy, korzystać ze środków komunikacji zbiorowej – choć aby pracować stacjonarnie, już od początku listopada trzeba mieć aktualny wynik testu (tu obowiązuje „zasada 3G", gdzie trzeci element to *getestet*: przetestowany). Niezaszczepieni mogli wyprowadzić psa, pobiegać po parku, pomóc sąsiadce. Nie mogli pójść do kawiarni, kina, restauracji, siłowni, muzeum. Nie mogli też kupić książki ani butów – przynajmniej w sklepie stacjonarnym.

Szybko okazało się, że w codziennym życiu niewiele to zmienia. Na ulicach i w miejscach pracy wszystko toczyło się poprzednim rytmem. Zapowiedzi wzmocnionych kontroli i surowych kar zdawały się nie robić wrażenia. Widocznym natomiast efektem był lekki wzrost odsetka zaszczepionych: w pierwszej połowie listopada zaszczepiło się pół miliona Austriaków. Z tym że tylko nieco ponad jedna trzecia z nich przyjęła pierwszą dawkę. Reszta to były osoby zaszczepione, które przyjęły dawkę przypominającą. A wskaźniki wciąż rosły.

Na granicy wydolności

W tym miejscu przenieśmy się z ulic do szpitali.

Choć w Austrii liczba umierających na covid jest dziś znacznie niższa niż rok temu – w ostatnich dniach codziennie umierało po 40-50 osób, podczas gdy w poprzednim apogeum epidemii, ↦

↦ w grudniu 2020 r., po sto kilkadziesiąt – to przy takiej skali nowych zakażeń na oddziałach intensywnej terapii zaczyna brakować łóżek – i to zarówno dla pacjentów covidowych, jak też innych, którzy również wymagają takiej pomocy.

Ściśle rzecz biorąc, brakuje nie tyle łóżek (czy w ogóle infrastruktury), lecz fachowego personelu. Z tego powodu w szpitalach w landzie Salzburg – gdzie wspomniany na początku statystyczny wskaźnik zakażeń sięgnął 1500 – zaczęto formować tzw. zespoły triażowe, złożone z lekarzy i prawników, z zadaniem selekcjonowania pacjentów. Niektórzy, szczególnie najstarsi i najciężej chorzy, nie dostaną miejsca na OIOM-ie i trafią na oddział paliatywny.

Podobnie drastyczne warunki panują w landzie Górna Austria, gdzie ów statystyczny wskaźnik zakażeń również sięga 1500, a odsetek zaszczepionych uporczywie utrzymuje się poniżej średniej krajowej. W połowie listopada w pełni zaszczepionych było tylko 56 proc. mieszkańców tego landu, podczas gdy w całym kraju było to 66 proc. (przynajmniej jedną dawkę otrzymało 69 proc. wszystkich Austriaków, a dawkę przypominającą dopiero 11 proc.).

Lekarze otwarcie przyznają, że konfrontacja z taką sytuacją jest dla nich ogromnym obciążeniem emocjonalnym. Konieczność decydowania o tym, kto nie uzyska koniecznej pomocy – co może być odbierane jako pośrednie skazanie pacjenta na śmierć – to dla lekarzy i personelu pielęgniarskiego dodatkowy stres, który trudno udźwignąć. Już od dłuższego czasu lekarze opuszczają publiczne szpitale, przenosząc się do ośrodków zdrowia czy prywatnych gabinetów. Personel pielęgniarski nierzadko odchodzi z zawodu. Wołania o pomoc dla służby zdrowia pozostają bez odzewu, a jej sytuacja stale się pogarsza.

Kolejny stracony sezon

Zwiększone wydatki budżetowe na służbę zdrowia – dotyczące zarówno szpitali, jak również dotąd bezpłatnych dla ludności testów i szczepień przeciw koronawirusowi – to na razie temat tabu. Zdrowy rozsądek podpowiada, że rachunku nie da się uniknąć, a wyrównać będzie go musiał podatnik.

Również obostrzenia przynoszą straty. Tym razem skarży się głównie sektor turystyczny – jedna z najważniejszych gałęzi austriackiej gospodarki. Skutki aktualnej sytuacji szczególnie dotkliwie odczuwają hotelarze, którzy mówią o „atmosferze katastrofy", jaka panuje w branży.

„Nie chcemy piątej fali, nie chcemy szóstej ani siódmej fali"
– tak kanclerz Schallenberg uzasadnia powszechny obowiązek szczepień.

Gdy niemiecki minister zdrowia Jens Spahn zaliczył Austrię do grupy krajów wysokiego ryzyka (z czym wiążą się obostrzenia dla niemieckich narciarzy wracających z urlopu w Alpach), stało się jasne, że kolejny sezon zimowy zapewne będzie stracony. Jeszcze przed ogłoszeniem lockdownu dla wszystkich potencjalni goście wycofywali część rezerwacji, nowych natomiast nie przybywało. Hotelarze znowu nie zarobią, znów ubędzie miejsc pracy. Branża turystyczna ponownie apeluje do władz o ulgi i wsparcie.

Miało być inaczej

Tymczasem jeszcze kilka miesięcy temu również w Austrii mogło się wydawać, że pandemia dogorywa. Huraoptymizmu wystarczało na zapowiedzi importu rosyjskiej szczepionki Sputnik V i wyprodukowania w ramach międzynarodowej współpracy nowych, rzecz jasna wspaniałych preparatów.

Jednak zapał okazał się słomiany, a opieszałość polityków i urzędników przyczyniła się do tego, że latem liczba szczepień zatrzymała się na bardzo niskim poziomie. I choć eksperci od wirusologii czy statystyki przestrzegali, że jesienią wirus znowu przybierze na sile, nikt nie chciał ich słuchać. Wyliczenia, według których warunkiem powstrzymania kolejnej fali byłoby zaszczepienie ponad 80 proc. populacji, były ignorowane. W połowie listopada udało się przekroczyć wspomniane 65 proc. osób w pełni zaszczepionych. Zawstydzająco niski, jak się dziś głośno przyznaje, w konfrontacji z dominującą obecnie mutacją Delta.

Gdy przyszła jesień, lawina ruszyła. Skoro powstrzymać mogło ją tylko ograniczenie kontaktów potencjalnych nosicieli – pozostawał znów lockdown, nawet jeśli początkowo tylko dla części społeczeństwa. Eksperyment nie wynikał z wizjonerstwa czy politycznej odwagi – lockdown to środek niepopularny, narażający rządzących na niezadowolenie elektoratu. Jednak sytuacja wciąż nabrzmiewała i wymagała działań.

Chaos i polaryzacja

Nie tylko działań, lecz także jasnej komunikacji z obywatelami. Ale czasy kontrolowanego przekazu, forsowanego przez byłego kanclerza Sebastiana Kurza, kiedy to koalicja chadeków i Zielonych mówiła jednym głosem, odeszły do lamusa. Teraz królowały chaos i komunikacyjne katastrofy. Brakowało koordynacji stanowisk, koalicjanci nie szczędzili opinii publicznej sprzecznych komunikatów.

Analizując obecną sytuację, znany politolog Peter Filzmaier zauważał, że w normalnych czasach ciągła wymiana zarzutów i wzajemne podrzucanie sobie „gorących ziemniaków" przynależą do gry politycznej. Jednak w tak dramatycznej sytuacji jak obecna społeczeństwo tego nie akceptuje. Chaos i dysharmonia w obozie władzy potęgują polaryzację i wręcz powodują atrofię społecznej solidarności. Konflikty wokół tematu szczepień przybierają na sile i dzielą rodziny oraz przyjaciół.

W ikonografii pandemii mocno zapisały się już role obrońców życia i zdrowia (tj. tych zaszczepionych) oraz z drugiej strony kontestatorów (niezaszczepionych), którzy narażają zdrowie i życie nie tylko swoje, ale też innych. Tymczasem owe role coraz bardziej ciążą i jednym, i drugim. Po obu stronach barykady eskalują niezrozumienie, niechęć i agresja.

Koła ratunkowe

Wśród austriackich ekspertów narastało przekonanie, że czwartej fali nie uda się zahamować bez twardego lockdownu dla wszystkich. Z biegiem czasu topniały też zastępy tych, którzy absolutnie odrzucali wprowadzenie obowiązku szczepienia się na covid. Coraz częściej słychać też było głosy domagające się od rządzących zdecydowanej strategii, klarownej i długoterminowej.

I oto, pod koniec trzeciego tygodnia listopada, wydarzenia przyspieszyły.

Ogłaszając wcześniej lockdown dla niezaszczepionych, kanclerz Schallenberg mówił, że w razie potrzeby kraje związ-

kowe mogą samodzielnie podejmować dodatkowe środki służące tłumieniu pandemii. Już w czwartym dniu obowiązywania tego lockdownu z opcji takiej skorzystały dwa landy: rządy Salzburga i Górnej Austrii zapowiedziały, że jeśli rząd federalny nie ogłosi lockdownu dla wszystkich (tego znanego już, klasycznego), to od poniedziałku 22 listopada zacznie on obowiązywać w obu regionach. „Nie widzimy żadnej alternatywy" – mówił premier landu Salzburg Wilfried Haslauer (ÖVP).

Decyzja Salzburga i Górnej Austrii wytworzyła polityczną presję. Już następnego dnia przed południem, po naradzie kanclerza z premierami wszystkich landów, głos znów zabrał Schallenberg. Ogłosił dwie decyzje. Pierwsza nie była zaskoczeniem: od poniedziałku 22 listopada w całym kraju obowiązuje lockdown dla wszystkich, także dla zaszczepionych. Ma trwać 20 dni. Najpóźniej od 13 grudnia przestanie on obowiązywać zaszczepionych i ozdrowieńców, za to niezaszczepieni nadal mają podlegać obostrzeniom.

Druga decyzja czyni z Austrii prekursora w skali Europy: od 1 lutego 2022 r. ma wejść w życie powszechny obowiązek szczepień na covid. „Nie chcemy piątej fali, nie chcemy szóstej ani siódmej fali" – mówił Schallenberg. I jeszcze: „Zbyt wielu ludzi w naszym kraju zachowało się niesolidarnie".

„G" jak gestorben

Dorothee von Laer, wirusolożka z Uniwersytetu Medycznego w Innsbrucku, podczas telewizyjnej dyskusji swoją prognozę streściła w sposób obrazowy: nie możemy już sobie pozwolić na eksperymenty, inaczej za sześć miesięcy będziemy mieć nowe „3G" – społeczeństwo będzie dzielić się na tych, którzy są *geimpft* (zaszczepieni), *genesen* (wyleczeni) oraz na tych, którzy są *gestorben* (martwi).

Nie wszyscy widzą to tak drastycznie. Ale wygląda na to, że koniec końców o przebiegu obecnej fali covidu znów zadecyduje ludzka solidarność. Albo jej brak.

© BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK

Tekst ukończono w piątek 19 listopada.

FLORIAN GAERTNER / PHOTOTHEK / GETTY IMAGES

W nowym rozdaniu Katrin Göring-Eckardt (z prawej) jest postrzegana jako kandydatka Zielonych na urząd prezydenta RFN. Annalena Baerbock (z lewej) może objąć MSZ. Bundestag, Berlin, 18 listopada 2021 r.

Nowe pokolenie w Bundestagu

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Niemiecki parlament po ostatnich wyborach jest młodszy, więcej w nim kobiet i osób z korzeniami imigranckimi. Czy przełoży się to na politykę?

Po prawie dwóch miesiącach od wrześniowego głosowania wszystko wskazuje na to, że negocjacje koalicyjne w Berlinie zmierzają ku szczęśliwemu końcowi.

Po raz pierwszy w historii Republiki Federalnej w skład nowej koalicji rządowej wejdą trzy frakcje parlamentarne. Kluczową rolę odgrywać będą w niej socjaldemokraci – to ich kandydat Olaf Scholz najpewniej zastąpi Angelę Merkel w fotelu kanclerza. Tym samym wyborcy wybrali zarazem i zmianę (bo po 16 latach władzę utraciła chadecja CDU/CSU), i kontynuację, bo w ostatnich latach SPD była partnerem koalicyjnym chadeków, a w ostatnim rządzie Merkel przyszły kanclerz pełnił funkcję ministra finansów i wicekanclerza. Wraz z socjaldemokratami rządzić będą Zieloni, skupieni na kwestiach klimatycznych, a także gospodarczy liberałowie z FDP.

W kontrze do Merkel

Negocjacje koalicyjne przebiegają w iście niemieckim stylu, a ich przewodnim hasłem jest „Ordnung". Cały obszar polityki podzielono na 22 grupy tematyczne. Do każdej z nich partie przypisały swoich negocjatorów. Każda z grup na pięciu stronach formatu A4 opisała wspólną perspektywę działań przyszłego rządu w danym obszarze. Określono nawet rodzaj i wielkość czcionki oraz odstępy między wierszami.

Ten etap prac, w grupach, zakończył się terminowo w pierwszej połowie listopada. Następnie ścisłe kierownictwo trzech ugrupowań usiadło, aby dopracować szczegóły i podjąć pewnie najtrudniejszą część rozmów dotyczącą podziału resortów. Z nieoficjalnych przecieków wiadomo, że SPD dostanie typowe resorty socjalne i sprawy wewnętrzne, liberałowie obejmą finanse, natomiast Zieloni ↦

↦ otrzymają m.in. Ministerstwo Spraw Zagranicznych oraz Ministerstwo Środowiska, mocno wzmocnione kompetencyjnie, które będzie też decydować o przebiegu transformacji energetycznej.

Ten etap zakończy się przedstawieniem umowy koalicyjnej (spodziewano się, że nastąpi to w tygodniu, gdy ten numer „Tygodnika" będzie w rękach czytelników), potem przegłosowaniem jej tekstu przez każdą z partii, a wreszcie powołaniem Olafa Scholza na urząd kanclerza. To ostatnie planowane jest na 6 grudnia.

W harmonijnie brzmiących komunikatach politycy SPD, Zielonych i FDP zapewniają, że stworzą rząd sprawny i zdeterminowany, aby podjąć największe – w ich oczach – wyzwania, takie jak dalsza transformacja energetyczna i związana z nią rewolucja w przemyśle, cyfryzacja usług publicznych oraz wzmocnienie programów socjalnych. Z wypowiedzi wciąż jeszcze niedoszłych koalicjantów przebija przede wszystkim pragnienie, aby zmienić sposób rządzenia: z pasywnego i reaktywnego, który do perfekcji opanowała Angela Merkel, na zdecydowanie aktywny.

Z kontekstem migracyjnym

To tyle, jeśli idzie o nowy rząd. Natomiast istotne zmiany widać już teraz – gdy przegląda się listy nowych posłów do Bundestagu. Blisko trzysta osób to parlamentarni nowicjusze, a 11 proc. składu izby (80 osób) ma korzenie imigranckie. Można powiedzieć, że w ten sposób niemiecka polityka staje się powoli odbiciem społeczeństwa: według Federalnego Urzędu Statystycznego prawie 22 mln z 83 mln mieszkańców Niemiec ma tzw. *Migrationshintergrund* (dosłownie: kontekst migracyjny), a 8 mln z nich miało podczas ostatnich wyborów do Bundestagu prawa wyborcze (to ok. 13 proc. wszystkich wyborców).

Ta różnorodność rzuca się w oczy, jeśli popatrzeć choćby na alfabetyczny spis nowych posłów i posłanek na stronie internetowej Bundestagu. Na liście są m.in. 35-letnia Sanae Abdi (urodzona w Maroku), 28-letni Adis Ahmetovic (urodzony już w Hanowerze, ale o bośniackich korzeniach) i 31-letnia Reem Alabali-Radovan (urodzona w Moskwie). Ta trójka dostała się z listy SPD.

Z kolei urodzona w Turcji 39-letnia Gökay Akbulut i jej rówieśnik, pochodzący z Jemenu 39-letni Ali Al-Dailami, zasiadają w parlamencie z ramienia Partii Lewicy. Natomiast 31-letni Muhanad Al-Halak, urodzony w Iraku, trafił do Bundestagu z listy liberałów.

ARCHIWUM PRYWATNE

MUHANAD AL-HALAK *miał 11 lat, gdy dotarł do Niemiec z Iraku, rządzonego przez dyktatora Husajna. 20 lat później zaczyna karierę w Bundestagu jako poseł liberałów.*

Pierwszy dzień Muhanada

„Tygodnik Powszechny" umówił się z tym ostatnim na rozmowę. W przeciwieństwie do parlamentarnych wyjadaczy, z którymi umawianie wywiadów zawsze trwa długo i wymaga wytrwałości w kontaktach z pracownikami biur poselskich, Muhanad Al-Halak sam oddzwania na prośbę o rozmowę i szybko – już następnego dnia – znajduje wolny czas.

Rozmawiamy przez komunikator Zoom. Na ekranie pojawia się młody mężczyzna z perfekcyjnie przystrzyżonym zarostem i równie starannie ułożonymi krótkimi włosami. Spinki łączą mankiety śnieżnobiałej koszuli. Za sylwetką polityka widać tylko gołą białą ścianę. Zanim odpowie na pierwsze pytanie, krótko reguluje swój fotel. – Proszę wybaczyć, ale wczoraj wieczorem pierwszy raz przyszedłem do biura i muszę się tu dopiero urządzić – opowiada z szerokim uśmiechem, który będzie towarzyszył już całej rozmowie.

Miał 11 lat, gdy dotarł do Niemiec z Iraku, rządzonego jeszcze przez dyktatora Saddama Husajna. Był rok 2001. Wtedy nie znał ani słowa po niemiecku. Jego rodzice, nauczycielka i przedsiębiorca, czekając na decyzję w sprawie azylu, nie mogli podjąć żadnej pracy. 20 lat później ich syn zaczyna karierę w Bundestagu. – Oczywiście, że chcę być wzorem kogoś, kto się dobrze zintegrował – przekonuje w rozmowie.

Po ucieczce z Iraku do Niemiec wychowywał się w Grafenau. – To mój *Heimat* [niem. lokalna ojczyzna, ziemia ojczysta – red.] – tak mówi o tym ośmiotysięcznym idyllicznym miasteczku położonym w Bawarii. W jego niemieckim słychać zarówno wpływ dialektu bawarskiego, jak i akcent typowy dla osób pochodzących z krajów arabskich. – Zostałem bardzo serdecznie przyjęty przez lokalną społeczność – wspomina. – Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego dnia w szkole. To był dla mnie tak samo ważny i emocjonalny moment, jak teraz pierwszy dzień w Bundestagu.

We własnych rękach

Postępowanie w sprawie nadania jego rodzinie azylu zajęło wtedy rok. – Teraz to trwa czasami nawet trzy lata – ocenia z rozczarowaniem w głosie. – Przez to komuś mogą wpaść z nudów różne głupoty do głowy.

Dlatego migracja i integracja ludności napływowej to główne tematy, którymi Muhanad Al-Halak chce zajmować się w Bundestagu. Inne bliskie mu kwestie to edukacja zawodowa i wsparcie rzemiosła. 31-latek wyróżnia się bowiem nie tylko z powodu pochodzenia. Zanim zaangażował się w politykę, pracował w miejskiej oczyszczalni ścieków. – Mój poprzedni zawód to dla mnie powód do dumy. Większość osób w Bundestagu ma wyższe wykształcenie, ale większość Niemców już nie. Może mój sposób myślenia jest zupełnie inny od kogoś, kto studiował. I dzięki mieszance takich różnych perspektyw narodzi się coś dobrego – przekonuje.

Większość osób mających korzenie imigranckie tradycyjnie poniekąd trafia w szeregi socjaldemokratów lub Zielonych. Al-Halak tłumaczy, jak wstąpił do liberałów. – Częścią naszego programu jest obietnica awansu społecznego, który zależy tylko od własnych osiągnięć. Kolor skóry czy pochodzenie nie grają żadnej roli – przekonuje.

W 2016 r., w samym środku kryzysu migracyjnego, gdy ponad milion ludzi dotarło do Niemiec, aby tu aplikować o azyl, Al-Halak trafił na spotkanie FDP w swoim mieście. Wdał się w rozmowę z przewodniczącym partii Christianem Lindnerem. „Jesteś idealnym przykładem na udaną integrację. Czy jesteś już członkiem FDP?" – usłyszał. Odparł: „Od dziś już chyba tak". Tak wspomina początek drogi, która zaprowadziła go do Bundestagu.

Choć w ostatnich latach FDP odeszła od neoliberalizmu w sprawach gospo-

darczych, wciąż jest w dużej mierze partią przedsiębiorców, „kowali własnego losu", którzy do sukcesu potrzebują tylko siebie i jak najmniej interwencji państwa. Podatki – najlepiej jak najniższe. Także Al-Halak uważa, że nie powinno się ich podnosić, mimo nowych długów, jakie zaciągnął rząd Merkel, by uruchomić szczodre programy pomocowe na czas pandemii.

Jak połączyć to w umowie koalicyjnej z hasłami SPD i Zielonych, które w czasie kampanii głosiły, że trzeba podnieść podatki dla najbogatszej części społeczeństwa? O aktualnej politycznej kuchni Al-Halak nie mówi nic. Partie umówiły się, że informacje na temat negocjacji nie będą trafiać do mediów.

Sukces partyjnej młodzieży

Nie tylko liberałowie trzymają się tej umowy. – Jakie ministerstwa chce objąć SPD? Nie wiem! – odpowiada krótko 31-letnia Nadja Sthamer.

Również ona należy do grona parlamentarnych nowicjuszy. Pochodzi z Saksonii we wschodnich Niemczech, a wybrali ją wyborcy w Lipsku. Kobiety stanowią dziś 35 proc. Bundestagu, a na stronie internetowej Nadji Sthamer widnieje taki opis: socjalistka, feministka, kosmopolitka. – Nikogo nie powinno zostawiać się samego, to jest dewiza socjalizmu – tłumaczy Sthamer.

W działalność SPD, a dokładniej jej młodzieżówki Jusos (to skrót od *Jungsozialisten*, młodzi socjaliści), zaangażowała się w trakcie studiów (studiowała

ŁUKASZ GRAJEWSKI

NADJA STHAMER *należy do młodzieżówki SPD. Jej członkowie zajmują dziś aż jedną czwartą mandatów wywalczonych przez SPD. Jusos pozycjonują się na lewo od partii matki.*

politologię i religioznawstwo). Młodzieżówki odgrywają tradycyjnie dużą rolę w niemieckim systemie partyjnym. Jusos może pochwalić się niebagatelną liczbą 70 tys. członków. W ostatniej kampanii wyborczej byli skuteczni: w nowym Bundestagu zajmują aż 49 miejsc, czyli niemal jedną czwartą z wszystkich 206 mandatów, które wywalczyła SPD.

Członkowie Jusos pozycjonują się tradycyjnie bardziej na lewo od partii matki: żądają większych nakładów na programy socjalne, nierzadko postulują pacyfizm i prezentują bardzo liberalne podejście w kwestiach migracyjnych. Jednak Nadja Sthamer nie wygląda na radykalną lewaczkę. Po stroju nie daje po sobie poznać, że jest od blisko dwóch miesięcy posłanką. Na spotkanie z „Tygodnikiem" przychodzi w dżinsach, czerwonym swetrze i butach trekkingowych. – Dla mnie Jusos to przede wszystkim sieć ludzi, którzy mogą się wzajemnie wspierać, szczególnie w pierwszym okresie, gdy w Bundestagu wszystko jest nowe – opowiada.

Jeszcze więcej Europy

Jako matka dwójki małych dzieci, Nadja Sthamer chce przede wszystkim zaangażować się w poprawę polityki rodzinnej. Państwo niemieckie już dziś ma rozbudowany aparat narzędzi i środków wspierających rodzinę. Na każde dziecko rodzina otrzymuje przynajmniej 219 euro miesięcznie.

Nadja Sthamer chce jednak większego wsparcia dla biedniejszych rodzin. – Co piąte dziecko w landzie Saksonia żyje w ubóstwie – argumentuje. Jednym ze wspieranych przez nią pomysłów na tę kadencję jest wprowadzenie w Niemczech Karty Dziecka, która będzie umożliwiać wydanie do 30 euro na zajęcia dodatkowe, np. muzyczne lub sportowe.

Sthamer chce też zmienić regulacje prawne, aby związki nieformalne miały te same uprawnienia co małżeńskie. Ulgi podatkowe tylko dla małżeństw uważa za staroświeckie, tak samo jak fakt, że mimo możliwości zawierania małżeństw przez pary jednopłciowe formalnie żona matki dziecka wciąż musi je adoptować, by zostać prawnie uznana za drugiego rodzica.

W rozmowie z Nadją Sthamer szybko pojawia się temat Unii Europejskiej. – Uważam się za Europejkę. Chcę więcej Europy, a nie mniej – przekonuje. Przestrzeń dla dalszej integracji widzi głównie w sferze socjalnej. Twierdzi, że płace minimalne czy zasiłki dla bezrobotnych ↦

REKLAMA

SZTUCZNA INTELIGENCJA – PODRÓŻ W NIEZNANE

DEBATY
Sztuczna inteligencja i społeczeństwo
04.11., 18.11., 25.11 / na żywo / Kraków

PREZENTACJE
Sztuczna inteligencja i sztuka
02.12., 09.12. / na żywo / Kraków

Antydystopijny kongres: 12.11 / online

Pokaz filmów: 09–14.11 / online

Wszystkie informacje na stronie:
www.goethe.de/krakow/SI

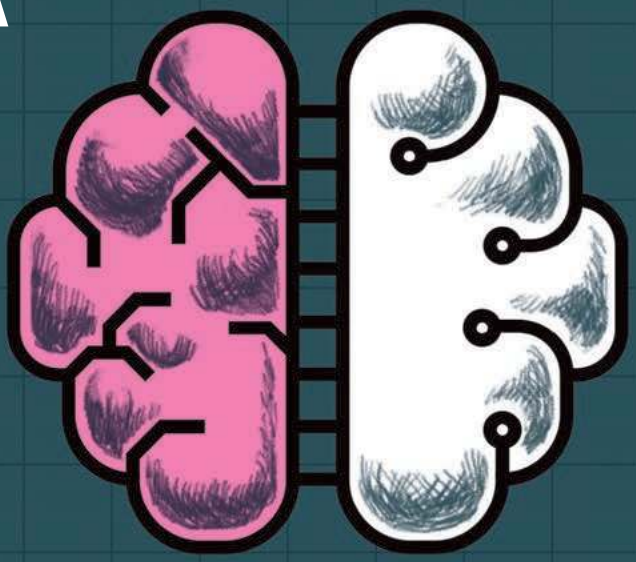

GOETHE INSTITUT

Partner
TYGODNIK POWSZECHNY

↦ powinny być z czasem wyrównywane na poziomie unijnym.

Obecnie Sthamer widzi małe szanse na przyjęcie do Unii nowych państw. – Mamy wystarczająco dużo problemów wewnątrz Europy, np. z Polską – przekonuje. Co u posłanki SPD nie powinno dziwić, polski rząd ocenia zdecydowanie krytycznie: – Muszą być wspólne standardy i wartości, nie jesteśmy tylko wspólnotą gospodarczą. Z niepokojem patrzę na atak na praworządność i ograniczanie prawa kobiet do samostanowienia – mówi.

Gdy w rozmowie dochodzimy do kryzysu na granicy polsko-białoruskiej, po raz pierwszy w głosie Nadji Sthamer słyszę emocje. – Dla tych ludzi trzeba coś zrobić. To są też rodziny z małymi dziećmi. Krótkoterminowo trzeba ich z lasów po prostu ewakuować. A długoterminowo – stworzyć mechanizm solidarnego podziału tych ludzi wewnątrz Unii, choć państwa takie jak Polska takie rozwiązanie blokują – przekonuje.

Zieloni blisko czerwonych

Nadja Sthamer nie ukrywa, że programowo blisko jej do Zielonych. Zresztą nie jest tajemnicą, że te dwie partie od dłuższego czasu dobrze się rozumieją, i że szczególnie łatwo wspólny język znajdują młodsi politycy z obu ugrupowań. Potwierdzenie tego słyszymy również w rozmowie z przedstawicielką Zielonych. – Bardzo dobrze współpracuje mi się z SPD – przyznaje Paula Piechotta, lekarka z kliniki uniwersyteckiej w Lipsku, która również po raz pierwszy dostała się do Bundestagu.

Podobnie jak jej koleżanka z SPD, 35-letnia Paula Piechotta na spotkanie z „Tygodnikiem" stawia się w partyjnych barwach. Łatwo ją rozpoznać nie tylko po zielonym płaszczu i szalu, ale też po rowerze, na którym przyjeżdża w umówione miejsce.

Wspomina, że na jej zaangażowanie w szeregach Zielonych wpłynęli rozpolitykowani rodzice. W czasach NRD studiowali teologię, co w tamtych czasach samo w sobie było już wyrazem co najmniej dystansu wobec komunistycznej ideologii oraz rządzącej w NRD dyktatury. Oboje utrzymywali bliskie kontakty ze środowiskami demokratycznej opozycji, a jak się okazało po otwarciu archiwów, ojciec Pauli był obserwowany przez Stasi, tajną policję NRD.

ŁUKASZ GRAJEWSKI

PAULA PIECHOTTA *pochodzi z byłej NRD i jest córką pastora, ale to jedyne podobieństwa do Merkel. Nie kryje zadowolenia, że era tej kanclerz już się kończy.*

Po zjednoczeniu Niemiec wiele osób z dawnych NRD-owskich środowisk opozycyjnych trafiło do ruchów ekologicznych czy do partii Zielonych. Paula Piechotta kontynuuje więc niejako rodzinną tradycję. Również od niej staramy się wyciągnąć jakieś szczegóły na temat aktualnych negocjacji. – Jak pewnie pan wie, nie możemy na ten temat rozmawiać z prasą – ucina z uśmiechem. Ale nie robi tajemnicy z tego, że Zieloni nie zamierzają poddać się presji czasowej. – Jeśli będzie trzeba, będziemy negocjować dłużej – mówi z przekonaniem.

Idzie czwarta fala

Z informacji, które trafiają do niemieckich mediów, wynika, że to właśnie Zieloni są najostrzejszymi negocjatorami. Chcą wywalczyć dużo, także po to, aby złagodzić powyborczego kaca. Wprawdzie 14,8 proc. głosów to najlepszy wynik w historii tej partii, ale jeszcze w marcu tego roku sondaże dawały im ponad 25 proc. i nadzieję na zwycięstwo.

– Niektórzy mówią, że byliśmy zbyt mili. Na pewno musimy się jeszcze organizacyjnie poprawić na czas kampanii wyborczych – ocenia Piechotta. Dodaje krytycznie, że to już niemal tradycja, iż Niemcy chętnie deklarują pragnienie działań na rzecz klimatu, na rzecz odnawialnych źródeł energii oraz przyspieszenia odejścia od węgla i gazu, ale jak przychodzi dzień wyborczy, to wolą oddać głos na partie, które proponują w tym względzie bardziej zachowawczą politykę.

– Pochodzę ze wschodnich Niemiec i jestem córką pastora, ale to chyba jedyne podobieństwa do Angeli Merkel – uśmiecha się Paula Piechotta i nie ukrywa zadowolenia, że era tej kanclerz wreszcie się kończy. – Ona rozwiązała wiele dużych kryzysów, ale za jej rządów nagromadziło się mnóstwo problemów – uważa.

W Bundestagu chce zająć się służbą zdrowia. Planuje dwa razy w miesiącu pełnić dyżur w dotychczasowym miejscu pracy. – W ten sposób lekarze nie będą musieli pisać listów, tylko będą mieli bezpośredni dostęp do kogoś z polityki – przekonuje.

Jej doświadczenie ze świata medycznego sprawia, że dziś zajmuje ją tylko jeden temat – czwarta fala pandemii. Przechodzi ona przez Niemcy z wyjątkową siłą. Każdego dnia przybywa nawet po 50-60 tys. nowych infekcji i blisko 300 ofiar śmiertelnych. Paula Piechotta krytykuje rząd Merkel, który jej zdaniem nie przygotował społeczeństwa na potrzebę przyjęcia trzeciej dawki szczepionki.

Tymczasem przyszli koalicjanci w pewnym pośpiechu uzupełniają w tych dniach swój program w sferze dotyczącej zwalczania pandemii – czwarta fala rozwinęła się tak szybko, że wcześniejsze uzgodnienia w tej materii okazały się zwyczajnie niewystarczające. Media spekulują na temat możliwości wprowadzenia obowiązkowych szczepień dla pewnych grup zawodowych i obostrzeń wobec osób niezaszczepionych. Szczegóły zapewne poznamy w najbliższych dniach.

Z nadzieją na przełom

Podczas rozmów z parlamentarnymi nowicjuszami wyraźnie widać różnice – w szczególności między mocno socjalnymi programami SPD i Zielonych z jednej strony a oszczędnym w tej materii podejściem liberałów. Równocześnie cała trójka – Muhanad Al-Halak, Nadja Sthamer i Paula Piechotta – mówi o poczuciu odpowiedzialności. – Tak zdecydowali wyborcy – stwierdza Muhanad Al-Halak. – Chcemy realizować nasz program. Im więcej się uda przewalczyć, tym lepiej, ale oczywiście z części postulatów trzeba będzie zrezygnować. To czeka każdą z partii.

Rzecz charakterystyczna: w wypowiedziach każdego mojego rozmówcy wielokrotnie powtarza się słowo „Aufbruch", oznaczające coś więcej niż „przełom"; to jakby „przełom" połączony z „przebudzeniem". Czy to również reakcja na 16 lat ery Merkel? I czy te nadzieje jakiegoś przełomu, jakiejś nowej jakości się spełnią?

W każdym razie niemiecka polityka w najbliższych latach będzie zapewne znacznie bardziej różnorodna, odważniejsza, a już na pewno ciekawsza.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Afganki na plaży w Shëngjin, październik 2021 r.

Uchodźca w kurorcie

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK
Z SHËNGJIN (ALBANIA)

Tysiąc ewakuowanych z Kabulu Afgańczyków trafiło do hotelu nad Adriatykiem. Choć są w jednym z najbardziej ekskluzywnych „obozów" dla uchodźców na świecie, nie opuszczają ich troski.

Mimo że trwa jesień, w popularnym albańskim kurorcie wciąż temperatura przekracza 20 stopni Celsjusza. Deptaki, hotele i liczne restauracje świecą pustkami, lecz zdarzają się okazjonalni przyjezdni, a nawet pojedynczy amatorzy pływania. Shëngjin wydaje się martwe, jak wiele takich miejsc poza sezonem. Wkoło słychać niemal wyłącznie szum morza.

Tylko naprzeciw potężnego, ekskluzywnego kompleksu hotelowego Rafaelo jest trochę ruchu. Przy brzegu morza siadają ludzie i o czymś rozprawiają, dzieci bawią się w piasku. Na deptaki wychodzą spacerowicze, a po południu dwie drużyny rozgrywają kilka setów w siatkówkę.

Wewnątrz kompleksu hotelowego dzieje się więcej. Mali piłkarze ganiają po improwizowanym boisku, piłka co chwila wpada im do fontanny. Wokół pustych basenów czas spędzają kobiety i mężczyźni. Sporadycznie w restauracji odbywają się spotkania albo ktoś rozsiada się za komputerem, by załatwić pilne sprawy.

Kompleks hotelowy jest dziś miejscem pobytu ponad tysiąca Afgańczyków, którzy zostali ewakuowani z kraju po tym, jak talibowie przejęli władzę. Pracownicy rządowi, aktywiści, dziennikarze i artyści czekają w Shëngjin, miejscowości oddalonej o półtorej godziny od stołecznej Tirany, aż będą mogli udać się do USA lub Kanady.

O dzień za późno

30-letni Mustafa Madżidiar był wysoko postawionym urzędnikiem w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Mimo młodego wieku, od sześciu lat piastował różne stanowiska w administracji państwowej.

Rano 15 sierpnia zadzwonił do niego przyjaciel. Powiedział, że talibowie są już u bram Kabulu. Mustafa odparł, że to niemożliwe. Wojsko i siły bezpieczeństwa miały ponad 300 tys. członków, a talibowie niemal cztery razy mniej. Z kraju jeszcze nie wyjechali wszyscy amerykańscy wojskowi. Ale Madżidiar wykonał kilka telefonów i niemożliwe okazało się prawdą. Stwierdził, że dla niego to koniec.

Wcześniej nie miał złudzeń co do tego, czy talibowie mogą kiedyś wygrać. Lata spędzone w administracji uświadomiły mu, jak powszechne są korupcja, nepotyzm i walka o wpływy. Zaskoczyło go tylko, że kraj został zajęty tak szybko.

Wyszedł z domu i swoją corollą pojechał do agencji turystycznej. Gdy trzy dni przed zajęciem Kabulu upadł Herat, kluczowe miasto w zachodnim Afganistanie, kupił bilet do Turcji. Miał wizę. Musiał tylko zarezerwować hotel w Stambule, gdzie mógłby odbyć kwarantannę. Lot miał zaplanowany na 16 sierpnia, ale pomyślał, że dzień go nie zbawi. W agencji turystycznej zarezerwował drogi hotel i wrócił do domu. Pozostało mu czekać na samolot.

W dniu planowego wylotu pojechał na lotnisko, aby ujrzeć tam rzesze ludzi, którzy za wszelką cenę chcieli wydostać się z kraju. Stojący na straży talibowie nie przepuszczali praktycznie nikogo, odpychali napierających kolbami, strzelali w powietrze. Zrezygnowany i przestraszony Madżidiar wrócił do domu.

Do Kabulu nie wrócę

Czuł się fatalnie. W sześciomilionowym Kabulu był sam. Matka trzy miesiące temu zmarła na covid, reszta rodziny mieszka w USA. Pewnie utknąłby w mieście, gdyby nie zadzwonił do niego z Waszyngtonu brat, który pracuje w Narodowym Funduszu Wspierania Demokracji (NED), organizacji finansowanej z amerykańskiego budżetu. ↦

↦ Zapewnił, że Mustafa wkrótce trafi na listę ewakuacyjną.

Ten postanowił wykorzystać czas, by spieniężyć auto i dom. Za bezcen sprzedał corollę, ale z domem nie dało się nic zrobić. Ludzie nie mieli tyle gotówki, by zapłacić, a nawet jakby mieli, nie dało załatwić się formalności, bo urzędy były zamknięte. – Zdałem sobie sprawę, że nie wrócę tutaj w najbliższych latach, a może i dekadach – mówi Mustafa.

22 sierpnia otrzymał telefon z NED, że ma się udać do hotelu Serena w Kabulu. Stąd autobusami zostali przewiezieni na lotnisko. Talibowie rozganiali ludzi, by konwój mógł przejechać. Dwa dni później wylecieli z kabulskiego lotniska i po kilku postojach dotarli do Albanii. Na początku września dotarli do Shëngjin nad Morzem Adriatyckim.

Przystanek Bałkany

– Nigdy w życiu nie słyszałem o Albanii. Gdy powiedziano mi, że będę tu ewakuowany, musiałem sprawdzić na Google Maps, gdzie jest ten kraj. Obejrzałem zdjęcia i bardzo mi się spodobało – mówi Madżidiar, który w przeszłości bywał w Europie, a także w środkowej i wschodniej Azji.

Pierwsi Afgańczycy przyjechali, gdy sezon turystyczny jeszcze trwał. Hotele, restauracje, deptaki, palmy, szerokie plaże i woda, która ciągnie się aż po horyzont. Wielu przybyłych po raz pierwszy zobaczyło morze, a przy okazji rozebranych plażowiczów i gorące imprezy. Madżidiar widział ten świat, więc nie był to dla niego szok. – Wszystko wyglądało bardzo ekskluzywnie. Myśleliśmy, że jesteśmy luksusowymi uchodźcami – mówi.

Tym bardziej że wie o trudnych warunkach, których doświadczają ewakuowani Afgańczycy przebywający w obozach i bazach wojskowych rozsianych po świecie. Oni nie mogą liczyć – jak ci, którzy trafili do Shëngjin – na przestronne pokoje hotelowe, łazienkę na własny użytek, nie mówiąc o restauracjach, plażach i morzu.

– Nie cieszyłem się jednak z tego wszystkiego, bo w Kabulu zostawiłem moje dotychczasowe życie – przyznaje. – Chciałbym wrócić i spłacić dług wobec społeczeństwa. Studiowałem na publicznym uniwersytecie, pracowałem w administracji państwowej. To wszystko pochodziło z pieniędzy podatników.

Dlatego w Shëngjin zgłosił się na ochotnika, by koordynować wsparcie NED i innych organizacji dla uchodźców – pod postacią pomocy medycznej, kursów językowych czy pomocy materialnej.

SWITA AMANI *jest w ósmym miesiącu ciąży i cieszy się, że jej trzecie dziecko urodzi się z dala od wojny.*

JAMA FARHAD *z synem Kijanem, któremu z okazji niedawnych urodzin zamówił tort z napisem: „Wszystkiego najlepszego z okazji pierwszego roku bezdomności".*

MUSTAFA MADŻIDIAR *pracował w administracji, teraz koordynuje pomoc dla innych uchodźców, którzy są w takiej jak on sytuacji.*

Albańska gościnność

W kolumnie autobusów wraz z Madżidiarem jechał też 28-letni Jama Farhad. Nie znali się dotychczas. Grupa ewakuowana przy wsparciu NED liczyła ok. 300 osób. Wśród nich: urzędnicy, pracownicy sfery pozarządowej, dziennikarze czy artyści. Łącznie w Shëngjin przebywa ich około 1000, a w całej Albanii 1400. Kolejne osoby wciąż przyjeżdżają.

Choć władze trzymilionowej Albanii nie miały wiele czasu na przygotowania, to instytucje państwowe mają doświadczenie w sytuacjach kryzysowych. Jak Albańczycy poszkodowani po trzęsieniu ziemi w 2019 r., tak teraz Afgańczycy zostali natychmiast umieszczeni w bazie hotelowej. Ponadto, mając na względzie trudną historię kraju, premier Edi Rama wielokrotnie podkreślał, że trzeba pomagać tym, którzy znaleźli się w potrzebie, a umieszczanie ich w obozach jest nieludzkie. Albania zgodziła się czasowo przyjąć do 4 tys. Afgańczyków, którzy następnie mają trafić do USA lub Kanady.

Odcięci od korzeni

Przez ostatnie pięć lat Farhad był artystą w szeregach ArtLords. To jedna z najbardziej aktywnych grup artystycznych w Afganistanie, na jej murale można się było natknąć w wielu afgańskich miastach. Dotyczyły one spraw społecznych, polityki i wojny. Jednym z przewodnich motywów prac było hasło „widzę ciebie" – skierowane do skorumpowanych i niedbających o kraj polityków, ale też do talibów i innych organizacji dokonujących zamachów, których ofiarami padała ludność cywilna. Znaczna część z setek murali grupy ArtLords została już zamalowana lub zdewastowana po przejęciu władzy przez talibów.

Do Shëngjin trafiły 22 osoby z tego artystycznego kolektywu, choć większość to pracownicy galerii i biura. Reszta wciąż pozostaje w Afganistanie. Farhad twierdzi, że to nie koniec działalności ArtLords, choć będzie ona dużo trudniejsza niż dotychczas. – Jako artysta swoje pomysły czerpałem ze społeczeństwa, które znałem bardzo dobrze. Teraz zostałem odcięty od mojego źródła inspiracji – przyznaje.

W Shëngjin pierwszy raz zobaczył morze. Mówi, że gdy na nie spojrzał, jego myśli powędrowały ku jeziorom w prowincji Bamjan w środkowym Afganistanie. Odwiedzał je kilka razy w ciągu roku. – Czułem się z nimi związany i miałem poczucie, że należą do mnie. To morze jest piękne, ale pozostaje obce – mówi.

Kolektyw ArtLords ma nadzieję pozostawić po sobie ślad także w Albanii. Chcą namalować murale z podziękowaniami dla polityków i społeczeństwa za ciepłe przyjęcie. Czekają na zgodę od lokalnych władz i prywatnych właścicieli, by udostępnili swoje mury.

Na terenie kompleksu hotelowego Rafaelo, gdzie umieszczono ewakuowanych Afgańczyków, znajduje się kopia Statui Wolności. Shëngjin, październik 2021 r.

Życzenia dla syna

Już po ewakuacji Kijan, syn Farhada, obchodził drugie urodziny. Jego wujek przyjechał z Austrii do Shëngjin, by mogli razem świętować. Nareszcie miał okazję, by zobaczyć go na żywo. Chciał wynająć łódkę, by wypłynąć na morze i tam uczcić ten szczególny dzień. – Nie zgodziłem się na to. Jestem uchodźcą, nie pasuje do mnie zbyt wiele luksusu. Powiedziałem, byśmy świętowali urodziny na stołówce wraz z innymi rodzinami – mówi Farhad.

Stołówka to właściwie hotelowa restauracja, gdzie teraz kucharze starają się robić afgańskie potrawy dla przebywających tu uchodźców. Farhad przyniósł tort, który zamówił u lokalnego cukiernika. Gdy ten zapytał, co ma być na torcie, Afgańczyk się zamyślił, a następnie powiedział: „Wszystkiego najlepszego z okazji pierwszego roku bezdomności!".

Kijan nie mógł tego przeczytać, ale jego ojciec zrobił zdjęcia z urodzin. Widnieją na nich tort, solenizant i inni uchodźcy przebywający w Shëngjin.

To element planu, który obmyślili. Farhad wraz z żoną spisują wspomnienia, a także proszą rodzinę pozostałą w Kabulu, by wysyłali im wideo z ich codziennego życia. Matka Farhada nie może przeżyć rozłąki z wnukiem. Wchodzi czasami do jego pokoju i płacze. Czasami to nagrywa. Rodzice spisany tekst, zdjęcia i filmiki pokażą kiedyś Kijanowi.

– Któregoś dnia damy mu to, by mógł przypomnieć sobie czas, gdy stał się człowiekiem bez ojczyzny – mówi Farhad. – Chcę, żeby nie utracił korzeni i nie stał się jednym z tych, którzy narobili bałaganu w kraju, a następnie go zdradzili.

Farhad ma na myśli polityków, takich jak były prezydent Ashraf Ghani, którzy żyli za granicą, uczyli się na najlepszych uczelniach na świecie, a po powrocie do kraju zawiedli nadzieje społeczeństwa.

Nieudana próba

29-letnia Swita Amani jest w ósmym miesiącu ciąży. Cieszy się, że jej trzecie dziecko urodzi się w Albanii i nie doświadczy okropieństw wojny, z którymi zetknęło się jej dwóch synów: 9-letni Imran i 5-letni Osman. Jako że rodzina tymczasowo przebywa w Albanii, nie jest jasne, jaki paszport otrzyma córka.

Wraz z pozostałymi członkami rodziny Amani ma trafić do któregoś z państw Ameryki Północnej. W „grupie albańskiej" znalazła się z powodu swojej teściowej, która od lat działała w organizacjach zajmujących się prawami kobiet w prowincji Balch, w północnym Afganistanie.

Także Amani, pracująca w sektorze pozarządowym, od dawna chciała opuścić kraj. Całe życie spędziła wśród wojny i nie ma nadziei, że w Afganistanie kiedykolwiek będzie lepiej. Powstrzymywał ją mąż: twierdził, że muszą pracować na rzecz swojej ojczyzny, a nie po prostu ją opuszczać. Dopiero przejęcie władzy przez talibów zmieniło jego nastawienie.

Mimo że znajdowali się na liście ewakuacyjnej, za pierwszym razem nie udało im się dostać na teren lotniska; przed jego bramą spędzili kilka dni. Ciężarna Amani przez ten czas nie miała praktycznie dostępu do wody ani jedzenia, bała się o dzieci. W chaosie zgubili walizki, w których mieli większość dobytku: pieniądze, biżuterię i osobiste rzeczy. Jednak nie mają wątpliwości, że wtedy powrót do mieszkania w Kabulu był najlepszym, co mogli zrobić. Dzień po tym, jak zrezygnowali z tamtej próby dostania się do samolotu, doszło do zamachu przed lotniskiem, zginęły przynajmniej 182 osoby.

Jednocześnie mieli poczucie, że mogli stracić jedyną szansę na opuszczenie kraju. Telefon długo milczał i ich sprawa wydawała się tkwić w miejscu. Początkowo w ogóle nie wychodzili z domu. Talibowie wydzwaniali do teściowej Amani i wypytywali o jej adres. Dopóki nie skończyły się im zapasy, nie wychodzili z domu. Potem mieli nadzieję, że nikt ich nie rozpozna, skoro nie są z Kabulu.

– Czekaliśmy dwa miesiące, które dłużyły się niczym dziesięć lat. Trwaliśmy w ciągłym lęku – mówi Amani. – Nasza przyszłość była niepewna. Szukaliśmy drogi przez Pakistan lub Tadżykistan.

Sen nie dla wszystkich

W końcu w połowie października dostali wiadomość, że mogą udać się na lotnisko. Obawiali się – zwłaszcza synowie Amani – że będzie tak, jak za pierwszym razem. Dzieci nie chciały jechać. Przy wejściu na lotnisko było jednak pusto. Przeszli bez problemów i po kilku godzinach odlecieli samolotem katarskich linii lotniczych. Tego samego dnia znaleźli się w Albanii. Wszyscy wkoło wydawali się życzliwi, jeszcze na lotnisku zaserwowano im kolację, a stamtąd wysłano do Shëngjin.

– Myślałam, że trafimy do obozu, więc trochę się bałam. Zobaczyłam ten budynek i pokoje. Byłam bardzo szczęśliwa. Czasami wydaje mi się, że śnię – mówi Amani.

Zawsze chciała mieszkać w pobliżu wody. Nie spodziewała się, że będzie to morze, bo Afganistan nie ma do niego dostępu. Do Rafaelo trafiła wraz z mężem, dziećmi i teściową. W innym pokoju mieszka jej szwagierka z mężem.

Radość Amani byłaby niezmącona, gdyby nie to, że jej rodzina została w Afganistanie. Pozostali teraz bez pracy albo wykonują ją za darmo, bo kryzys gospodarczy się zaostrza. Przyszłość, która ich czeka, nie ma nic wspólnego ze snem, w którym znalazła się Amani.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Współpraca AZIZ KOSZAN

Tekst powstał przy wsparciu Milena Jesenská Fellowship w Instytucie Nauk o Człowieku (IWM) w Wiedniu.

HISTORIA

ŻERAŃ RUSZYŁ

Pierwsza w powojennej Polsce fabryka aut, która powstała 70 lat temu, miała wydobyć kraj z motoryzacyjno-technologicznej zapaści.

HUBERT WILK

JERZY BARANOWSKI / PAP

Gdy na początku grudnia 1951 r. Jan Józef Szczepański odwiedza Fabrykę Samochodów Osobowych na warszawskim Żeraniu, wciąż jeszcze można wyczuć napięcie związane z dopiero co zakończonymi obchodami kolejnej rocznicy wydarzenia, które w państwach bloku wschodniego obchodzone jest z wielką pompą jako Rewolucja Październikowa – moment założycielski rządów komunistycznych.

W swoim dzienniku 32-letni pisarz zanotuje: „Wczoraj zwiedzałem fabrykę na Żeraniu. Ten cały huk w prasie to był typowy, wyreżyserowany pokaz. Fabryka, poza pięcioma zmontowanymi na uroczystość otwarcia wozami, nie wypuściła nic. Teraz dopiero wykańczają wszystkie urządzenia, które na kronice filmowej figurowały jako ukończone przed terminem".

Pogoń, aby sprostać oczekiwaniom i zobowiązaniom podjętym przez żerańskich robotników, pokazywana była w kadrach Polskiej Kroniki Filmowej jako prawdziwy wyścig z czasem. Ich zakład, najważniejsza inwestycja planu sześcioletniego – z lat 1950-55, nazywanego też planem budowy socjalizmu w Polsce – miał być przecież „fabryką jutra": tu miał się narodzić socjalistyczny przemysł samochodowy.

Propagandowy obraz zupełnie jednak nie odpowiadał rzeczywistości zastanej na miejscu. Początki FSO jak w soczewce obrazują słodko-gorzki smak peerelowskiej motoryzacji, jak też całego powojennego półwiecza. Z jednej strony dawały nadzieję na nowe otwarcie, z drugiej zaś podporządkowane były ideologii – tak jak ówczesna rzeczywistość polityczna, gospodarcza i społeczna.

W ogonie Europy

Obejmując władzę w powojennej Polsce, komuniści budowali legitymizację dla swoich rządów na negowaniu osiągnięć II Rzeczypospolitej. Dotyczyło to praktycznie każdej dziedziny życia. Krytyka nie ominęła też sfery motoryzacji – akurat w tym przypadku była uzasadniona.

Polska z lat 1918-39 była niemal pozbawiona samochodów osobowych: z chwilą wybuchu II wojny światowej po kiepskich drogach jeździło niespełna 32 tys. aut, co stawiało kraj na jednym z ostatnich miejsc w Europie. Więcej samochodów posiadały Litwa, Łotwa, Estonia czy Rumunia. Jeszcze gorzej wyglądało to, gdyby uwzględnić wielkość populacji. Pod koniec 1938 r. jedno auto przypadało na 1420 mieszkańców Polski. Było to niemal dziesięciokrotnie mniej niż w Niemczech i Włoszech. Jeśli porównamy tę wielkość z takimi krajami jak Czechosłowacja czy Belgia (jedno auto na 54 osoby), Francja (23) lub Wielka Brytania (24), to okaże się, że Polska była motoryzacyjnym pariasem.

Rozkład geograficzny pokazywał tu ogromne zróżnicowanie: niemal jedna czwarta wszystkich aut zarejestrowana była w Warszawie i województwie warszawskim. W stolicy na 10 tys. mieszkańców przypadały 84 samochody, za to w pozostałych rejonach kraju było to dramatycznie mało, np. w województwach kresowych (wołyńskie i poleskie) odpowiednio 3,2 oraz 2,7 samochodu.

Na zdecydowanej większości terytorium Polski międzywojennej auto osobowe było więc widokiem rzadkim, a w części niemal niespotykanym. Przyczyn takiego stanu rzeczy było kilka, a wśród najważniejszych wymienić należy zniszczenia wojenne z lat 1914-20, Wielki Kryzys i niechętną rozwojowi motoryzacji politykę władz.

II wojna światowa pogłębiła tę sytuację. Niemal wszystkie samochody zostały zniszczone lub wywiezione z Polski, sieć drogowa w praktyce przestała istnieć. Wojny nie przetrwały także zalążki przemysłu motoryzacyjnego, jak Państwowe Zakłady Inżynierii (i dokumentacja techniczna). W tej sytuacji komuniści otrzy-

Hala montażowa samochodu marki warszawa w FSO na Żeraniu. Model ten produkowany był na licencji sowieckiego auta pobieda. Warszawa, 1954 r.

mali motoryzacyjną *carte blanche* – i postanowili z niej skwapliwie skorzystać.

Tatra czy Peugeot?

Pomysł, aby przemysł motoryzacyjny oprzeć na zagranicznej licencji, wydawał się rozwiązaniem najprostszym. Już dwa lata po wojnie przedstawiciele władz komunistycznych rozpoczęli poszukiwania potencjalnych partnerów, penetrując zarówno rynki środkowo-, jak też zachodnioeuropejskie. Z państw, które ze względów ideologicznych stanowiły najlepszy potencjalny kierunek, najmocniejszą pozycję miała Czechosłowacja. Zaawansowane już rozmowy prowadzono z dwiema firmami, a zarówno Tatra, jak też Škoda z nadzieją spoglądały na potencjalną współpracę z PRL.

Szczegóły oferty przedsiębiorstw z Kopřivnic oraz miasta Mladá Boleslav nie satysfakcjonowały jednak rodzimych decydentów – w obu przypadkach propozycja dotyczyła aut przestarzałych. Zainteresowało ich natomiast auto aero minor II, produkowane przez praską fabrykę Javy. Była to konstrukcja w typie popularnych wówczas mikrosamochodów, które przebojem zdobywały europejskie rynki. Niewielkich rozmiarów i oszczędne, autka te miały w przeciągu kilku lat przyspieszyć motoryzowanie się europejskich społeczeństw. Przedstawiciele PRL wyczuli potencjał, ale na przeszkodzie stanęła wysoka cena, jaką za swoje dziecko zażądali Czesi.

Z kolei spośród producentów zachodnioeuropejskich uwagę zwracała przede wszystkim Francja, gdzie Peugeot i Citroën wydawały się wielce zainteresowane podjęciem współpracy. Po nawiązaniu pierwszych kontaktów okazało się jednak, że ich oferta nie odpowiada stronie PRL-owskiej pod względem technicznym. Obie proponowały bowiem sprzedaż licencji na te modele aut, które same wkrótce zamierzały przestać produkować.

Licencja spłacana węglem

Koniec końców padło na włoską firmę Fiat. Na szali zaważyły: najbardziej konkretna oferta, znaczny udział aut włoskiego producenta w polskim rynku samochodowym, kilkudziesięcioprocentowe zniżki eksportowe na towary dla PRL. A trochę też wspomnienia: niewątpliwie to także obecność w polskich ↦

ROMAN WIONCZEK / EAST NEWS // KOLORYZACJA TP-ONLINE

Na ulicy Świerczewskiego (dziś Aleja Solidarności) w Warszawie, 1951 r. W tle widoczny tunel oddanej dwa lata wcześniej do użytku Trasy W-Z.

↦ kręgach decyzyjnych osób odpowiedzialnych za przedwojenne kontakty z włoską firmą sprawiła, że od podjęcia pierwszych rozmów do finalizacji umowy minęły niespełna trzy lata.

Podpisane w kwietniu 1948 r. porozumienie, będące częścią polsko-włoskiej umowy handlowej z grudnia 1947 r., zakładało produkcję w Polsce modelu 508. Wprawdzie miał on przedwojenny jeszcze rodowód, lecz także konstrukcję, której jeszcze nie można było uznać za przestarzałą. Niemniej w przeciągu dwóch lat miał on być zastąpiony przez nowoczesnego, małolitrażowego fiata 1100, którego produkcja miała ruszyć równocześnie nad Wisłą i w Turynie.

Eugeniusz Szyr, jeden z głównych decydentów w sprawach gospodarczych, podjął decyzję, że nowy fiat będzie wytwarzany przez Fabrykę Samochodów Osobowych – zupełnie nowy zakład zlokalizowany na Żeraniu. Koszt jego budowy szacowano na 50 mln złotych (według cen z 1937 r.), co miało odpowiadać 10 mln przedwojennych dolarów. Fabryka miała produkować rocznie do 10 tys. aut – nowoczesnych, tanich i oszczędnych. Koszty licencji miały być spłacane Włochom węglem, wyrobami metalowymi, produktami roślinnymi i zwierzęcymi, a także chemicznymi.

W przypadku powodzenia polsko-włoskiej kooperacji rodzimy przemysł motoryzacyjny otrzymałby ogromny zastrzyk technologiczny i z pozycji jednego z najbardziej zacofanych pod tym względem krajów Europy przebojem wdarłby się do czołówki. Co więcej, produkcja małolitrażowego auta mogła oznaczać dla społeczeństwa PRL nadzieję na budowę rozsądnego parku samochodowego, zachowującego równowagę między pojazdami ciężarowymi a osobowymi.

Długi cień Moskwy

Ambitne przedsięwzięcie musiało jednak ustąpić ideologii.

Od początku polsko-włoskich rozmów na temat licencji motoryzacyjnej strona sowiecka starała się odwieść rządzących w Warszawie od finalizacji umowy. Henryk Różański, pełniący wówczas funkcję wiceprzewodniczącego Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, w swoich wspomnieniach przytoczył rozmowę, jakiej był świadkiem podczas wizyty w Moskwie delegacji rządowej PRL (brali w niej udział m.in. Józef Cyrankiewicz i Władysław Gomułka). Wówczas to sam Józef Stalin próbował wyperswadować Polakom interesy z Fiatem. Główny jego argument dotyczył unifikacji parku samochodowego krajów bloku komunistycznego, który w przypadku wojny z Zachodem miał być zarekwirowany dla wojska jako jego sprzęt transportowy. W tej optyce fiaty 1100 na polskich drogach oznaczały duże odstępstwo w porównaniu do innych państw zależnych od Związku Sowieckiego.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na chronologię procesu podejmowania decyzji przez władze PRL. Otóż spotkanie na Kremlu odbyło się na trzy miesiące przed podpisaniem umowy z Fiatem. Pomiędzy styczniem a kwietniem 1948 r., mimo wyraźnego sowieckiego weta, przedstawiciele polskiego przemysłu cały czas pracowali nad dopięciem polsko-włoskiej umowy motoryzacyjnej. Na początku sierpnia utworzono Przedsiębiorstwo Fabryka Samochodów Osobowych w Warszawie, którego zadaniem była budowa i uruchomienie zakładu produkującego fiaty. Wkrótce też, z pomocą włoskich inżynierów, rozpoczęły się prace budowlane przy pierwszych budynkach fabrycznych.

Zabawa w kotka i myszkę z Kremlem trwała bez mała dwa lata. Dopiero półtora roku po podpisaniu w kwietniu 1948 r. umowy, wydarzenia na arenie międzynarodowej zaczęły przybierać dla polsko-włoskich interesów zdecydowanie negatywny obrót.

Kiedy w styczniu 1949 r. ukonstytuowała się Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej – w teorii koordynująca działania w zakresie gospodarki państw Europy Środkowo-Wschodniej, a w praktyce będąca skutecznym narzędziem w rękach Kremla do kontroli podległych sobie krajów – jasnym stało się, że dalsze samo-

dzielne decyzje, czy to w Polsce, czy na Węgrzech, nie będą możliwe.

W sierpniu i wrześniu 1949 r. RWPG zebrała się dwukrotnie. Zapadły wówczas istotne z punktu widzenia Polski decyzje odnośnie wspólnej polityki motoryzacyjnej państw bloku wschodniego. Czechosłowacja, posiadając w ręku silne karty przetargowe w tym zakresie (technologia, tradycja motoryzacyjna), przeforsowała ideę, aby ta branża państw RWPG została oparta na jej przemyśle. Na polsko-włoską współpracę nie było tutaj miejsca.

I taksówka, i sanitarka

Od tego momentu wydarzenia nabrały tempa.

Już we wrześniu 1949 r. Warszawa poinformowała Moskwę o zamiarze odstąpienia od umowy z Fiatem (zamierzano powołać się na zawartą w niej klauzulę „wyższej konieczności"). Jednocześnie przypomniała stronie sowieckiej o obietnicy złożonej na pamiętnym spotkaniu ze Stalinem, kiedy to padła propozycja konkretnej pomocy w razie odejścia od opcji włoskiej.

Moskwa zareagowała szybko i gospodarczą umowę polsko-sowiecką ze stycznia 1948 r. rozszerzono teraz o punkty dotyczące przemysłu motoryzacyjnego: zbudowania kompletnej fabryki samochodów osobowych w typie pobiedy i udzielenia bezpłatnej licencji na ich produkcję. Wyposażenie przyszłej fabryki miało być zakupione przez stronę polską od Związku Sowieckiego dzięki kredytom, które zostały jej udzielone na mocy kolejnych umów.

Szybkość, z jaką podjęto decyzje, ułatwiał zapewne fakt, że już wcześniej, wkrótce po zakończeniu wojny, strona PRL-owska interesowała się autem osobowym typu gaz, produkowanym w mieście Gorki. Model M20, nazywany potocznie pobieda (czyli zwycięstwo; według legendy miał to wymyślić Stalin), był konstrukcją o rodowodzie wojennym, choć inspiracji doszukiwać się należy w oplu kapitanie, którego łudząco przypominał. Dla porządku wspomnieć jednak trzeba, że ówczesne linie karoseryjne także innych producentów (choćby czechosłowackiej Tatry czy angielskiego Standard Vanguarda) były do siebie bardzo podobne.

Średniolitrażowa pobieda była pierwszym autem, które teoretycznie każdy obywatel Związku Sowieckiego mógł kupić w wolnej sprzedaży. Teoretycznie, bo zaporowa była cena, ustalona na poziomie 16 tys. rubli – podczas gdy w 1950 r. średnie wynagrodzenie wynosiło tam dokładnie 64 ruble i 20 kopiejek.

Zainteresowanie władz PRL tym modelem wynikało z poszukiwania auta o uniwersalnych możliwościach. Z jednej strony miało służyć jako auto osobowe (głównie jako taksówki, ale także trafić w ograniczonym zakresie do rąk prywatnych), z drugiej powinno dać się łatwo przerobić na sanitarki czy półciężarówki. Osoby odpowiedzialne za motoryzację postulowały nawet zakup kilku egzemplarzy pobiedy, aby osobiście przekonać się o jej możliwościach technicznych. Taka praktyka nie była niczym dziwnym – na testy kupiono egzemplarze angielskiego jovetta javelina, o charakterystyce podobnej do pobiedy.

„Tego nikt nie produkuje"

Jak zatem widać, w kluczowym powojennym okresie polska motoryzacja miała szansę na wymarzony wprost start. Oparcie się na zachodniej technologii mogło przynieść niezwykłe owoce. Jednak w realiach ówczesnej Europy, podzielonej żelazną kurtyną, ideologia i polityka nie pozwoliły na ziszczenie się planów, które na papierze wyglądały imponująco.

Jeszcze przez kilka miesięcy po odstąpieniu przez Polskę od umowy z Fiatem Włosi kontynuowali prace na budowie Żerania. Wkrótce jednak wrócili do ojczyzny, a pieczę nad inwestycją rozciągnęli specjaliści sowieccy. Negocjacje ze stroną włoską w sprawie rozwiązania umowy zakończyły się niemal trzy lata od jej podpisania, w kwietniu 1951 r.: strona PRL-owska uznała należne Fiatowi odszkodowanie i wkrótce rozpoczęła się jego spłata (oczywiście węglem).

A jak potoczyły się losy Żerania? Jeszcze przez trzy lata od uroczystego uruchomienia linii montażowej, o czym pisał Szczepański, fabryka nie była w stanie produkować wszystkich niezbędnych podzespołów do FSO warszawy M20 – bo taką oficjalną nazwę przybrał samochód budowany na licencji. Brakowało maszyn, które dostarczyć miała strona sowiecka (z planowanych 3 tys. sztuk Żerań otrzymał jedynie dwie trzecie). Szwankowała kooperacja z rodzimymi producentami, zwłaszcza z branży chemicznej i maszynowej.

Przyjęty plan zakładał, że do 1954 r. załoga FSO będzie w stanie samodzielnie wyprodukować 2,5 tys. silników, a także 1,4 tys. wałów pędnych oraz tyle samo przednich zawieszeń. Tymczasem robotnicy Żerania mogli pochwalić się: 680 silnikami, 450 wałami oraz tylko dziesięcioma przednimi zawieszeniami. Z zaplanowanych 1,4 tys. kierownic nie udało się wyprodukować ani jednej.

Dopiero w 1956 r. można było przejść do etapu, kiedy to taśmy montażowe żerańskiej fabryki opuszczały całkowicie „polskie" samochody – już pod nazwą warszawa. Wówczas to jednak dalsze losy tej konstrukcji zawisły na włosku. Podczas rozliczeniowego VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, będącego jednym z ważniejszych momentów „odwilży" roku 1956, Gomułka podał w wątpliwość dalszy sens utrzymywania całkowicie nierentownej produkcji warszawy – auta, jakiego, wedle jego słów, „chyba dzisiaj nikt już na świecie nie produkuje".

■■■

Ostatecznie samochód marki warszawa przetrzymał polityczne zawirowania roku 1956. Jego produkcja na Żeraniu, pomimo kilkukrotnych prób jej zamknięcia, trwała aż do 1973 r., czyli o piętnaście lat dłużej niż sowieckiego pierwowzoru.

Warszawa cieszyła się dość dużym uznaniem pośród taksówkarzy, głównie ze względu na w miarę niezawodną jednostkę napędową. Przez długi czas, aż do momentu rozpoczęcia produkcji fiata 125p w 1967 r., był to jedyny samochód osobowy, który odgrywał ważną rolę w polskim eksporcie. Głównie jednak trafiał on do innych krajów bloku komunistycznego (przede wszystkim Bułgarii, Rumunii i na Węgry) oraz do Azji (Chiny) i Ameryki Południowej (Kuba, Kolumbia i Brazylia).

Jest ironią historii, że autami, które ostatecznie zmotoryzowały polskie społeczeństwo, były fiaty – duże i małe – produkowane na włoskiej licencji. Ale to już osobna opowieść. © HUBERT WILK

DR HAB. HUBERT WILK *jest profesorem w Instytucie Historii PAN, zajmuje się historią społeczną PRL, zwłaszcza dziejami motoryzacji. W 2017 r. ukazała się jego książka „Między pragmatyzmem a oczekiwaniami. Społeczeństwo, władza i samochody w Polsce 1945-1970".*

HANNA

Krall: *Sztuka jest najważniejsza*

Miał piętnaście lat.

Przymierzył mundur starszego sierżanta, sierżant był ojcem Stefcia, najlepszego kolegi. Stefcio też nałożył mundur. Na Stefcia był za krótki, na niego za długi. Szabla była jedna, więc przypadła Stefciowi. Obaj bardzo się cieszyli, że nie ma szkoły. I że dadzą w dupę szwabom.

Był furmanem i woził węgiel.

Uczył się w handlówce.

Śpiewał patriotyczne pieśni i czytał Słowackiego.

O szóstej rano służył do mszy.

Ukończył akowską podchorążówkę.

Uczestniczył w wykonywaniu wyroków na zdrajcach i konfidentach.

Dużo czytał. Uczył się języków obcych.

Chciał zostać aktorem – i został.

Chciał reżyserować i stworzył grupę teatralną. Kolektyw.

Wystawiali sztuki o szlifierzach, górnikach, hutnikach i postępowych chłopach.

Do partii polecili go Leon Schiller i Ryszarda Hanin. Wyrzucą go w '68, Hanin sama wystąpi.

Przed próbami chodzili na basen, pływanie było obowiązkowe.

W Związku Radzieckim obejrzał sześćdziesiąt przedstawień. Rozpłakał się na „Trzech siostrach", oczarowany Ałłą Tarasową w roli Maszy.

> (Trzydzieści lat później pokaże mi, jak grała Tarasowa. W Hotelu Europejskim, w restauracji, po próbie „Zdążyć przed Panem Bogiem". Zamówi setkę dla siebie, pięćdziesiątkę dla mnie, z mojej odleje sobie połowę i będzie mówił o magii teatru. Odejdzie od stolika, żeby pokazać, jak ona te ręce załamywała, jak opuszczała albo podnosiła wzrok. Co z tego, że miała wtedy pięćdziesiąt lat, i co z tego.)

W Moskwie rozmawiał z córką Idy Kamińskiej, z Ruth. Wróciła z zesłania, jej mąż, trębacz jazzowy, był w łagrze.

Miał wpływowe wielbicielki – sekretarz komitetu miejskiego partii i cenzorkę. Sekretarz zacznie się stawiać i ją wyrzucą, cenzorka wyjedzie do Izraela.

Rozliczył się z realizmem socjalistycznym. Teatrem: „Łaźnią" Majakowskiego i Andrzejewskiego „Świętem Winkelrieda".

Objął Teatr Narodowy. Wziął teatr mocną ręką, jakby chwytał kosę albo pług, powie ktoś. (Dużo ludzi będzie go wspominało. Z niechęcią. Z podziwem. Zawsze z fascynacją).

Wystawił „Dziady". Czas i chwila osobliwa, zapisze po latach. Misterium. Na scenie i na widowni.

„Dziady" zdjęto.

Protesty. Studenci. ZOMO.

Marzec.

1968.

Przyjaciel zaprosił go na wieś pod Zakopane. Recytowali wiersze. Przyjaciel powiedział wiersz o żyrafie – że ma długą szyję i nie można jej w oczy spojrzeć. Rozpłakał się. Obaj się rozpłakali, szlochali na głos. Wydaje się, że to jego jedyny płacz po zdjęciu „Dziadów".

Wyjechał za granicę, reżyserował w najlepszych europejskich teatrach.

Pisał listy do Polski. Listy – spowiedzi.

Wrócił. Wystawił Gombrowicza, „Ślub" i „Operetkę". Załatwił w Łodzi w PKP nocny pociąg, żeby warszawscy widzowie mogli do domu zdążyć.

Mrożek!

Kupił pod Kutnem dziesięć hektarów. Był sad, jabłonie i wiśnie.

Wystawił „Zdążyć przed Panem Bogiem" – w teatrze na Szwedzkiej.

> (Holoubek chciał zagrać Edelmana – u siebie, w Dramatycznym.
> Poszliśmy we troje do sali prób, Holoubek pokazywał, gdzie miałby grać Edelmana.
> Nie zagrał.
> Adaptację „Zdążyć" dałam Zbyszkowi. Dzięki któremu napisałam książkę. Którego wyrzucili, bo ją wydrukował. Który był kierownikiem literackim teatru na Szwedzkiej.
>
> Mówili: Kiedyś zrozumiesz. Sztuka. Sztuka jest najważniejsza.
>
> Nie chodziło im o Edelmana.
> Chcieli razem coś zrobić.
> Znowu razem.
>
> Byli „na pan". Panie dyrektorze, panie Gustawie...
> Podobno do końca życia.
> To nie było zwyczajne – pan.
> To były zaloty, uśmiechy, wzajemne uwodzenie.

> Czyż nie, panie dyrektorze?
> Ależ tak, panie Gustawie...)

„Solidarność". Stan wojenny. Aktorski bojkot telewizji.

Był po stronie władzy. Dobro kultury jest sprawą nadrzędną, więc – tak, po stronie władzy.

> (Władza ustawiła przed domem Marka Edelmana ubeckie samochody. Żeby nie jechał do Warszawy w rocznicę powstania w getcie, żeby nie psuł oficjalnych uroczystości.
> Przestraszeni goście zawracali spod drzwi.
> Byliśmy w domu we troje – Marek, Paula i ja.
> Zadzwoniłam do „pana dyrektora".
> Opowiedziałam.
> Milczał.
> Może byś... zaczęłam.
> Nie mów mi, co mam robić, przerwał ze złością.
> Przyszedł nazajutrz, z dwoma psami. Ubecy nie odważyli się zbliżyć.
> Paula krzyczała, że ich zdradził.
> Odpowiadał, że chcieli różnych rzeczy, oni i on.
> Odprowadzili go do domu, mieszkał w pobliżu radiostacji, niecały przystanek.
> Ubecy szli za nimi, krok w krok.
> Na drugi dzień znowu przyszedł.
> Przychodził co wieczór, do końca domowego aresztu Marka Edelmana.)

Został ministrem. Władza nie ufała mu, opozycja miała za złe.

Był sam.

Reżyserował „Hamleta".

Ostatnia próba była przed świętami. Umarł w sylwestra.

Teatrowi nadano imię Kazimierza Dejmka. Było uroczyście, tablicę zasłaniała biało-czerwona flaga. Zaczepiła się o coś i nie chciała opaść.

Przyszedł człowiek. W waciaku, berecie i z drabiną. Wszedł na drabinę i odczepił flagę.

Pan dyrektor lepiej by wyreżyserował, mówili goście.

Nie mieli racji. Człowiek w waciaku... Z „Brygady szlifierza Karhana" przyszedł. Nic lepszego pan dyrektor nie mógł wymyślić. ©

Książka fascynująca jak jej bohater:
Magdalena Raszewska „Dejmek". Teatr Narodowy, Warszawa 2021

Zbyszek to Zbigniew Kubikowski, Paula – Paula Sawicka.

weź, czytaj!
w prenumeracie:

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ
Obowiązuje do 30 listopada 2021 r.

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"
Obowiązuje do 30 listopada 2021 r.

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

TYGODNIK POWSZECHNY

SALES manago marketing automation

WITS UNIVERSITY / COVER IMAGES / FORUM

LETIMELA

LEE BERGER, PALEOANTROPOLOG:

Najpierw trzeba pokonać sto metrów jaskini, potem wspiąć się na skałę znaną jako „grzbiet smoka", a następnie zejść w dół 12-metrowym pionowym szybem. W środku nie ma prawie nic – poza szczątkami *Homo naledi*.

KIEDY PROF. LEE BERGER (ur. 1965), amerykański paleoantropolog od lat pracujący w RPA, podnosi swoje najnowsze odkrycie, znalezisko jest tak małe, że niemal mógłby je ukryć w zaciśniętej dłoni. Ale może ono doprowadzić do przełomu w rozumieniu ewolucji naszego gatunku. A nawet w rozumieniu tego, co znaczy „bycie człowiekiem". Znaleziskiem jest czaszka dziecka. Zespół prasowy Uniwersytetu Witwatersrand w Johannesburgu nazwał je „dzieckiem ciemności". Badacze nadali jej imię Letimela – „zagubiona". Odnaleziono ją w wąskim korytarzu rozgałęzionego systemu grot znanych jako Jaskinia Wschodzącej Gwiazdy w RPA. Letimela nie należy do naszego gatunku. Jest *Homo naledi* – reprezentantem zagadkowej grupy niewielkich hominidów, których pozostałości Berger i jego zespół odkryli w 2013 r. *Homo naledi* zdumieli naukowców nie tylko dlatego, że ich anatomia przypominała prymitywne gatunki człowieka, wymarłe miliony lat temu, podczas gdy oni sami mogli być świadkami pojawienia się naszego własnego gatunku. Równie frapujący był fakt, że miejsce, w którym znaleziono ich szczątki, może sugerować, że zostały tam złożone celowo.

© WB

Prof. Lee Berger z repliką czaszki Letimeli, Johannesburg, listopad 2021 r.

LUCA SOLA / AFP / EAST NEWS

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: To chłopiec czy dziewczynka?

PROF. LEE BERGER: W przypadku skamieniałości dzieci ustalenie płci często jest trudne. Na razie mówimy o niej jako o dziewczynce. Ma dość drobne zęby jak na przedstawicieli jej gatunku. Ale myślę, że niedługo ustalimy płeć ostatecznie.

Co wiemy na pewno?

Mamy 28 fragmentów czaszki i sześć zębów. Już samo to jest niezwykłe, bo prawie nigdy nie odnajdujemy dziecięcych czaszek. Na każdych sto szczątków dorosłych znajdujemy może jedno dziecko i zazwyczaj są to tylko pojedyncze zęby. To konkretne dziecko miało od czterech do sześciu lat. Po analizach w synchrotronie będziemy w stanie określić wiek z dokładnością do kilku dni.

Dzięki Letimeli będziemy próbowali zrekonstruować cykl rozwojowy w jej gatunku. Np. jak długo trwało dzieciństwo. Czy *Homo naledi* byli pod tym względem podobni do współczesnych ludzi, czy może bardziej do dzisiejszych małp człekokształtnych.

Co ciekawe, dziecięce szczątki odkryliśmy w miejscu odległym od komory Dinaledi, gdzie znaleźliśmy pierwsze skamieniałości tego gatunku. Jeśli widziałeś zdjęcia z naszych badań, to wiesz, jak trudno było się dostać do pierwszej komory.

Zdjęcia i nagrania z Waszych wypraw sprawiają, że można poczuć dyskomfort.

Najpierw trzeba pokonać 80-120 metrów jaskini, potem wspiąć się na skałę znaną jako „grzbiet smoka", a następnie zejść w dół 12-metrowym pionowym szybem. W środku nie ma prawie nic poza szczątkami *Homo naledi*, co oznacza, że inne zwierzęta miały ogromny problem z dostaniem się do tej komory. A to dopiero początek. W 2017 r. zaczęliśmy prowadzić badania głębiej. Znajduje się tam zawalona komora i pajęczyna korytarzy, niekiedy tak wąskich, że badacze musieli ściągać kaski, by się przez nie przecisnąć.

Właśnie w jednym z takich korytarzy, o głębokości może 80 cm, znaleźliśmy skalną półkę, na której leżały pozostałości czaszki dziecka. Nie było tam nic innego. Zadaliśmy sobie pytanie: jak tam trafiła? Niektórzy archeolodzy twierdzą, że *Homo naledi* po prostu wchodzili do tej jaskini i umierali. Jeśli tak, to jak tam trafiła sama głowa? Trudno uciec od przekonania, że ta czaszka została tam celowo umieszczona, a jedynym, kto mógł ją tam umieścić, jest inny *Homo naledi*. Jeśli tak jest, to w tym systemie jaskiń doszło do czegoś niezwykłego. ↦

↦ **Pochówku.**

Kiedy po raz pierwszy opisaliśmy *Homo naledi*, ważne było nie tylko to, że poznaliśmy interesujący, prymitywny gatunek hominida, który wygląda trochę tak, jak gatunki żyjące 2 mln lat wcześniej. Ma niezwykłe połączenie cech spotykanych u najbardziej prymitywnych gatunków, takich jak *Homo erectus*, *Homo habilis*, nawet australopiteki. Ma też pewne bardzo zaskakujące cechy wspólne z człowiekiem współczesnym. Np. ten kształt tyłu czaszki jest spotykany wyłącznie w naszych dwóch gatunkach.

Szokiem dla wielu badaczy były ogłoszone przez nas dwa lata później wyniki datowania – okazało się, że *Homo naledi* żyli zaledwie 250 tys. lat temu. Wcześniej badacze przekonali samych siebie, że kiedy pojawili się *Homo sapiens*, wszystko stanęło, a inne gatunki człowieka, takie jak neandertalczycy czy *Homo erectus*, zaczęły znikać. Hobbici, czyli *Homo floresiensis*, odkryci w Indonezji i żyjący jeszcze ok. 50 tys. lat temu, trochę zmienili ten obraz, ale z Afryki nie znaliśmy niemal żadnych skamielin człowieka młodszych niż milion lat. Ktoś powiedział, że można zebrać wszystkie znane skamieniałości z ostatniego miliona lat w Afryce, wsadzić je do pudełka na buty i ciągle mieć w nim dość miejsca na parę butów.

Najważniejsze jest jednak to, że trudno było nam wytłumaczyć, jak *Homo naledi* znaleźli się w tej jaskini. Ich szczątki trafiały tam w różnym czasie, wykluczyliśmy możliwość przeniesienia ich przez drapieżniki czy wodę. Jedyna hipoteza, jaka nam przychodziła do głowy, głosi, że to był zrytualizowany sposób na pozbywanie się ciał. Wtedy celowo nie używaliśmy słowa „pochówek".

Dlaczego?

W ostatnich dziesięcioleciach straciliśmy mnóstwo cech, które miały czynić nas, ludzi rozumnych, wyjątkowymi – od używania narzędzi po stosowanie ozdób. Okazało się, że to zachowania, które pojawiają się nawet u ptaków. Mimo to panowało przekonanie, że w ciągu ostatnich 100 tys. lat wydarzyło się coś wyjątkowego, jak boski dotyk ze sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej, co sprawiło, że ludzie zaczęli zachowywać się inaczej niż inne człekokształtne. Jednym z tego przejawów miała być właśnie koncepcja naszej śmiertelności, prawdopodobnie powiązana z językiem, i wynikające z niej uniwersalne rytuały towarzyszące śmierci. To coś, co rzeczywiście odróżnia nas od zwierząt. To i wykorzystanie środków psychodelicznych. Więc kiedy mówiliśmy o rytuałach towarzyszących śmierci u *Homo naledi*, wiedzieliśmy, jakie poruszenie to wywoła. Ale pięć lat później nikt wciąż nie obalił naszej hipotezy. To zaskakujące, bo nauka jest oparta na bezlitosnej rywalizacji. Gdybyśmy bardzo się pomylili, wygłaszając tak dramatyczne stwierdzenia, zostalibyśmy pożarci.

Okazało się, że neandertalczycy budowali w jaskiniach struktury, a my całymi latami wdrapywaliśmy się na nie nieświadomie, bo szukaliśmy neandertalczyków.

Niedawno rozmawiałem na Twitterze z paleontologiem, który pytał, skąd wiemy, że szczątków w jaskini nie umieścili *Homo sapiens*. Tymczasem nie ma śladów na to, że nasz gatunek miał rytuały pogrzebowe wcześniej niż 100 tys., a raczej bliżej 50 tys. lat temu. Musielibyśmy więc założyć, że *Homo sapiens* rytualnie składali szczątki innego gatunku 200 tys. lat przed tym, jak zaczęli to robić ze swoimi zmarłymi. W zasadzie nie mamy nawet solidnych dowodów na to, że wówczas w ogóle byli w tej okolicy *Homo sapiens*. Mamy tylko wskazówki archeologiczne, ale archeolodzy zakładają, że pozostawione ślady są dziełem *Homo sapiens*. My zaś dowodzimy, że tu był inny gatunek człowieka, który na długo przed nami wykazywał niezwykłe poziomy złożoności zachowań.

Czy teraz, mając wiedzę o zachowaniach *Homo naledi* albo o rytuałach i sztuce neandertalczyków, możemy mówić o duchowości w przypadku tych gatunków?

Jest bardzo prawdopodobne, że w najbliższej przyszłości będziemy w stanie potwierdzić, czy *Homo naledi* prowadzili rytualne pochówki. Nie jestem więc pesymistą, bo mam wiedzę o naszych bieżących badaniach.

Paleoantropolodzy w ostatnich 60 latach byli winni dehumanizacji pokrewnych nam gatunków. Gdybyśmy byli bardziej otwarci na możliwość tego, że neandertalczycy mieli złożoną kulturę, dawno dokonalibyśmy wielu odkryć. Mówię to wprost. Naukowcy często zamykają swoje umysły na możliwość istnienia takiej złożoności i nie dostrzegają jej nawet wtedy, gdy mają ją przed oczami. Mam bardzo dobry przykład, do czego to może prowadzić. Opublikowaliśmy niedawno w „Nature" badania dotyczące osadu na zębach *Australopithecus sediba*. Paleoantropolodzy spędzili 40 lat, próbując lepiej zrozumieć dietę wczesnych hominidów. Badali mikroskopijne ślady ścierania na ich zębach i próbowali na ich podstawie zinterpretować ich dietę. W tym celu czyścili te zęby i robili ich odlewy, by przeanalizować ślady pod mikroskopem skaningowym. Dopiero nasz zespół przeanalizował sam kamień na zębach, pobrał jego próbki. Okazało się, że zawiera resztki jedzenia. Niszczyliśmy ślady przeszłości, które mieliśmy przed oczami, bo nikt nie wierzył, że mogły przetrwać.

Żyjemy w epoce największych odkryć w całej historii archeologii i paleoantropologii. Coś przełomowego pojawia się w zasadzie co tydzień. W ciągu ostatnich 10 lat liczba znanych szczątków hominidów wzrosła niemal dwukrotnie w porównaniu z poprzednimi 120 latami badań. Większość z nich znaleźliśmy w ciągu ostatnich 6 lat.

Co się zmieniło? Technologia, dostęp do nowych stanowisk, podejście?

Kwestia podejścia jest kluczowa w nauce. Dogmat był taki, że pozostałości hominidów to najrzadsze skamieniałości na planecie i nie odkryjemy już żadnych nowych. Panowało także przekonanie, że wiemy już, jak przebiegała ewolucja człowieka. Tim White, być może najbardziej wpływowy paleoantropolog przełomu wieków, w tekście opublikowanym w „Roczniku Antropologii Fizycznej" w 2001 r. stwierdził, że rozumiemy już ewolucję człowieka, że nie będzie żadnych nowych wielkich odkryć i że powinniśmy przestać uczyć młodych paleoantropologów, bo znajdziemy się w sytuacji, w której będziemy mieli więcej naukowców niż obiektów badań. To dla nas brzmiało jak zapowiedź końca świata.

Kiedy przyszła zmiana?

Około 2006 czy 2007 r., częściowo wskutek rozwoju technologii. Internet nagle stał się czymś bardzo użytecznym, zaczął dawać nam narzędzia, takie jak Google Earth. Komputery osobiste rozwinęły się tak, że nawet przeciętny naukowiec jak ja mógł mieć na biurku urządzenie zdolne do przetwarzania ogromnych ilości danych. Nasze pokolenie wychowało się też z zupełnie innymi wartościami. Nie byliśmy pokoleniem IBM, wychowanym w świecie kultu własności intelektualnej. Byliśmy pokoleniem Google'a. Byliśmy święcie przekonani o tym, że tworzymy nową wartość, udostępniając informacje, nawet jeśli oddajemy je za darmo. Częścią tego podejścia było też przekonanie, że nie wiemy wszystkiego. Kiedy zaczęliśmy zajmować wpływowe stanowiska w świecie akademickim, to wszystko stało się ważnym elementem naszej pracy.

Sam spędziłem w RPA 17 lat, niczego nie znajdując. A dzisiaj nie ma stanowiska, na którym nie znaleźlibyśmy dziesiątków szczątków. Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób udawało nam się je wcześniej przeoczyć, ale to samo zjawisko zachodzi wszędzie. W Europie, w Indonezji, w innych miejscach, w które docierają badacze. Odkryliśmy, że neandertalczycy budowali w jaskiniach struktury, a my całymi latami wdrapywaliśmy się na nie nieświadomie, bo szukaliśmy neandertalczyków.

Gdyby 10 lat temu ktoś mi powiedział, że odkryjemy nowy gatunek hominida, że znajdziemy 2,5 tys. jego szczątków, a kolejnych kilka tysięcy pozostawimy w jaskini, uznałbym go za szaleńca. W tanzańskim wąwozie Olduvai, gdzie Mary i Louis Leakeyowie odkryli m.in. *Homo habilis*, znaleziono jakieś 80 fragmentów kości. Najbogatsze stanowisko świata miało 650 fragmentów. Podczas pandemii znaleźliśmy 90 pozostałości na położonym o 150 metrów od Jaskini Wschodzącej Gwiazdy „stanowisku 105", a nawet nie zaczęliśmy tam poważnych badań. To zupełnie inny świat.

Dokąd nas to prowadzi?

Możemy zacząć szukać odpowiedzi na pytania, które niedawno wydawały się zupełnie szalone. Badamy korzystanie ze środków psychodelicznych w prehistorii. Coś, co kiedyś było zupełnie marginalnym zajęciem naukowców-hippisów, dziś jest twardą nauką, bo mamy spektrometry masowe i możemy dokładnie zmierzyć to, co przyjmowali ci ludzie. Nagle okazuje się, że wszyscy korzystali z substancji psychoaktywnych, że to uniwersalne zachowanie. Badamy, jak daleko w przeszłość sięga to zjawisko i jak jest spokrewnione z duchowością. Cokolwiek znaczy ten termin, bo dziś nie mamy nawet definicji tego, co to znaczy być człowiekiem. Sam upierałem się, że nie powinniśmy nazywać *Homo naledi* ludźmi, dopóki nie będziemy mieli takiej definicji. Bo jeśli nazwiemy ich ludźmi, to definicja zrobi się tak szeroka, że musimy zacząć w ten sam sposób rozmawiać o szympansach.

Jeśli idzie o duchowość, sądzę, że zaczynamy rozważać te kwestie w o wiele ↦

↦ bardziej otwarty, naukowy sposób. Gdybyś spytał mnie o to 10 lat temu, odpowiedziałbym pewnie: „to nie pytanie naukowe", „to nie dla mnie" albo „spytaj księdza". Dzisiaj możemy zacząć naukowo odpowiadać na to pytanie.

Jeśli nasza hipoteza, że *Homo naledi* mieli rytuały związane ze śmiercią, jest poprawna, to należy przyjąć kilka założeń. M.in., że rozumieli śmierć, w przeciwieństwie do innych zwierząt. Niektóre osobniki należące do innych gatunków przejawiają zachowania, które ludzie interpretują jako żałobę, ale to nie jest zachowanie uniwersalne.

Mamy choćby przykłady orek, które noszą swoje zmarłe dzieci.

Tak, jedna matka-orka może nosić zwłoki swojego dziecka, ale nie robią tego wszystkie matki-orki. Słoń może zatrzymać się przy czaszce i jej dotknąć, bo to był kochany członek jego rodziny, ale nie wszystkie słonie to robią. Bardzo trudno jest odróżnić zachowanie polegające na badaniu czaszki pod kątem dostępności łatwo przyswajalnego wapnia od zachowania, które polega na wspominaniu zmarłej babci. Zachowania wyglądające jak żałoba przejawiają też niektóre szympansy i inne naczelne, ale nie wszystkie.

Jeśli przyjmiemy, że *Homo naledi* rozumieli śmierć, to nadal możemy zapytać, czy rozumieli własną śmiertelność. Nie potrafię na nie dziś odpowiedzieć. Sam fakt, że celowo przenosili zmarłych do niedostępnych miejsc, sugeruje jednak, że rozumieli, iż śmierć jest permanentna. A to niesamowicie złożone zachowanie i wymagająca zdolność umysłowa.

Pytania, które jeszcze dekadę temu nie byłyby naukowe, dziś muszą być stawiane naukowcom.

Jakie największe zagadki pozostały?

Dekadę temu wiedzieliśmy niemal wszystko. Teraz wiemy, że nie wiemy prawie nic. Dzięki biologii molekularnej wiemy, że istniały gatunki, o których nie mamy pojęcia. W Afryce żył tzw. gatunek X, który krzyżował się z ludźmi i żył mniej więcej 200 tys. lat temu. Czy był nim *Homo naledi?* Czy gatunek, którego nie znamy? Jeszcze 3 lata temu nie znaliśmy gatunku X, 12 lat temu nie znaliśmy denisowian, a 11 lat temu nie wiedzieliśmy, że krzyżowali się z nami neandertalczycy.

Żyjemy w epoce największych odkryć w całej historii archeologii i paleoantropologii. Coś przełomowego pojawia się w zasadzie co tydzień.

Istnienie *Homo naledi* mówi nam, że musi istnieć mnóstwo innych gatunków. Absurdalną naiwnością jest myślenie, że *Homo naledi* byli ostatni. A skoro tak, to skąd wiemy, że całe nasze rozumienie kultury i technologii nie jest mylne? Opiera się ono na założeniu, że potrafimy powiązać istniejący w danym czasie gatunek ze śladami pojawiającej się równolegle technologii. Zapytaj Google'a: „kto stworzył kulturę aszelską", a odpowie ci: „*Homo erectus*". Tymczasem dziś wiemy, że w Afryce prawie nie ma szczątków *Homo erectus*, istnieje zaś przynajmniej jeden, a prawdopodobnie trzy inne gatunki, które żyły tu w tym samym okresie. To uderza w fundamenty archeologii, bo ona opiera się na tym, że wiemy, kto był twórcą artefaktów. Interpretuje ona sposoby produkcji czy wykorzystania narzędzi, opierając się na znanym umyśle. A co jeśli ten umysł nie jest znany, nie jest ludzki? Co jeśli *Homo naledi* nie myśleli tak jak my? Co jeśli pytanie o duchowość w ich przypadku nie może mieć odpowiedzi, dopóki patrzymy na to z ludzkiej perspektywy? Co jeśli mimo małej objętości ich mózg był bardzo złożony, tak jak jest u ptaków?

Założenie, że rozmiar mózgu jest bezpośrednio powiązany z inteligencją, może być błędne?

Jest błędne, *Homo naledi* tego dowodzi. Koncepcja, że nasza ewolucja to nieuchronny marsz w stronę większych mózgów, zapisana we wszystkich podręcznikach i leżąca u podstaw wszystkich odkryć archeologicznych, okazuje się błędna. Skąd to wiemy? Bo *Homo naledi*, z mózgiem o objętości ok. 450-600 cm^3, czyli niewiele większym od mózgu szympansa, żył jeszcze 250 tys. lat temu, a nikt szczególnie nie zdziwiłby się odkryciem pozostałości *naledi* sprzed 5 czy 10 tys. lat. Trwa rewolucja w nauce. I wracamy tu do definicji tego, kim jest człowiek. Co się stanie, gdy po badaniach DNA przekonamy się, że geny *Homo naledi* przetrwały w niektórych populacjach ludzi? Czy to czyni ich ludźmi?

Co zatem te odkrycia mówią nam o nas – *Homo sapiens*?

To jeden z najbardziej ekscytujących, ale i zmuszających do pokory momentów dla naszego pola badawczego. Powinien też skłaniać do pokory ludzkość. Niemal każda święta krowa, którą stworzyliśmy, badając historię ludzkości, została zabita. Od tego, dlaczego i jak powstały cywilizacje, po percepcję wyjątkowości człowieka i źródła współczesności. 12 lat temu mówiliśmy o *Homo sapiens* jako czystym gatunku, który wyszedł z Afryki i podbił świat, co miało być nieuchronną konsekwencją wielkiego mózgu i wykorzystywania narzędzi. Teraz wyglądamy jak kundle, które zebrały DNA od wszystkich, na których wpadały.

Pan sam nigdy nie wszedł do komory Dinaledi, zamiast tego stworzył Pan ekipę „podziemnych astronautów", którzy byli w stanie do niej wejść bez naruszania jej struktury i prowadzili w niej badania. Jakie to uczucie nie móc zobaczyć ich świata?

To była jedna z najważniejszych naukowych decyzji w moim życiu. Postanowiłem nie dopieszczać swojego ego, nie otwierać tej jaskini, zamiast tego polegać na technologii i ludziach, którzy mogli ją zbadać, nie niszcząc. Ludzie zazwyczaj sięgają po najprostsze i najbardziej destrukcyjne rozwiązanie każdego problemu. Jeśli jakieś drzewo zasłania mi widok, co jest pierwszym odruchem?

Ściąć je.

Są lepsze sposoby. Potrafimy być kreatywni. Potrafimy tworzyć, szukać nieoczywistych rozwiązań. Dziś tworzymy precyzyjne wizualizacje tej groty w wirtualnej rzeczywistości, mamy sieć WiFi w jaskini. Bardzo chciałbym tam stanąć, ale nigdy nie żałowałem swojej decyzji, choć początkowo było mi z jej powodu smutno. Teraz wierzę, że decyzja o tym, by nie wchodzić do tej komory, była jednym z moich największych osiągnięć.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Włóczykij kulturalny

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 48/2021

Warto zobaczyć

CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ W OROŃSKU. W tym roku przypada 40-lecie Centrum. Z tej okazji zaplanowane zostały pokazy prac Joanny Przybyły i Jarosława Kozakiewicza, a także zbiorowa ekspozycja artystek z Polski, Izraela i Niemiec: Moniki Sosnowskiej, Yael Efrati oraz Asty Gröting. Jubileusz zakończy wystawa Ursuli von Rydingvärd. Natomiast w stałej ekspozycji obejrzeć można prace Magdaleny Abakanowicz, Tony'ego Cragga, Krzysztofa M. Bednarskiego, Macieja Szańskiego, Teresy Murek.

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY. Jesień w MIK zapowiada się bardzo różnorodna. Wystawy Katarzyny Jankowiak, Poli Wójcik, Piotra Nowińskiego, spotkania autorskie, koncerty. W ramach cyklu „Space of Jazz" wystąpią Siema Ziemia, Kuba Więcek i Piotr Orzechowski. MIK pokaże także spektakle „Niebezpieczna gra" i „Małe zbrodnie małżeńskie", planowane są seminaria i warsztaty online.

MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU W BIAŁYMSTOKU. Otwarte we wrześniu 2021 r. muzeum opowiada o Polakach w carskiej Rosji i w Związku Sowieckim. Wystawa stała została podzielona na trzy części: pierwsza – opowiada o świecie, który wraz z wojenną nawałnicą ginie bezpowrotnie. Druga – historię deportacji na Sybir. Ostatnią jest Memoriał Katyński. Ważnym elementem wystawy jest zbiór fotografii Sybiraków i ich rodzin, które były przesyłane w ramach akcji #Zapamiętani.

MUZEUM WARSZAWY. 7352 rzeczy umieszczone w 21 gabinetach tematycznych składają się na wystawę główną „Rzeczy warszawskie". Warte uwagi są również wystawy czasowe „Niewidoczne. Historie warszawskich służących" oraz „Sayam Ghosh: Jak powraca las". Muzeum Warszawy organizuje zajęcia rodzinne, spacery, wykłady. Wiele z nich odbywa się online.

MUZEUM ETNOGRAFICZNE W KRAKOWIE. Wystawa stała przedstawia różne aspekty minionego świata wsi. Można ją czytać całościowo, ale i fragmentarycznie – skupiając się na konkretnych obiektach. Do końca roku można zobaczyć wystawę czasową „Syberia. Głosy z Północy" – pokazującą, co przywieźli ludzie powracający z Syberii po powstaniu styczniowym. Można także zostać współtwórcą wystawy „Kolekcja w kwarantannie". ©℗

Polska przybiblioteczna

KRZYSZTOF ŻWIRSKI

W upalny, zagubiony w głębokim wrześniu poranek wrzuciliśmy tobołek z książkami do samochodu i ruszyliśmy strzałą na północny zachód.

Moja partnerka, zaczerpnąwszy nieco oddechu po okupionej nerwami kilkuletniej „małej stabilizacji" na etacie, zaczęła łapać więcej zleceń na szkolenia dla bibliotekarzy. Czy raczej: bibliotekarek i bibliotekarzy – feminatyw na pierwszym miejscu stanowi tutaj nie tylko elementarną grzeczność, ale też dodaje opisowi realizmu.

Jeździmy więc po Polsce z tobołkiem książek w bagażniku. Ona w lekkim zadaniowym stresie, czy na prezentacji są wszystkie slajdy, których i tak nie zdąży wyświetlić, ja w chwilowej przerwie od własnej roboty. „Resetując się", by użyć jednego z popularnych w niedawnym czasie określeń, z których jednoznacznie wynika, że ludzie stali się robotami. Z dziką przyjemnością dobrowolnie wcielam się w rolę szofera na tych wycieczkach, włączając tryb „nie przeszkadzać" w telefonie i ustawiając sobie autoresponder w skrzynce, by wyruszyć w kolejny, przeważnie nieobierany dotychczas kierunek, jaki pośrednio wyznaczają decyzje o rozdysponowaniu środków z grantów w bibliotekach.

Należę do klubu osób odczuwających atawistyczną radość z przemieszczania się samochodem poza miastem, by wspomnieć tylko Andrzeja Stasiuka, który mógłby być liderem tej nikomu niepotrzebnej, ale chwilowo pomocnej dla retorycznego efektu zdania formacji. W momentach słabości, albo akcydentalnie tak właśnie rozumianej siły, wyobrażam sobie siebie jako kierowcę z filmu „Taksówkarz", dokładnie z takim fryzem i nieprzesadnym poziomem ogłady.

Nie odzywać się kilka bitych godzin. Swobodnie przeglądać zakamarki własnego umysłu wraz z mijanymi kilometrami, niczym sklepienie kopuły chorzowskiego planetarium podczas szkolnej wycieczki w dzieciństwie. Obserwować ruch słońca, kontemplować, jak wraz z oddalaniem się od miast absurdalnie namnożone w wyniku budowlanej bańki ostatnich lat zabudowania topnieją, otwierając przed oczami nowe, nienaruszone wcześniej myślą przestrzenie.

Przyłęk pod Zwoleniem

Raz jechałem tak po K. z Warszawy gdzieś pod Radom. Nie chciałbym, żeby „gdzieś" wyrażało tutaj tę wielkomiejską, wyższościową postawę, która przez lata pomogła wychować w Polsce pokaźny elektorat „obcych we własnym kraju", by przywołać tutaj tytuł głośnej książki Arlie Russell Hochschild. „Gdzieś" było tego dnia operacyjnym, zadaniowym wyrazem złości na korki pod Piasecznem, na mozolnie zbijane kilometry drogi nr 79 w kierunku Sandomierza, na uciekające chwile piątkowego wieczoru, który można było przecież spędzić inaczej.

Biblioteka gminna organizowała tego dnia szkolenie z literatury hiszpańskiej. Trzeba przyznać, że bardziej niż na pogłębianie wiedzy o literaturze kraju Don Kichota szkolenie było obliczone na kulturowe wprowadzenie przed sfinansowaną za unijne pieniądze wymianą z biblioteką z jednej z hiszpańskich prowincji. Wymianą, z której – co też trzeba dodać – nie wszystkie bibliotekarki i bibliotekarze mogli osobiście skorzystać. Jakiekolwiek przyświecałyby temu motywy, spotkanie, które w innych okolicznościach nigdy nie doszłoby do skutku, odbyło się. Jedna z pań odprowadzała potem K. rowe-

MARCIN BIELECKI / PAP

Wiejska Biblioteka w starym kredensie w miejscowości Drogoradz w powiecie polickim, 16 września 2020 r.

rem pod market Dino, w czasie kiedy prułem 79-tką przez podradomską sośninę, by przynajmniej dotrzeć na miejsce przed zmrokiem. Powrót do Krakowa tego samego wieczoru jawił się w tamtej chwili jeszcze jako rytualna oczywistość dla sformatowanego na tryb „od-do" umysłu.

Za oknem falowała ściana młodego, zielonkawego zboża, dogasał leniwie czerwcowy dzień, narastała iście dziecięca euforia pierwszych ciepłych wieczorów w roku. I oto na parkingu we wsi Przyłęk pod Zwoleniem satysfakcja ze sprawnie wykonanego zadania przerodziła się w jedną z takich myśli, których odrzucenie zapowiada ryzyko żalu. „Za" wysunęło się przed „przeciw", zostawiając nagle w tyle plan, jaki determinował cały pośpiech, całą złość na owe podradomskie „gdzieś". – Byłaś w Janowcu? – Nie, nie byłam – odnotowałem w ulotnej przerwie pomiędzy prowadzoną przez telefon rozmową. – No to jedźmy – zadecydowałem.

Janowiec, czyli inne Lubelskie

Niemiłosiernie ponabijany dołkami asfalt przecinający kilka kilometrów mokrego sosnowego boru wyprowadził nas wprost na równie podziurawioną ścianę janowieckiego zamku. Z oddali wyglądała jak porzucony przed laty billboard albo niechciane pozostałości po którymś z planów pięcioletnich. U jej podnóża rozgościła się wioska – niewielka, zwarta; kilka ulic zabudowanych domami z białych pustaków, a w jej środku ciasny, zadrzewiony ryneczek z gospodą na rogu, który każdą piędzią swojej przestrzeni przeczył regułom klasycznych ryneczków polskich miast, uparcie zamienianych w ostatnich latach na antypatyczne place defiladowe z gładką, betonową nawierzchnią, nieskażoną refleksją ich mocodawców i projektantów.

Zmierzchało już, pospiesznie zadekowaliśmy się w jednej z dwóch dostępnych agroturystyk i ruszyliśmy na spacer. Białe światło latarni przy głównej uliczce pomnażało cienie przebiegających między murami kotów; innych żywych istot – za wyłączeniem parki dopijającej piwo w ogródku przy jednym z porośniętych bluszczem domów, a także właścicieli lokalnej winiarni – nie pamiętam. Przez głowę przewijały mi się opowiadania Kornela Filipowicza i ludzie je zasiedlający, do bólu zwyczajni, a zarazem nieobciążeni cmokającym pańskim ego narratora, imputującym ciasnotę umysłów i prowincjonalną małostkowość poczynań; tak rzadki – i niezwykle piękny – fenomen na mapie polskiej literatury.

Szliśmy do góry żwirową ścieżynką pomiędzy krzakami tarniny, w kserotermicznej, polnej ekstazie pełnej wiosny na południowym zboczu zamkowego wzgórza, opadającego ku wsi i dolinie Wisły. Za plecami wystrzeliła renesansowa, kwadratowa wieża janowieckiego kościoła z podwójnymi oknami i dostojną czapką z czerwonej dachówki. Widziana na tle otaczającej równiny wywołała z siebie coś malarskiego, włoskiego albo i flamandzkiego pejzażystę późnośredniowiecznego, jakiegoś Van Eycka albo lepiej Patinira z nietkniętym dzisiejszą świadomością bezkrytycznym umiłowaniem ludzkiej cywilizacji, zaprowadzającej „boski" ład na ziemi.

Dzwonnica nad polami uprawnymi, kultura ducha i agrokultura, europejskość w ujęciu telegraficznym – to chyba kryło się za tym obrazkiem i potrzebą zrobienia mu zdjęcia. Ale też te nieliczne, ale uparcie i nieustająco pożądane chwile, kiedy krajobraz nadwiślański zdradza przejawy odwiecznej przynależności do idiomu europejskiego, czemu jawnie przeczy tak wiele wydarzeń ostatnich lat. A jednak zdarzają się takie momenty i było tak tego dnia, ale też innego, kiedy przypadkiem odwiedzona galeria pałacu Erazma Ciołka w Krakowie skonfrontowała mnie z bogactwem średniowiecznej sztuki małopolskich mieścin. Najntisowe śmieszkowanie z przysłowiowej Szczurowej, ze wstydliwej pamięci o lepkich ceratach w jedynym niegdyś barze w Lipnicy Murowanej, zakompleksione ubolewanie, że na północy są Słomniki i Proszowice, a nie Ulm, Augsburg i Bayreuth, ustąpiło naraz naiwnemu pięknu gotyckich madonn, krucyfiksów i ołtarzy spod Krakowa, niedoskonałych i wtórnych, ale przez tę niedoskonałość nawet bardziej przekonujących niż wystudiowane kompozycje z sal Rijksmuseum, bezrefleksyjnie reklamowane jako spełnienie estetycznych marzeń laika.

Zabita na cztery spusty brama i opustoszała polana na szczycie góry przed zamkiem przypuszczalnie dawały odczuć z ducha miejsca zdecydowanie więcej, niż widziane za dnia, w godzinach otwarcia, w ramach weekendowego planu, jako zakończenie rowerowej eskapady z jasno określonym celem. Przysiedliśmy na murku i jak w pewnej rzewnej balladzie Pablopavo o prozaicznej Chorwacji poczuliśmy pierwsze tchnienie wakacji. Perspektywę przysłoniętego zaroślami pobliskiego Kazimierza Dolnego wynagrodził widok odległego Lublina, migoczącego na horyzoncie białymi punktami. ↦

↦ Do ruiny zamku, jak wyczytaliśmy z ogólnodostępnych źródeł, przyczynili się – co mało zaskakujące – Szwedzi, ale także brak szczęścia do późniejszych właścicieli, na czele z jednym z nich, który przegrał budowlę w karty. Wyobrażaliśmy sobie tego jurnego sarmackiego koleżkę, pijanego jak bela, jak dojrzewa w nim myśl o zakładzie, albo raczej jak zakład nieoczekiwanie ubiega myśl, a wszelkie Rubikony żenady są już dawno przekroczone. Kiwaliśmy na murku nogami, stapiając się z ciszą. Janowiec. Już Lubelskie, ale też „inne Lubelskie", jak skwapliwie dodał nad ranem gospodarz naszej agroturystyki. Kto by pomyślał.

Szczecin: między Berlinem a Polską

Innym razem mail ze szczecińskiej biblioteki dał nam wreszcie okazję do odwiedzenia po raz pierwszy najbardziej odosobnionego spośród większych polskich miast. W upalny, zagubiony w głębokim wrześniu poranek wrzuciliśmy tobołek z książkami do samochodu i ruszyliśmy strzałą na północny zachód. Spośród licznych upupiających wynalazków XXI wieku chyba najtrudniej mi pojąć sens bezrefleksyjnego przywiązania do nawigacji. Utyskiwania na postępujące rozwodnienie pamięci i wyobraźni to zresztą stara śpiewka, nie trzeba tutaj sięgać do przesadnie sensacyjnych źródeł, wystarczy przywołanie historii wynalazku pisma i platończyków bijących na alarm przed zgubnymi skutkami odwrotu od ustnego, pamięciowego sposobu przyswajania wiedzy.

„Opór stawiany przez kulturę postępowi sam jest częścią owego postępu", mawiał Stanisław Lem. Ale żeby tak dobrowolnie odebrać sobie rozkosz samodzielnego decydowania o kierunku, w jakim zmierzamy? Odsunąć poza przestrzeń refleksji cały ten korowód przedziwnych nazw, pozbawić się przyjemności rozmieszczania ich na własnej, wewnętrznej mapie umysłu, a przede wszystkim – ledwie odczuwalnej, ale zawsze obecnej świadomości, że wszystkie te wysiłki mogą zawieść, a droga okaże się być inna, niż zaplanowaliśmy? Co można uzyskać w zamian? Jeśli czas wolny stał się przestrzenią „resetu", to nawigacja zamienia podróż w „transfer".

Mijaliśmy niekończący się ciąg portowych dźwigów oraz mniej lub bardziej szukających dla siebie nowych funkcji magazynów na wyspie pomiędzy obiema odnogami Odry. Na horyzoncie majaczyła już centralna, mieszkalna część Szczecina, uwydatniona niewielkim wzniesieniem i odgrodzona rzeką, jak na Europę Środkową przystało. Jeszcze jedno rozwidlenie z ostatnią szansą na zgubienie drogi i chwilę później byliśmy już w sercu grodu carycy Katarzyny i Kasi Nosowskiej, zawieszonego gdzieś pomiędzy Berlinem a Polską, która dopiero pod koniec lat 50. dzięki wizycie Nikity Chruszczowa wysłała zamieszkałym tam przesiedleńcom jednoznaczny sygnał, że mogą spać spokojnie, a pobliska granica nie będzie korygowana.

Wyszliśmy spalić papierosa pod pobliski pomnik Mickiewicza z grubo ociosanych, nierówno przyciętych betonowych bloków, rzucony gdzieś na skwer pomiędzy secesyjne kamienice dawnej dzielnicy urzędowej i wielkomieszczański gmach obecnego Muzeum Narodowego. Kto wie, czy na aż nazbyt obserwowalnym kontraście pomiędzy tym posągiem wieszcza a wdrukowanym w krakowski Rynek Główny, statecznym Adasiem nie można by zbudować całkiem zgrabnej opowieści o „starej" i „nowej" Polsce.

Dzień później szkolenie trwało już w najlepsze, a ja snułem się bez większego celu po śródmieściu. Niewiele zgadzało się tutaj z utartymi wyobrażeniami o city breaku: najstarsza część w wyniku alianckich bombardowań i późniejszej, trwającej do dziś odbudowy jest w istocie częścią najnowszą; piękne, szerokie, wyjęte jakby z ducha haussmanowskiego Paryża plany arterii okalających pierścieniem plac Grunwaldzki uwodzą pustkami i zbawienną dla przybysza z Małopolski świadomością, że w mieście nie musi być ciasno, tłoczno i co gorsza turystycznie.

Wiekowe, parkowe starodrzewia nieoczekiwanie wskazały mi drogę do Filharmonii Szczecińskiej. Oglądałem stylizowane na gotyckie i podpisane mało zgrabną, polską szwabachą obrazy w odbudowanym skrzydle katedry, minąłem dom rodzinny Katarzyny II, w którym mieści się dziś – o ironio – oddział towarzystwa ubezpieczeniowego. Obserwowałem, jak smakowity hanzeatycki gotyk dawnego ratusza delikatnie gryzie się z odbudowanymi od podstaw kamieniczkami przy Rynku Siennym, których projektanci chcieli chyba wprowadzić w nie – zaryzykuję – coś z ducha renesansu lubelskiego, pewnie dla otuchy, znalezienia równowagi dla niedającej się wyprzeć poniemieckości, mocą jakiejś transpokoleniowej siły konserwującej w nas pewne kształty i obrazy, odbijane w szkołach jak Biblia Gutenberga, wynoszone ze stron przodków jako wyobrażenie, dalekie echo konkretu. I było mi dobrze z tym całkowitym brakiem potrzeby wartościowania, przedkładania jednego nad drugie, czynienia znaków przewagi pomiędzy pustymi wilhelmińskimi murami i brikolażem kolejnych etapów trwania powojennej Polski, w którąkolwiek stronę by ta przewaga miała zachodzić.

Jeśli antropologowie codzienności chcieli nas czegoś nauczyć, to właśnie uważności dla całego spektrum ludzkiego doświadczenia. Nie wiem, czy to skutek oczekiwanego „resetu", zachwalanej przez miejscowych czystości powietrza, kontrastowanej pewnie w myślach z wyobrażeniem o czystości powietrza w Krakowie, ale te kilka godzin spędzonych w Szczecinie dało mi odczuć przygodność losu szczególnie namacalnie.

Widoki z Wyspy Jaskółczej

Skierowany życzliwymi radami dziadeczków i babć z przystanku na Wyszyńskiego udałem się w stronę dworca, gdzie w reklamowanym jako „Szczecińska Wenecja" miejscu na końcu Wyspy Jaskółczej zastał mnie telefon od K. Skończyła szkolenie wcześniej, niż było to planowane, bibliotekarki i bibliotekarze, którzy zjechali z całego regionu, chcieli wrócić tego samego dnia do siebie, a połączenia były pojedyncze albo żadne. „Nie zdążę", był taki reportaż, smutny a trafny.

K. dotarła chwilę później, usiedliśmy na zardzewiałej barierce przy brzegu rzeki i obserwowaliśmy puste barki o śląskich oznaczeniach, sunące w stronę portu i dalej – zalewu. Patrzyliśmy na poprzemysłowy, zagarniany przez zieleń rozgardiasz na drugim brzegu i przeszło nam przez myśl, jak to dzieje się za każdym razem, kiedy jest dobrze, żeby otworzyć tu księgarnio-kawiarnię. Tu będzie bar, tu regały, a tu będzie można robić spotkania i koncerty. Zeskoczyliśmy z barierki i poszliśmy w stronę miasta coś zjeść. Zaświeciło słońce. © KRZYSZTOF ŻWIRSKI

Autor (ur. 1988) jest menedżerem kultury, kuratorem programów literackich, współtwórcą programu wsparcia dla księgarń w Krakowie. W 2021 r. nakładem Austerii ukazał się jego literacki debiut, esej „Sierpień".

Obras Maestras
Mistrzowie Kina Hiszpańskiego
Berlanga | Buñuel | Fernán-Gómez | Neville | Saura
9-12 grudnia 2021
Kino Iluzjon, Warszawa
13-17 grudnia 2021
Kino Pod Baranami, Kraków
15-19 grudnia 2021
ninateka.pl online*

REKLAMA x2

Nikifor
malarz nad malarzami
Wystawa
w Państwowym
Muzeum Etnograficznym
w Warszawie
ul. Kredytowa 1
ethnomuseum.pl
Projekt "Malarz nad malarzami" sfinansowano ze środków Fundacji PZU oraz Samorządu Województwa Mazowieckiego. Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Mazowieckiego.

Siostry Zubrzyckie na motocyklu Triumph, 1910 r.

Spotkanie z posłem, 1962 r.

Co robi zdjęcie?

WOJCIECH NOWICKI

Cztery różne fotografie na zachętę. MuFo w Krakowie niebawem otwiera swoją nową wystawę stałą, niektóre z tych zdjęć się tam znajdą – a także wiele, wiele innych. Warto je obejrzeć i nad nimi pomedytować.

Kilka zdjęć. Nie na chybił trafił, bo wybranych z przekonaniem spośród olbrzymich zbiorów MuFo, ale i z pewnym poczuciem winy: ono zawsze towarzyszy układaniu wystaw czy albumów, dobieraniu słów, żeby złożyły się w książkę lub artykuł. Bo mogłyby być lepsze, jaśniej tłumaczyć myśl, uderzać mocniej. Rzecz jednak nie w tym, by za każdym razem naprężać się, ażeby trzeszczało – lepiej gdy w tej znienacka znalezionej chwili przyjemności, w tym przypadku pokazać zdjęcia, które coś znaczą.

Podle starszeństwa: przodem idą siostry Zubrzyckie, a właściwie Klementyna Zubrzycka-Bączkowska. Jak czytam, aktywna w latach 1903-1920, fotografować zaczęła jako szesnastolatka. Nota biograficzna określa ją poprzez mężczyzn: „córka i wnuczka aptekarzy oraz burmistrzów w Limanowej", „żona farmaceuty Bączkowskiego". Ale to już ona sama ukończyła farmację na UJ, była właścicielką apteki w Limanowej, po upaństwowieniu – jej kierowniczką, aż do śmierci w 1968 r. No i we wczesnych latach z wielkim zapałem uprawiała fotografię.

Siostry Zubrzyckie, tak je nazywam, bo to one często stawały się bohaterkami zdjęć Klementyny: tu sfotografowane około 1910 r. na motocyklu marki Triumph o numerze rejestracyjnym S 929 (bawi mnie ta rejestracja, biała tabliczka z numerem wypisanym ręcznie farbą, nic w niej z powagi dzisiejszych tablic rejestracyjnych). Dwie siedzą w przyczepce, jedna w siodełku, udaje, że prowadzi, choć rzecz dzieje się przed bramą, przednia opona i opona wózka są sflaczałe, daleko by nie ujechały. Urocza, nie znajduję innego słowa, jest ta trąbka, gumowa grucha i metalowy róg jak miniaturka gramofonowej tuby, i ten wózek odrobinę jak dorożka, choć chyba biały, i te ich stroje dostosowane do jazdy, bo wszystkie w kapeluszach, a dwie mają chusty-woalki przytrzymujące nakrycie głowy i chroniące przed kurzem. Chyba naprawdę jeździły motocyklem.

Rzecz jednak w czym innym: kobieta jest autorką amatorskich fotografii w latach, kiedy fotografia zaczyna się demokratyzować, aparaty są dostępniejsze, mniejsze i łatwiejsze w obsłudze. Nie chodziło o to, że mężczyzn bardziej ciągnęło do fotografii. Po prostu mieli zazwyczaj więcej możliwości i czasu, ich żony, matki, córki były przeznaczone tradycyjnym obowiązkom. Ale kiedy w domu panował swobodniejszy duch (i pieniędzy było pod dostatkiem), to one mogły robić zdjęcia, choćby swoich skłonnych do przebieranek sióstr. Zresztą ze świetnym skutkiem.

Przeskok o ponad pół wieku: facet w grubej kurtce, widać, że sterany przez życie, krzyczy coś na zebraniu (rzędy drewnianych ławek, inni słuchają), zwraca się do niewidocznego na zdjęciu słuchacza i tych pozostałych, macha ręką z wyciągniętym palcem wskazującym. „Spotkanie z posłem" z 1962 r., autorem jest Bogusław (Sławek) Biegański (1932-94), absolwent grafiki na warszawskiej ASP, fotograf, fotoreporter. Ściśnięta pięść, palec wyciągnięty oskarżająco, zmarszczone brwi, kurta bez cienia elegancji: walczy o swoją sprawę, poseł, jego słuchacz pozostaje niewidoczny i niemy. Biegański robił te zdjęcia, całą serię, w niesprzyjających warunkach, jest ciemno, mroczno, tam, gdzie pada światło, powstają białe placki prześwietlenia, na fotografii pełno białych plamek od kurzu, jakieś rysy od zużycia filmu: a jednak nic to nie szkodzi, nie przeszka-

REPRODUKCJE ZE ZBIORÓW MUFO X4 // MATERIAŁ SPONSOROWANY

Wybory sołtysa we wsi Annopol k. Siemiatycz, ok. 1980 r.

Bez tytułu, fotografia z cyklu „Czarne morze betonu", 2008 r.

dza, bo jest czysta energia, wkurzenie, zjednoczenie fotografa z człowiekiem. Czysty fotoreportaż, który akceptuje wady okoliczności, niczego nie zmienia, nie doświetla, pozostaje brutalny, kiedy trzeba, a jednocześnie wykorzystuje wiedzę fotografa, który wybiera miejsce.

Ugoszcz niedaleko Bytowa, dziś 716 mieszkańców, oprócz przyrody nic specjalnego dokoła. Tylko ci ludzie odcięci od świata, na granicy kraju, i jedyna być może okazja, by cokolwiek załatwić: przyjechał poseł (jaki?), z którym najwyraźniej nieszczególnie się zgadzają. Biegański jest autorem innych doskonałych reportaży, warto zajrzeć na stronę MuFo i zobaczyć „Dzień wypłaty", wstrząsające przypomnienie lat, kiedy Polska wyglądała zupełnie inaczej, utytłana w błocie, biedna (choć to za tę obecną się bardziej wstydzę).

„Wybory sołtysa we wsi Annopol k. Siemiatycz" Macieja Osieckiego (1952-2019), dokumentalisty i fotoreportera, przemawia tym samym językiem, dosadnym i gwałtownym, i opisuje tę samą rzeczywistość, podobnie jak u Biegańskiego, zabiedzoną wieś; powstało jednak niemal dwie dekady później, w okolicach 1980 r. To sporo mówi o wiejskim zastoju, a przy okazji skoku, jaki się dokonał od tamtego czasu. Sami mężczyźni, pięciu, gumiaki i wysokie buty, kufajki, kożuszkowa kamizela, wyjściowo-robocze marynarki, berety, kaszkiety, papierosowy dym. Ten pośrodku, przychylony w biodrach, pokazuje wała, w prawej ręce zapalony papieros, dym się unosi. O co chodzi, nie wiadomo. Zdjęcia Osieckiego często są takie: zaskakują, czasem wywołują uśmiech, ale i zakłopotanie. To drugie chyba większe. Skąd ten gest Kozakiewicza, i do kogo? Wygląda na to, że jednak do fotografa, dwóch pozostałych bohaterów, tych po prawej, uśmiecha się do aparatu. A jednak sporo to mówi o atmosferze wyborów sołtysa Annopola. Jedno zdjęcie, jak kopniak w głowę: pozostaje ogłuszenie.

Pamiętam, kiedy wszedłem do Yours Gallery w Warszawie, wystawa Rafała Milacha była na jednym z wyższych pięter. Zdjęcie bez tytułu należy do cyklu „Czarne morze betonu" (2008). Może pamięć mnie zawodzi, ale to zdjęcie było powiększone do dużych rozmiarów, i stałem przed nim długo: pełne koloru, nieco oszukujące wzrok, bo co należy do czego? Czy wszystko namalowano (na betonie), czy jednak ta kupa żwiru to kupa żwiru po prostu? (Żwir to żwir, a naiwny landszaft to malunek na betonie). Pod lanszaftem widać odbicia desek, pozostałości po szalowaniu, w spękaniach pionowe, zrudziałe ślady po wodzie, która zetknęła się z zardzewiałymi prętami wzmacniającymi strukturę. Odmalowany piasek zlewa się z kamieniami, plany płynnie zlewają się ze sobą. Kolorowy nadmorski pejzaż nie jest pejzażem, to mur z żelazobetonu i kupa kamieni: wykadrowano je tak, że na pierwszy rzut oka dają poczucie jakiejś wesołej rzeczywistości; po chwili zmieniają się w inną, bardziej ponurą. Po latach, kiedy Rafał Milach jest już zupełnie innym fotografem, dość osobnym członkiem Agencji Magnum, „Czarne morze betonu", to zdjęcie i pozostałe z tej samej serii nadal się bronią. ©

Nowa siedziba Muzeum Fotografii w Krakowie otwiera się 4 grudnia przy ulicy Rakowickiej 22A.

W pierwszy weekend (4-5 grudnia) zwiedzanie MuFo jest bezpłatne.

Wystawa „Co robi zdjęcie?" otworzy się w pierwszym kwartale 2022 roku.

W trakcie weekendu otwarcia odbędą się zapowiadające ją debaty: w sobotę 4 grudnia dyskusja „Co robi kolekcję?", a w niedzielę 5 grudnia „Co robi zdjęcie?".

Wystawa „Co robi zdjęcie?" (kur. Dominik Kuryłek z zespołem) prezentuje zbiory Muzeum Fotografii w Krakowie.

sponsorzy partner patroni medialni

Metamorfozy i odloty

DARIUSZ KOSIŃSKI

Stęsknieni za żywym teatrem widzowie wnoszą doń dodatkową energię. To przede wszystkim dla nich teatry przygotowały propozycje na najbliższy sezon. Obyśmy zdążyli je obejrzeć na żywo.

Rozpoczęty we wrześniu sezon przyniósł sporo interesujących propozycji, które wprawdzie miały już swoje premiery, ale nadal są świeżynkami. Niektóre z nich zostały pokazane kilka razy wyłącznie w premierowym „secie", po czym nastąpiła długa przerwa. Tak rzecz ma się z już wzbudzającym kontrowersje przedstawieniem **„Katyń. Teoria barw"**, zrealizowanym w Teatrze Polskim w Bydgoszczy (tekst Julia Holewińska, reż. Wojciech Faruga). Premiera tej oryginalnej refleksji nad tragicznymi wydarzeniami ukazanymi przez pryzmat teorii plastycznej malarza i autora „Na nieludzkiej ziemi" Józefa Czapskiego miała premierę w znaczącym dniu 17 września, ale następne prezentacje rozpoczęły się 13 listopada w ramach Festiwalu Prapremiery.

Trwający półtora miesiąca przegląd został zainaugurowany 3 października bydgoską premierą nowego przedstawienia Michała Borczucha **„Metamorfozy"** (premiera warszawska w Studio odbyła się 19 września). Pod tytułem zapożyczonym od Owidiusza (na którego dziele spektakl częściowo się opiera) ukrywa się sceniczna przypowieść o dojrzewaniu, stworzona we współpracy z nastolatkami, którzy występują w przedstawieniu obok profesjonalistów. Jak zwykle u Borczucha, powstaje z tych zaskakujących powiązań niezwykła i dająca do myślenia mieszanina. Z pozostałych wartych odnotowania premier wrześniowych wiele zachodu wymagać może upolowanie **„Bez tytułu 09/21"**, zrealizowanego przez Annę Karasińską w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Wymykające się teatralnej machinie przedstawienie pokazywane jest rzadko. Czujność będzie jednak wynagrodzona.

Film i powieść na scenie

Z pewnością łatwiej zobaczyć w Opolu lub w Teatrze Śląskim w Katowicach inspirowany słynnym filmem Krzysztofa Kieślowskiego spektakl Norberta Rakowskiego **„Amator 2020"**. Opowiada historię syna Filipa Mosza, który po czterdziestu latach staje przed podobnymi dylematami jak ojciec. W zupełnie inny sposób do słynnych postaci polskiego kina odwołują się Weronika Murek i Jakub Skrzywanek w przedstawieniu **„Historie niemoralne"** (Teatr Powszechny w Warszawie). Przywołując głośny film „Dzieje grzechu" według Żeromskiego i postać jego reżysera Waleriana Borowczyka, a także wprowadzając na scenę Romana Polańskiego w dotkliwej rekonstrukcji gwałtu na nieletniej, twórcy proponują dojrzałą refleksję nad aktualnymi kwestiami seksualności i wolności. Kto myślał, że w Powszechnym gra się o tym w sposób jednoznaczny, ten się myli.

Teatralny październik przyniósł całą serię premierowych inscenizacji powieści, w większości nieoczywistych i zaskakujących. W Teatrze Polskim w Poznaniu Katarzyna Minkowska zrealizowała dawno nie odkurzaną **„Cudzoziemkę"** Marii Kuncewiczowej. W niedalekim, a przyciągającym szczególną uwagę Gnieźnie Teatr im. Fredry zaprasza na jeden z najpopularniejszych teatralnych tytułów polskiej literatury ostatnich lat – **„Lalkę"** Bolesława Prusa w reż. Radosława Rychcika.

W pracowniach dramaturgów i reżyserów chętniej chyba sięga się jednak po literaturę współczesną. Swoisty serial premierowy związany z koprodukcyjnymi zobowiązaniami zafundował widzom Bartosz Szydłowski, którego adaptacja **„Śniegu"** Orhana Pamuka miała najpierw premierę w jego krakowskiej Łaźni Nowej, następnie w Warszawie, a 19 listopada pokazana została w Teatrze Śląskim w Katowicach. Także w Krakowie, w Teatrze Ludowym, ale tym razem nie w Nowej Hucie, lecz na Scenie pod Ratuszem, Marcin Liber zrealizował swoją wersję przejmującej książki Miry Marcinów **„Bezmatek"**. Niemal równocześnie w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku opromieniona sukcesami w Niemczech Ewelina Marciniak pracowała nad **„Resztkami"** do scenariusza Jarosława Murawskiego według „Stramera" Mikołaja Łozińskiego i „Wyjechali" W.G. Sebalda. Oba przedstawienia nie zapowiadają się jako lekkie i przyjemne, ale na pewno warto się z nimi spotkać.

W literacki punkt trafił Teatr Zagłębia w Sosnowcu, który wyrasta na jedną z ciekawszych scen w kraju – jeszcze we wrześniu odbyła się tu wyreżyserowana przez Roberta Talarczyka premiera **„Nikaj"** Zbigniewa Rokity, który kilka tygodni później odebrał Nagrodę Nike za książkę „Kajś".

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

„Zamek" Franza Kafki w reżyserii Pawła Miśkiewicza, Teatr Narodowy w Warszawie

Dziady listopady

Polscy artyści teatru od dawna i z powodzeniem pracują z pamięcią – zarówno zbiorową, jak i swoistą pamięcią teatru, jaką jest klasyka. W tym pierwszym obszarze szczególne miejsce zajmuje twórczość odnoszącego wielkie sukcesy duetu dramaturgiczno-reżyserskiego: Jolanta Janiczak (laureatka tegorocznej Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej) i Wiktor Rubin.

W poprzednim sezonie większość festiwali w Polsce objechało zrealizowane przez nich w Gnieźnie przedstawienie „I tak mi nikt nie uwierzy", odwołujące się do historii ostatniej kobiety spalonej w Europie na stosie. Ten sezon zaczęli w Teatrze Żydowskim w Warszawie, gdzie miał premierę ich **„Chaplin"**, a zaraz potem przenieśli się do Krakowa, by przyspieszyć pracę nad **„Obywatelką Kane"** – przedstawieniem opartym na biografii wnuczki pierwowzoru bohatera filmu Orsona Wellesa, Patricii Hearst, a zwłaszcza głośnej kiedyś sprawie jej porwania przez terrorystów, w których szeregi następnie wstąpiła. Premiera planowana jest na 28 listopada, a że dzień wcześniej po raz pierwszy pokazana zostanie adaptacja powieści Leonory Carrington **„Trąbka do słuchania"** w reż. Agnieszki Glińskiej, to w Starym Teatrze zapowiada się prawdziwie mocne uderzenie. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że pójdzie za nim zapowiadany przez nową dyrekcję cykl premier, dzięki którym będzie się w końcu o krakowskiej scenie narodowej mówiło z powodu wydarzeń artystycznych, a nie gabinetowych.

Jedną z tych zapowiadanych krakowskich premier będzie przedstawienie oparte na twórczości Michała Bałuckiego, które ma zrealizować ceniony duet Jędrzej Piaskowski (reżyseria) i Hubert Sulima (dramaturgia). To także bardzo pracowici artyści. Ledwo w czerwcu w Teatrze Zagłębia odbyła się premiera ich **„Wujaszka Wani. Komedii"** według Czechowa, a już 5 listopada wrócili do Lublina, by w tamtejszym Teatrze im. Osterwy pokazać **„Damę kameliową 1948"**. Czy ta przeniesiona w realia powojennej Polski adaptacja klasycznego melodramatu Aleksandra Dumasa będzie równie wielkim sukcesem, jak zrealizowana na tejże scenie inscenizacja „Nad Niemnem", zwyciężczyni konkursu Klasyka Żywa, okaże się już wkrótce.

A skoro już jesteśmy przy klasyce, czyli pamięci teatru, to i tu pierwsza połowa sezonu przyniesie ważne wydarzenia. Wielu teatromanów z pewnością oczekiwało na premierę **„Wiśniowego sadu"** w reż. Krystyny Jandy z Grażyną Barszczewską jako Raniewską (Teatr Polski w Warszawie). Zapewne nieco inna grupa widzów ruszy dokładnie tego samego dnia do Krakowa, by w Teatrze im. Słowackiego obejrzeć równie oczekiwaną premierę **„Dziadów"** Adama Mickiewicza w reż. Mai Kleczewskiej.

Spektakl (cóż za zaskoczenie!) ma być o podzielonej i nierozumiejącej się Polsce, a w jednej z głównych ról brylować będzie Jan Peszek. Przedstawienie choćby z racji miejsca nawiązuje do prapremierowej inscenizacji przygotowanej przez Stanisława Wyspiańskiego, która odbyła się niemal równo 120 lat wcześniej, ale (o czym teatralny PR zdaje się zapominać) równo w kolejną rocznicę powołania polskiego teatru publicznego (19 listopada 1765). Zbieg dat wiele mówiący.

Datę 19 listopada uznaje też za datę swoich urodzin Teatr Narodowy w Warszawie. Pierwsza połowa sezonu przyniesie na tej scenie dwie odmienne, ale równie interesujące premiery. Pierwsza to adaptacja **„Zamku"** Franza Kafki w reżyserii Pawła Miśkiewicza z Dominiką Kluźniak jako K., drugą zaś **„Wieczór Trzech Króli"** Williama Shakespeare'a w reżyserii Piotra Cieplaka, z Jerzym Radziwiłowiczem jako Malvoliem (premiera 4 grudnia).

Ku przyszłości

Jesienią i zimą teatry polskie równie intensywnie jak historią i klasyką zajmować się będą współczesną twórczością teatralną i dramatyczną. Obie sfery połączy Tadeusz Słobodzianek. Autor „Naszej klasy" niedawno ukończył cykl dramatycznych „Kwartetów otwockich", których bohaterem jest Jerzy Grotowski. Premiera pierwszego z nich, **„Sztuki intonacji"** odbędzie się 7 stycznia 2022 r. w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. ↦

NATALIA KABANOW / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU WYBRZEŻE

MICHAŁ RAMUS / MATERIAŁY PRASOWE

Magdalena Gorzelańczyk w spektaklu „Resztki", reż. Ewelina Marciniak, Teatr Wybrzeże w Gdańsku. Poniżej: Dariusz Chojnacki jako Filip Mosz w spektaklu „Amator 2020", reż. Norbert Rakowski, Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu

Jedną z autorek współczesnych często obecnych na afiszach będzie w tym sezonie Malina Prześluga. Już odbyła się w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie premiera jej **„Debila"** (8 października), a 20 listopada we Wrocławskim Teatrze Współczesnym został po raz pierwszy zaprezentowany dramat **„Kobieta i życie"** (reż. Piotr Łukaszczyk), który zwyciężył w konkursie dramaturgicznym organizowanym przez wrocławską scenę, konsekwentnie realizującą program zgodny z jej nazwą.

Podobnie postępuje mający w nazwie ten sam przymiotnik Teatr Współczesny w Szczecinie, który pod opieką artystyczną Jakuba Skrzywanka pyta, czy obecny sezon oznacza zmarnowaną szansę na społeczną zmianę. Dyrektorka szczecińskiej sceny Anna Augustynowicz zapowiada premierę **„Odlotu"** Zenona Fajfra – poematu dramatycznego o katastrofie smoleńskiej. Ten niezwykły tekst to trudne, a zarazem fascynujące wyzwanie, ale właśnie z nimi zwykła sobie radzić wybitna i doświadczona reżyserka.

Doświadczenia dopiero zaczyna gromadzić (za to w jakim tempie!) laureatka tegorocznego konkursu Debiut TR Karolina Szczypek, która tuż po dyplomie w Akademii Teatralnej w Warszawie wydaje się najbardziej zapracowaną artystką młodego pokolenia. We wrześniu właśnie w Szczecinie wystawiła jako swój debiut na profesjonalnej scenie sceniczną wersję biografii słynnej hiszpańskiej rewolucjonistki Dolores Ibárruri Gómez, **„La Pasionaria"**, w listopadzie wyreżyseruje w Sosnowcu **„Utraconą cześć Katarzyny W."** – jej autorski tekst, który zwyciężył w konkursie Nowe Utopie, zaś na grudzień zapowiadane jest przedstawienie o Targowicy, które ma przygotować w Wałbrzychu.

Wkraczając w okolice Bożego Narodzenia, przybliżamy się ku sferze mglistej i niepewnej, której teatry w Polsce (w przeciwieństwie na przykład do niemieckich) nie planują z dokładnością co do dnia. Wyjątek stanowi warszawskie Studio, które już na początku sezonu ogłosiło, że 18 grudnia odbędzie się premiera kolejnego potencjalnego hitu tego sezonu – inscenizacji tekstu Doroty Masłowskiej **„Bowie w Warszawie"**. Wyreżyseruje ją kolejny niezwykle pracowity reżyser – Marcin Liber.

Wszystko, co już zapowiedziano na dalsze tygodnie i miesiące, stoi – jak wszystko dziś – pod znakiem zapytania i niepewności. Ale sama myśl, że w marcu ma się odbyć w Teatrze Powszechnym w Warszawie premiera projektu Krystiana Lupy **„Imagine 2"**, którego bohaterem ma być John Lennon, daje impuls, by robić wszystko dla uniknięcia kolejnego lockdownu. Niestety to, że ludzie chodzący do teatru są w większości zaszczepieni, nie będzie stanowiło argumentu, gdy przyjdzie zdecydować, jakie sfery życia ograniczyć, by choćby zamarkować działania władzy. Spieszcie więc odwiedzać teatry – tak szybko je zamykają.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 48/2021
REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | OKŁADKA: Do Lasu
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | KOREKTA: Katarzyna Domin | SKŁAD: Zuzanna Kardyś

40 LAT CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

27.11.2021–13.02.2022

CITY LIMITS
YAEL EFRATI
ASTA GRÖTING
MONIKA SOSNOWSKA

UL. TOPOLOWA 1
26-505 OROŃSKO
WWW.RZEZBA-ORONSKO.PL

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego / Co-financed by the Minister of Culture and National Heritage of the Republic of Poland

Współorganizator / Co-organizer

Instytut Adama Mickiewicza

Patronat honorowy / Honorary Patronage

Ambasada Republiki Federalnej Niemiec Warszawa

Totalizator Sportowy | 65 lat Totalizatora Sportowego

Partner roku jubileuszowego Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku / Partner of the jubilee year of the Centre of Polish Sculpture

Prace dzięki uprzejmości / Works by courtesy of

HAUSER & WIRTH GALERIE GISELA CAPITAIN carlier | gebauer

Partnerzy / Partners

Kunsthalle Düsseldorf

מוזיאוני בת ים
MoBY: Museums of Bat Yam
موبي: متاحف بات يام

zaks sprzyjamy wyobraźni

IChF

UMCS

Patronat medialny / Media patronage

TVP Kultura

dwójka Polskie Radio

NNGT Notes na 6 tygodni

REKLAMA x2

Poza centrum

PIOTR KOSIEWSKI

Tej jesieni i zimy to w Białymstoku, Tarnowie i Zielonej Górze zobaczymy twórczość najciekawszych artystek i artystów młodego pokolenia.

W łódzkim Muzeum Sztuki otwarto od dawna zapowiadaną wystawę **„Awangardowe muzeum”** (będzie czynna do 27 lutego 2022 r.). Można na niej zobaczyć prace najważniejszych artystów ubiegłego wieku, od Pabla Picassa i Natalii Gonczarowej, Pieta Mondriana i Kazimierza Malewicza, po Katarzynę Kobro i Władysława Strzemińskiego. Wystawa nie tylko przypomina o początkach muzeów, ale stawia pytania o to, w jaki sposób mogą one dzisiaj reagować na rzeczywistość, w której funkcjonują.

Jednej z nieoczywistych odpowiedzi na te pytania udzieliło warszawskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej, w którym zakończyła się właśnie kolejna edycja festiwalu „Warszawa w budowie”, w tym roku zatytułowana „Jak robić szkołę?”. Trudno o bardziej aktualny temat w czasach, gdy rządzący chcą wrócić do modelu edukacji sprzed stulecia.

Sztukę nadal jednak można zaprosić do szkoły. MSN wspólnie z Edukacyjną Fundacją im. Romana Czerneckiego udostępniło przygotowane przez artystki i artystów (m.in. Pawła Althamera, Goshkę Macugę i duet Slavs and Tatars) instrukcje wykonania dzieł. Uczniowie szkół podstawowych mogą na ich podstawie sami przygotować wystawę.

Natomiast 26 listopada otworzy się ekspozycja **„Kto napisze historię łez”**, będąca próbą opowiedzenia sporu o prawa reprodukcyjne, w którym ścierają się odmienne wizje społeczeństwa i państwa, roli religii i granic wolności jednostki. Na pewno będzie to jedna z najgłośniej dyskutowanych wystaw ostatnich lat.

SEZON JESIENNO-ZIMOWY w ogóle stoi pod znakiem sztuki współczesnej. Już teraz warto wybrać się do Gdańska, by zobaczyć otwarty niedawno NOMUS, czyli Nowe Muzeum Sztuki. Na terenie dawnej stoczni, w budynku wzniesionym podczas II wojny światowej dla szkoły zawodowej, stworzono pierwszą od dawna i nadal jedną z nielicznych w Polsce instytucji muzealnych poświęconych aktualnie powstającej twórczości.

Na otwarcie przygotowano wybór ze zgromadzonych już zbiorów pod znaczącym tytułem **„Kolekcja w działaniu”**, opowiadający na przykładach prac czołówki współczesnych artystów (z silną prezentacją środowiska gdańskiego) o tym, jak sztuka może oddziaływać społecznie. Sam NOMUS dopełnia powstałą w tym stuleciu sieć trójmiejskich muzeów – Muzeum II Wojny Światowej i Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku oraz gdyńskie Muzeum Emigracji.

GRZEGORZ NOSOROWSKI / MUZEUM NARODOWE W GDAŃSKU

Po lewej:
wystawa „Kolekcja w działaniu", NOMUS/Nowe Muzeum Sztuki, Gdańsk

Po prawej:
Agata Kus, Fryzjerki (portret Poli Nikiel), olej na płótnie, 190x160 cm, wystawa „m jak młodość", Państwowa Galeria Sztuki Sopot

ARCHIWUM MBANKU

W Krakowie z kolei w pierwszy weekend grudnia otworzy się MuFo Rakowicka, nowa siedziba Muzeum Fotografii. W poddanym gruntownej modernizacji zabytkowym budynku dawnej Zbrojowni powstały nowoczesne sale wystawiennicze, ale też biblioteka z czytelnią. To pierwsze w Polsce tak nowoczesne muzeum fotografii. Od grudnia zostanie udostępniona zwiedzającym wystawa główna **„Co robi zdjęcie?"**, opowiadająca o fotografii jako o sztuce, zapisie przeszłości czy formie użytkowej, a także wystawa czasowa – **„Tu zaszła zmiana"** (czynna do 24 kwietnia 2022). Na tej drugiej znajdą się prace Weroniki Gęsickiej, Nicolasa Grospierre'a, Szymona Rogińskiego czy Wojciecha Wilczyka. To rzadka okazja, by zobaczyć je w jednym miejscu.

Niedawno w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie można było obejrzeć wybrane prace z kolekcji Wernera Jerke, który stworzył w niemieckim Recklinghausen pierwsze prywatne muzeum sztuki polskiej poza granicami Polski. Teraz zaś prezentowana jest tam kolekcja mBanku. Wystawa **„m jak młodość"** (czynna do 12 grudnia br.) pozwala zobaczyć prace najbardziej głośnych dziś twórców młodego pokolenia, m.in. Martyny Czech, Karoliny Jabłońskiej, Mikołaja Sobczaka i Natalii Załuskiej. W jednym miejscu zebrano twórczość, o której dziś dużo się mówi, ale też którą coraz częściej się kupuje.

Z kolei na Zamku Królewskim do 10 lutego oglądać możemy wystawę **„Caravaggio i inni mistrzowie"** – ponad 40 dzieł z kolekcji Roberta Longhiego (1890-1970), jednego z najbardziej wpływowych historyków sztuki XX w. W Warszawie można zobaczyć dzieła, które zwykle są dostępne jedynie dla nielicznych odwiedzających florencką Fondazione di Studi di Storia dell'Arte Roberto Longhi, w tym „Chłopca gryzionego przez jaszczurkę" Caravaggia oraz artystów, którzy tworzyli pod jego wpływem.

W POSZUKIWANIU MIEJSC prezentujących to, co aktualne w sztuce, warto jednak wyruszyć poza duże miasta. Szczególnie pamiętając o miesiącach ograniczeń dostępu do kultury, trzeba łapać każdą okazję. Wiele miejsc wartych odwiedzenia to tzw. Biura Wystaw Artystycznych – pozostałość po czasach PRL-u, gdy istniało ponad 50 salonów wystawowych, które wraz z Centralnym Biurem Wystaw Artystycznych (Zachęta) tworzyły system życia artystycznego w Polsce Ludowej, z wszystkimi jego wadami, w tym skostnieniem i rutyną. Po przełomie układ się rozpadł, a poszczególne galerie uzyskały autonomię i w różny sposób odnajdowały swoje miejsce w nowej rzeczywistości.

BWA Zielona Góra należy do tych, które szybko wypracowały własną formułę działania. Z jednej strony odwołując się do własnej przeszłości – przed laty zasłynęło z głośnych wystaw i sympozjów „Złote Grono". Już sama siedziba jest ważna: budynek galerii został zaprojektowany przez Janusza Wyczałkowskiego w 1965 r., a relief na fasadzie wykonał Marian Szpakowski, inicjator i współtwórca „Złotego Grona". To jeden z najciekawszych gmachów w Zielonej Górze i dobry przykład architektury późnego modernizmu w Polsce. Z drugiej strony zielonogórskie BWA konsekwentnie prezentuje to, co aktualne, nie ograniczając do kilku wybranych nurtów czy środowisk artystycznych. Od listopada można tam oglądać pokaz przyciągającej w ostatnim czasie coraz więcej uwagi grupy **Potencja** – Karoliny Jabłońskiej, Tomasza Kręcickiego i Cyryla Polaczka (do 12 grudnia br.). W grudniu natomiast galeria odda swą przestrzeń ↦

↦ Stachowi Szumskiemu, autorowi głośnych murali, odmiennych od dominującej dziś sztampy.

Od lat ważnym miejscem na mapie artystycznej jest także Galeria Bielska BWA. Co więcej, kierującym galerią udało się stworzyć imprezę, która od lat przyciąga ogólnopolską uwagę. Mowa o ogólnopolskim konkursie malarstwa Bielska Jesień. Jego kolejne edycje świadczą o tym, że malarstwo może być nadal żywym i współczesnym medium – Grand Prix nagrodzono m.in. Ewę Juszkiewicz, Martynę Czech i Karola Palczaka. Na najnowszej odsłonie zaprezentowano 121 prac autorstwa 84 artystek i artystów (czynna do 15 stycznia 2022 r.), w tym laureata Bielskiej Jesieni **Tomasza Kulki**, autora obrazów malowanych temperą na złotym tle, bliskich mistrzom późnego gotyku, ale też dziełom Boscha, w których z roślin, misternie oddanych, stworzył tajemnicze światy, zapełnione dziwnymi stworami.

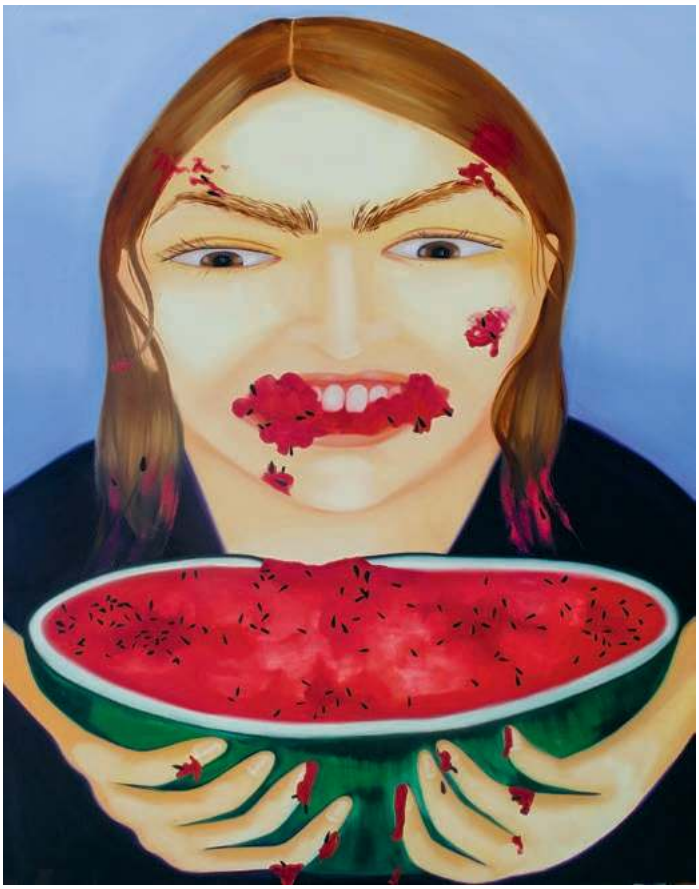

Karolina Jabłońska, Jedzenie arbuza, olej na płótnie, 200x160 cm, 2021 r. Wystawa „Potencja / Teoria humoralna" w BWA Zielona Góra

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI

BĘDĄC NA POŁUDNIU POLSKI warto zajrzeć do krośnieńskiego Biura Wystaw Artystycznych. Do 9 stycznia potrwa tam jedna z najoryginalniejszych wystaw ostatnich lat: **„Moja matka moja córka"**. Artystki – Bettina Bereś, Aneta Grzeszykowska, Zuzanna Janin czy Małgorzata Markiewicz opowiadają o doświadczeniu macierzyństwa i bycia córką, tradycjach rodzinnych i o tym, jak artystyczne aspiracje i zaangażowania wpływają na wzajemne relacje. Pytają też o obecność macierzyństwa czy bycia córką w sztuce. Kuratorkom wystawy Agnieszce Bartak-Lisikiewicz i Magdalenie Ujmie udało się ze zrozumieniem i empatią poruszyć istotną, lecz trudną, bo też intymną kwestię. Na stronie galerii są również dostępne rozmowy z 22 artystkami, które przeprowadziły autorki wystawy.

Nie omijajmy także Tarnowa. Tamtejsze BWA znalazło własną formułę działania, w której łączy stałą prezentację tego, co dzieje się aktualnie w ogólnopolskim obiegu z podkreślaniem własnej lokalności. W grudniu zostanie otwarta dość niezwykła wystawa **„8 bitów sztuki"** (czynna do 30 stycznia), na której znajdą się prace artystów z tamtejszego środowiska, stworzone na stare komputery Atari w latach 80.-90. Równolegle będzie trwała wystawa **„Dagaramy"** Jana Głuszaka (1937–2000), tarnowskiego architekta tworzącego utopijne projekty miast.

Lubelski Labirynt to jedna z najważniejszych galerii w kraju. W swym programie nieustannie nawiązuje do legendarnej Galerii Labirynt, która była jednym z kluczowych miejsc dla sztuki neoawangardowej w naszej części Europy (i dla dziedzictwa tutejszego BWA). Galeria nieustannie przygląda się sztuce tamtego okresu, ale przede wszystkim temu, co dzieje się aktualnie. I szuka sposobu, w jaki instytucja publiczna powinna odpowiadać na problemy rzeczywistości, nie bojąc się, że może być obiektem ataków politycznych. Stąd wystawy organizowane w odpowiedzi na homofobiczne wypowiedzi rządzących krajem czy po decyzji Trybunału Konstytucyjnego z 22 października ubiegłego roku i protestach kobiet. Kolejna, **„13 grudnia"**, przygotowana we współpracy z Archiwum Protestów Publicznych, zostanie otwarta w rocznicę ogłoszenia stanu wojennego i będzie opowiadała o oporze wobec autorytarnego państwa.

Nie mniej ważny na mapie polskiej sztuki jest białostocki Arsenał, od lat konsekwentnie prezentujący kolejne pokolenia polskich twórców, a też z uwagą przyglądający się twórczości powstającej za naszymi wschodnimi granicami. To dzięki tej galerii Białystok stał się stałym miejscem spotkań Zachodu ze Wschodem. Arsenał też – w ostatnich latach – jest nieustannie atakowany przez tamtejszych polityków i działaczy, którym nie podoba się odwaga w podejmowaniu tematów uznawanych za „kontrowersyjne".

Na początku przyszłego roku galerię czeka remont. Przed zamknięciem będzie można jednak zobaczyć wystawy dwóch ciekawych artystek młodszego pokolenia (do 10 stycznia 2022 r.). Urodzona w 1984 r. Czeszka **Anna Hulačová** w swych rzeźbach odnosi się do zmian klimatycznych, globalizacji i relacji między centrami i peryferiami. Z kolei młodsza od niej o 5 lat białoruska artystka **Ala Savashevich** w ciekawy sposób opowiada o sytuacji społecznej i politycznej swojego kraju. To szczególnie ważna wystawa, przypominająca o sytuacji społeczeństwa pod rządami Alaksandra Łukaszenki, przemocy po ubiegłorocznych protestach i grożącego poczucia bezsiły wobec tej dyktatury.

JAN SZEWCZYK / MATERIAŁY PRASOWE BWA

Wystawa Ewy Ciepielewskiej „Wisła wpada do Odry, a potem do Sokołowca" w publiczno-prywatnych wnętrzach BWA Sokołowsko

TYTUS SZABELSKI / GALERIA ARSENAŁ

Anna Hulačová, z wystawy „Alienbees, save us, please!", Galeria Arsenał w Białymstoku

Ponieważ nazwa BWA z czasem straciła negatywne konotacje, a nawet zaczęła się cieszyć renomą, przed dekadą powstało BWA Warszawa – jedna z najważniejszych prywatnych galerii w stolicy.

Wiosną ubiegłego roku, w samym środku pierwszego, twardego lockdownu, prowadzący ją „zwinęli warszawskie życie" i przenieśli się do Sokołowska, czyli do dawnego Görbersdorfu, w którym Hermann Brehmer uruchomił pierwsze na świecie specjalistyczne sanatorium dla gruźlików (to na nim wzorowano ośrodek leczenia gruźlicy w Davos). Do dziś przetrwała część historycznych zabudowań – i tam właśnie zaczęło działać BWA Sokołowsko. 1 stycznia nowego roku otwarta w nim zostanie wystawa **„Turnus mija, ja niczyja"** (czynna do 31 marca 2022 r.), na której prace klasyków polskiej sztuki, jak Natalia LL czy Tadeusz Rolke, zostaną zestawione z twórczością młodszych pokoleń. Trudno o lepszy początek nowego roku.

W PODRÓŻACH ARTYSTYCZNYCH nie wolno wreszcie pomijać Szczecina, jednego z największych polskich miast, a jednocześnie, z racji swego położenia, traktowanego jako peryferyjne. W tamtejszym Muzeum Narodowym można oglądać przygotowane na nowo wystawy stałe. Z kolei w TRAFO Trafostacji Sztuki, w jednym z najmłodszych, bo otwartym w 2013 r. centrum sztuki współczesnej, zlokalizowanym w zabytkowym budynku dawnej stacji transformatorowej, 27 stycznia startuje jedna z najbardziej intrygujących wystaw 2022 r.: **„Mogę wam opowiedzieć o sobie o was. Władysław Hasior – Daniel Rycharski"**.

Obok siebie znajdą się na niej prace jednej z legend polskiej sztuki ubiegłego wieku oraz młodego artysty, który stał się bohaterem filmu Łukasza Rondudy „Wszystkie nasze strachy". Hasior i Rycharski wywodzą się ze wsi i w swej twórczości odnoszą się do chłopskiej tradycji i religijności. To wystawa o polskiej peryferyjności, kulturze, która nadal jest spychana na margines i o której zarówno kiedyś Hasior, jak i dziś Rycharski potrafią poprzez sztukę w godny, lecz nieoczywisty sposób opowiadać. Tym bardziej warto dotrzeć do północnego zakątka Polski.

© PIOTR KOSIEWSKI

Wprowadź sztukę w życie dziecka, by została tam na dobre!

Książka do kupienia na mik.krakow.pl/sklep

REKLAMA x3

KOLĘDA *na ten czas*

JACEK CYGAN ŚWIĄTECZNIE

Anna Dymna • Beata Rybotycka
Anna Jurksztowicz • Zosia Nowakowska
Stanisław Soyka • Jerzy Filar • Krzysztof Antkowiak
Mariusz Patyra • Kameleon Quintet

2 stycznia 2022 • ICE Kraków
4 stycznia 2022 • Sala Ziemi Poznań
6 stycznia 2022 • Filharmonia Narodowa Warszawa
8 stycznia 2022 • NFM Wrocław

Bilety na koncerty: BILETSERWIS.pl

Prestige MJM · BILET SERWIS · REGENT WARSAW HOTEL · onet · TYGODNIK POWSZECHNY · VIVA! · TU WROCŁAW .com · VIXON · PRESS SERVICE monitoring mediów · RADIO Pogoda

PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI W SOPOCIE ZAPRASZA NA WYSTAWY!

MY I PSY, PSY I MY

DO 16.01.22

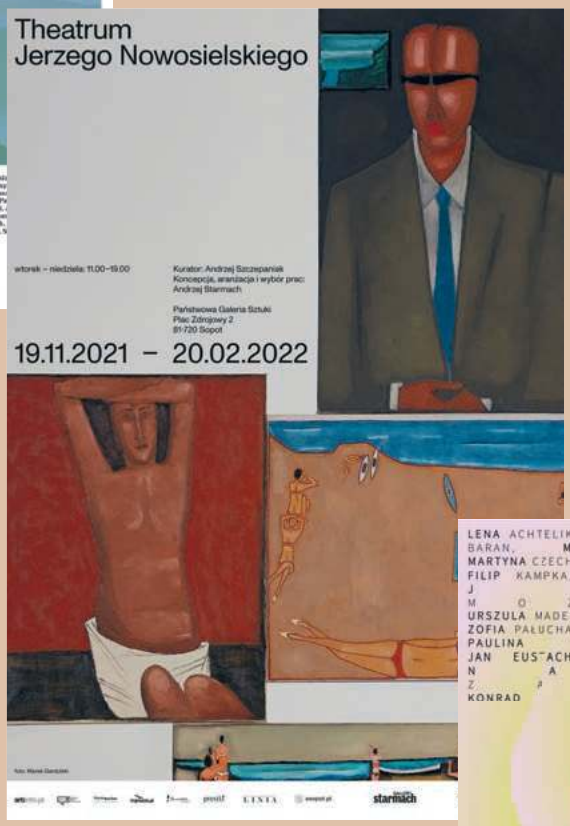

THEATRUM JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

DO 20.02.22

M JAK MŁODOŚĆ

DO 12.12.21

Sopot

PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI

PL - 81-720 SOPOT, PLAC ZDROJOWY 2, tel.: (+ 48 58) 551 06 21, tel/fax: 551 32 62, NIP 585-122-00-52, REGON 000277167

KULTURA

OBÓZ PRZETRWANIA

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA, PISARKA:

Na galę Międzynarodowej Nagrody Bookera jechałam pociągiem prosto z pracy w McDonald's. Zdążyłam zdjąć uniform, ale nadal cuchnęłam fryturą.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowiesz o pierwszym dniu w schronisku?

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA: Pamiętam jak przez mgłę, byłam po ciężkiej nocy. Rano długo spałyśmy, potem zeszłam do kuchni i przygotowałam dla córki coś do jedzenia.

A poprzedzająca noc?

Spędzona na przedmieściach Hastings. Próbowałam wyjść z mieszkania byłego męża, gdzie zmuszone byłyśmy się zatrzymać w czasie pandemii. Rozmawiałam przez telefon z opiekunką społeczną o przyznaniu mieszkania socjalnego. Wyczuła w moim głosie lęk. Zapytała, co się dzieje. Odpowiedziałam, że boję się byłego męża, że może mi zrobić coś złego. Kazała mi wyjść na ulicę, pytała, czy osoba, która stwarza zagrożenie, jest w mieszkaniu. Odpowiedziałam, że były mąż jest w sąsiednim pokoju. Opiekunka zdecydowała się zorganizować akcję wraz z policją, by zabrać stamtąd córkę i mnie. Trwało to kilka godzin – te wszystkie procedury i wywiady, kiedy odpowiadałam na pytania: czy masz zasiłek, czy czujesz się kontrolowana? W schronisku była kolejna seria pytań: czy jesteś chora na HIV, czy jesteś chora na covid, czy jesteś w ciąży? Oraz intymne pytania dotyczące przemocy, również seksualnej. Nie było psychologa, który mógłby dać wsparcie. Cały czas towarzyszył mi lęk: co się stanie z moją córką, jeśli rozsypię się psychicznie?

Jak ona na to reagowała?

Wyłączyła się. I to chyba było dla niej najlepsze. Nadal nie daję sobie z tym rady. Dlatego też powstała moja powieść.

„Wilcza rzeka" zaczyna się wiosną 2020 roku od wyjazdu z portu East Cowes do Southampton, skąd kiedyś wypłynął Titanic.

Cieśnina Solent o tej porze jest zjawiskowa, turkusy mieszają się z ciepłymi błękitami. Były mąż, z którym rozstałam się dwa lata temu, powiedział: „Wiem, że szukasz mieszkania, w moim miasteczku jest takie jedno niedrogie i ładne, właśnie po remoncie". W Anglii wynajem mieszkań jest trudny i drogi, dałam się więc nabrać. Przelałam depozyt i kiedy z córką przyjechałyśmy w nocy na miejsce, okazało się, że tego mieszkania zwyczajnie nie ma. I wybuchła pandemia. Łudziłam się, że to wirus taki jak ptasia grypa – media o tym popiszą i sprawa ucichnie.

I w Hastings zaczniesz nowe życie? ↦

GRAŻYNA MAKARA

Wioletta Grzegorzewska. Warszawa, październik 2021 r.

↦ Na wyspie Wight, gdzie wcześniej mieszkałam, nie mogłam się utrzymać z pisania. Moja zaliczka na książkę zwykle wynosi równowartość czterech czynszów. Planowałam, że w nowym miejscu będę odbywać spotkania literackie i więcej podróżować. Ojciec Julki, mający ogromny problem z alkoholem, obiecał, że się zaszyje i będzie zostawał z naszą córką. A ja w tym czasie oddam się pracy.

Z czego polska pisarka utrzymuje się w Anglii?

Kiedy dostałam nominację do Międzynarodowego Bookera, trafiłam do agencji ze Stanów Zjednoczonych i wtedy zaczęło się sprzedawanie praw do moich książek. To trwało trzy lata, a potem ucichło. Nie potrafiłam tego momentu wykorzystać, nie jestem medialną bestią, która sama śle komunikaty do agencji prasowych.

Ponieważ nie jestem też autorką kryminałów ani literatury sensacyjnej i nie sprzedałam praw do filmu, musiałam dorabiać. Pracowałam jako hostessa w McDonald's. Pół etatu, cztery razy w tygodniu, czasami brałam po dwie zmiany, by więcej zarobić. Po niemal trzech latach zrezygnowałam, nie wytrzymałam. Wykorzystywano mnie, mówiono: „Niech Polka zmieni keczup w dozowniku, wyniesie śmieci, niech to zrobi". Nie potrafiłam jeszcze dobrze mówić po angielsku, ciągle smażyłam frytki, biegałam z pickerem, czyli w nocy chodziłam zbierać śmieci na parkingu przy restauracji. Ta praca nie sprowadza się do roznoszenia baloników czy zbierania tac ze stołów – na zakończenie dnia musisz wysprzątać dokładnie salę, umyć wszystkie toalety, podłogi i stoliki. A potem, by zaoszczędzić na bilecie, w nocy wracasz pieszo do domu cztery kilometry.

Ciężko.

Ale właśnie ta ciężka praca dawała mi niezależność – miałam pieniądze, mogłam utrzymać dzieci, wtedy jeszcze mój syn był niepełnoletni, dziś jest na swoim i dobrze sobie radzi.

Na galę Bookera jechałam pociągiem po pracy w McDonald's – choć zdążyłam zdjąć uniform, to nadal cuchnęłam fryturą.

Kiedy miałaś czas na pisanie?

Po pracy. Wracałam do domu, szłam z psem na spacer, gotowałam obiad, robiłam zakupy, spędzałam czas z dziećmi i około 22.00 zaczynałam pisać. I tak do trzeciej, czwartej nad ranem.

> Cały czas miałam nocne lęki, budziłam się z myślą, czy zapłaciłam rachunek za wodę, bo znowu odłączą. Sama się na to skazałam, **bo nie chciałam żyć w przemocy i współuzależnieniu.**

„Wilczą rzekę" też pisałaś w schronisku po nocach.

Najpierw robiłam notatki w telefonie, jadąc autobusem, jeszcze z literówkami. Potem pisałam wszędzie, gdzie się dało, by ten czas przetrwać. Do trudniejszych warunków przywykłam, nigdy nie miałam własnego gabinetu. Wielu autorów-mężczyzn albo ludzi, którzy nie mają rodziny, dostaje stypendia, spędzają więc pół roku na rezydencji pisząc książkę. Samotna matka nie ma na to szansy. Dostawałam zaproszenia, tyle że bez córki. W dodatku Julka musi chodzić do szkoły, nie mogę sobie zmieniać na kilka miesięcy miejsca pobytu.

Walczyłam o przetrwanie, utrzymanie się na powierzchni. Nocne lęki, budzenie się z myślą, czy na pewno zapłaciłam rachunek za wodę, bo znowu odłączą. Skazujesz się na to, by być samą, bo chcesz się wyzwolić, bo nie chcesz żyć w przemocy i we współuzależnieniu.

Od człowieka uzależnionego od alkoholu?

A od jakiegoś czasu prawdopodobnie także od narkotyków.

Pisząc o przemocy domowej w „Gugułach", książce nominowanej do Bookera, użyłaś więcej zasłon literackich. W „Wilczej rzece" ten temat traktujesz wprost.

Gdy publikowałam moją historię na Facebooku, pojawiały się komentarze: „powinnaś to wydać". Zaczęłam więc pisać częściej i nie w komórce, tylko w laptopie. Nie planowałam tej książki, wcześniej nie podpisałam na nią umowy. Ale była też jedna osoba, która mnie do tego szczególnie zachęciła, w powieści nazywana Markiem. Powiedział, że ten materiał to żywioł doświadczenia, i namawiał, bym zaproponowała tę książkę wydawnictwom. Zaproponowałam. Pierwsze wydawnictwo chyba przestraszyło się wątków drastycznych i osobistych, bo redaktor pytał mnie o związek bohaterów z prawdziwymi postaciami. „Wszystkie pytania związane z ryzykiem naruszeń są ciągle aktualne" – tak się wyraził, kiedy odmawiał wydania. „Ryzyko naruszeń". Może bali się procesów, jakie mogą wytoczyć ludzie tam opisani. Nie wiem. Ale na wydanie „Wilczej rzeki" zdecydowało się W.A.B.

Co myśli o książce były mąż?

Nic nie wie. A co pisała Sylvia Plath? Też wiemy pewne rzeczy o jej mężu Tedzie Hughesie, o tym, że się znęcał nad nią fizycznie. A jest pochowana w grobie rodziny męża. Na nagrobku pisarki wyryto napis „Sylvia Plath Hughes" – nazwisko Teda wielokrotnie było usuwane przez nieznanych sprawców.

Chodzi też i o to, że mężczyźni mogą opowiadać o wszystkim, co ich łączy z kobietą – o żonach, kochankach, podbojach, miłostkach. A kiedy kobieta próbuje opowiedzieć o własnych doświadczeniach z mężczyzną, okazuje się, że przekracza granice. Bez względu na to, czy pisze o tych negatywnych czy pozytywnych. Usłyszałam, że w moich opisach erotycznych jestem zbyt odważna. „No ale ta masturbacja?!" – zapytał jeden z dziennikarzy.

Zabolało?

Rozśmieszyło. Od dawna wiem, że pisarzom wolno więcej w literaturze niż pisarkom. Pamiętasz „Zwrotnik Raka" Millera? Dziennikarz po przeczytaniu mojej powieści napisał: „Wiesz, broń Boże, nie jestem pruderyjny, ale odważne te narracje o masturbacji". Mężczyźni od wieków opisują swoje masturbacje, ale to nikogo nie zaskakuje, bo męskie doświadczenie jest przyjmowane jako norma, a kobiece przeżycia erotyczne są wciąż traktowane jako marginalne, jako coś, czego nie wypada odsłaniać, tak samo jak podpaski. Mówią ci, że to naruszenie.

Mścisz się?

Nie chcę krzywdzić byłego męża, alkoholizm jest chorobą. Nie, nie mszczę się, chcę tylko podzielić się doświadczeniem, opowiedzieć o tym innym kobietom,

może któraś zrozumie: o rany, ja też jestem współuzależniona, ale to ukrywam i mu nie pomagam, gdy sprawdzam, czy butelki gdzieś nie schował. Jemu powinien pomóc odwyk, leczenie, terapeuta.

To jest właśnie mechanizm współuzależnienia?

Co się dzieje z kobietą, kiedy jest skazana na życie z osobą chorą, która nie chce się leczyć? Najpierw to wypiera, potem zaczyna ukrywać, sama na własną rękę chce go leczyć, kontrolować, co pogarsza sytuację, dalej następuje kolejny rozpad, chaos, wpada w depresję, jest próba samobójcza – tak się to u mnie skończyło.

Jak długo można żyć w ten sposób?

Mnie to zajęło kilkanaście lat. Zaczęło się jeszcze w Polsce. Nie wiedziałam, co zrobić, jak się usamodzielnić. Próbowałam się rozwieść, ale adwokatka powiedziała, że nie dostanę rozwodu w konserwatywnej Częstochowie, gdzie budowaliśmy życie. W połowie 2006 r. wyjechaliśmy do Anglii – były mąż poleciał pierwszy, a potem mnie ściągnął. Urodziłam córkę, czas mijał, żyłam na pół gwizdka, w potężnym stresie, bo mąż przecież ciągle pił. Kiedy po trzech latach w Wigilię nie kupił córce obiecanej choinki i wiózł ją autem po pijanemu, zdecydowałam, że to zagraża życiu Julki i niszczy nas wszystkich. Spakowałam walizki i 24 grudnia postanowiłam iść do schroniska dla ofiar przemocy.

Poszłaś?

Wtedy interweniował mój syn, zaprosił mnie do swojego mieszkania na wyspie Wight. Zostałam u niego kilka tygodni, nie chciałam dłużej, to była jego przestrzeń, jego życie i jego nowy związek z dziewczyną. Próbowałam wynająć mieszkanie. By to zrobić, musisz mieć pieniądze na depozyt – tu nie było problemu, bo miałam oszczędności. Ale potrzebna jest też rekomendacja, której już nie miałam. I na miesiąc zamieszkałam w luksusowej przyczepie. To były ferie zimowe i dobry czas z córką – byłyśmy odcięte od internetu, czytałyśmy książki i grałyśmy w karty. Dłużej nie mogłam zostać w przyczepie z dzieckiem, bo wtedy zainteresowałaby się nami opieka społeczna. I wynajęłam pierwsze lepsze mieszkanie nieopodal syna. Po roku sytuacja zaczęła się pogarszać – brakowało pieniędzy, zaczęłam wpadać w stany depresyjne, nasilały się lęki i wtedy znowu pojawił się były mąż mówiąc, że jest właśnie to mieszkanie w Hastings.

GRAŻYNA MAKARA

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA (ur. 1974) jest pisarką i tłumaczką. Od 15 lat na stałe mieszka w Wielkiej Brytanii, gdzie publikuje pod pseudonimem Wioletta Greg. Jej zbiór opowiadań „Guguły" (2014) znalazł się w finale Nagrody Literackiej Nike oraz w finale Nagrody Literackiej Gdynia, a przekład autorstwa Elizy Marciniak („Swallowing Mercury") otrzymał nominację do Międzynarodowej Nagrody Bookera oraz trafił do finału Nagrody Literackiej im. Jana Michalskiego w Szwajcarii. W 2017 r. ukazała się jej powieść „Stancje", w 2020 r. „Dodatkowa dusza". Niedawno W.A.B. opublikowało jej nową powieść „Wilcza rzeka".

W cyklach przemocy to się nazywa „miesiąc miodowy" – oprawca łudzi ofiarę szlachetną postawą, ona się temu poddaje, wierzy, że wszystko się zmieni na lepsze, a po jakimś czasie on wchodzi w swoją starą rolę.

Niektóre kobiety w naszym schronisku musiały uciekać od oprawców po siedem razy. W schronisku są kobiety z różnych kultur. Mieszkała tam kobieta z Gujany, z blizną na twarzy, która prawdopodobnie boryka się ze schizofrenią, widać że nie wytrzymała psychicznie. Jest kobieta transseksualna, która zdecydowała się uciec do schroniska, bo miała problemy z agresywną partnerką, nazywam ją w powieści Bess. Jest Cyganka z Czech, która wyszła za Czecha kilkanaście lat temu i kiedy próbowała wyrwać się z przemocy, to rodzina ją oskarżyła o wychowawcze przewinienia i zabrali jej dzieci...

Jak sobie radzisz z taką ilością trudnych historii?

Nie czujesz się lepiej, kiedy inni mają od ciebie gorzej – widok cudzego cierpienia niczego nie koi. Skumulowanie tych historii sprawia, że czujesz się tak, jakbyś nie była w miejscu, które ma cię ocalić, tylko na obozie przetrwania.

Trzeba pamiętać, że kobiety latami poddawane przemocy często same się nią posługują. Intrygują, manipulują, szczują, walczą o jedzenie, które przywożą wolontariusze z banku żywności. Są używki, jest rywalizacja o władzę, są zabiedzone i zalęknione dzieci, których widok nie pozwala mi spać w nocy. W weekendy bywa bardzo niebezpiecznie, bo zostajemy same, nikt nas wtedy nie pilnuje.

Co może się wtedy stać?

Któraś z kobiet może mieć gorszy czas, podpalić dom, upić się, naćpać, zaatakować, okraść cię lub otworzyć drzwi przytułku mężowi psychopacie. Niedawno trzeba było ratować niemowlę, które zachorowało na bronchit i zaczęło się dusić. Matka nie wiedziała, co robić. Same wezwałyśmy pogotowie. Innym razem syn jednej z rezydentek, którego ojciec chciał udusić gołymi rękami, dostał ataku paniki, miał wizje i krzyczał w nocy, że ktoś próbuje się włamać do naszego schroniska. Przyjechała policja. W Wielkanoc jedna z Polek była naprawdę w złym stanie. Angielski partner ją maltretował, nie wypuszczał z domu, dawał narkotyki i był jej alfonsem – sprowadzał kolegów. Ona po tym wszystkim miała agorafobię – bała się wychodzić z pokoju. Pilnowałyśmy jej na zmianę, by sobie czegoś nie zrobiła. Kiedy nagle przestała się pojawiać w kuchni i pisać esemesy, pomyślałam, że się powiesiła, a ona wróciła do swego oprawcy. Schronisko dla ofiar przemocy przypomina celę więzienną, w której ustala się szybko hierarchia, kto jest wyżej, a kto niżej. Trwa batalia o względy szefowej, a szefowe się wymieniają, więc ta batalia nie ma końca.

W schronisku wiszą na ścianach kartki: „jesteś silna", „jesteś wspaniała", „bądź dla siebie", „jesteś wyjątkowa". Fraza z wiersza Mai Angelou: „Za każdym razem, gdy kobieta staje w obronie siebie, staje też w obronie wszystkich kobiet". Zgadzasz się z tym, ale czytasz to też z poczuciem ironii, bo wiesz, że nie siła decyduje o przetrwaniu. ↦

A co decyduje?

Czasem lepiej sobie powiedzieć: nie daję już rady, jestem słaba, nie muszę być cały czas twarda, sama walczyć i czuwać bez przerwy nad wszystkim. Pozwolę, by inni mi pomogli. Kobiety biorą za dużo na swoje barki, więc się załamują. Ja już odpuściłam, nie chcę być silna. Uspokajam się, kiedy idę nad morze. Na mnie działa przyroda, wychowałam się na wsi, blisko natury, raczkowałam z kotami i kurami. A w schronisku nie można mieć swoich zwierząt. Psa i kota musiałam oddać na przechowanie życzliwym ludziom.

Jak Twoja córka reaguje na „Wilczą rzekę"?

Pytała: „Czy ja tam też będę, w tej książce? A co o mnie napisałaś?". Cieszyło ją, kiedy czytałam fragmenty, w których występuje. Mówiła: „Ale ja tak nie powiedziałam przed tym supermarketem". Nawet nie chciała, by w powieści zmienić jej imię... A kiedy w Hastings przechodziłyśmy obok zamkniętego teatru, zatrzymała się przy słupie z afiszami i spytała: „Co to za sztuka, mama?". „Czekając na Godota" – odpowiedziałam. „O czym jest ta sztuka?". „O tym, że dwaj bezdomni włóczędzy czekają nie wiadomo na co". „To tak prawie jak my" – powiedziała wtedy Julka i może miała rację.

Nasza relacja oparta jest na przyjaźni, chociaż ja się staram być przede wszystkim mamą. Osobą, na której zawsze może polegać. Czasami budzi się we mnie kwoczy instynkt, mam to wdrukowane – sama wychowywana byłam pod kloszem. Siostra mojej mamy została zamordowana, znaleziono ją w bytomskim parku, mama się z tego nigdy nie dźwignęła, bała się o nas, kontrolowała, co robimy. I ja też staram się trochę kontrolować.

Kiedyś w angielskiej szkole poproszono moją córkę: „Dziewczynko, zaśpiewaj nam hymn twojego kraju". Wstała na baczność i zaśpiewała: **„Był sobie król, był sobie paź i była też królewna...".**

Syn?

Zaangażował własną firmę, by zrobić zwiastun „Wilczej rzeki". Dzwoni, pyta, troszczy się. To dobry chłopak, bardzo pracowity.

Mama?

Nie mam z nią tak bliskiego kontaktu. Ona rzadko wyjeżdża, jest zamknięta w sobie, cierpi na nerwice lękowe i niedoczynność tarczycy, choć często po swojemu daje mi odczuć, jak mnie kocha. Kiedy odwiedzam mamę w wakacje, gotuje swojski rosół z makaronem, biegnie na pole, szykuje mi wałówę. Ostatnio dała mi słoiki z przetworami, zieleninę z ogródka i kilka pęczków mięty do ususzenia.

Znajomi?

Przede wszystkim od dwóch lat mam ukochanego w kraju. Codziennie rozmawiamy przez WhatsAppa, dzielę się z nim wszystkim. Jestem szczęśliwa, on mi nawet pomagał w przypadku tej książki, czytał, komentował i redagował. Miłość też pozwala mi przetrwać.

Kto jeszcze?

Dzieci – córka i syn. Wczoraj z Julką śpiewałyśmy polskie piosenki: „Był sobie król, był sobie paź i była też królewna...". Kiedyś w angielskiej szkole poproszono ją: „Dziewczynko, zaśpiewaj nam hymn twojego kraju". Wstała na baczność i zaśpiewała: „Był sobie król...".

Znam sporo ludowych piosenek, których uczył mnie dziadek – lokalny śpiewak ludowy. Z dzieciństwa pamiętam ballady gotyckie: „Wyprowadził ją na łączkę i połamał białe rączki i wydrapał czarne oczka". Dobrze oswajały z upiorną rzeczywistością.

Upiorna to jest pandemia.

Józef Hen mówił, że gdy pytają: „Wokół wybuchały bomby, a ty budowałeś barykadę. Bałeś się?", on odpowiada: „Nie, bo chciałem wszystko zapamiętać, żeby później to opisać". Wyczułam, że trzeba być świadkiem pandemii i dokumentować to, co na świecie się dzieje, kiedy nagle zostaje ogłoszona kwarantanna, trzeba zacząć się temu przyglądać. Taki się znów obudził zmysł pisarski. Pisząc, naprawdę się mniej boisz.

Do schroniska dla ofiar przemocy trafiłaś w lutym 2021 r.

Po miesiącach tułaczki urząd gminy zaproponował nam dwupokojowe mieszkanie komunalne z kuchnią i salonem na stałe. Kiedy dostałam tę wiadomość, rozpłakałam się z radości. Wygląda na to, że już na zawsze zostanę w Anglii. Myślę o studiowaniu na jakimś kierunku związanym z opieką społeczną, pracą z dziećmi lub osobami starszymi. Nie chcę być uzależniona tylko od zarobków z pisania, to jest dobijające.

Często w schronisku byłam mediatorką, starałam się łagodzić stres, konflikty. A pracując w McDonald's uspokajałam kobiety, sprzątałam za nie, jeśli źle się czuły. 15 listopada wyprowadzę się ze schroniska, zorganizuję meble, odbiorę moją kotkę Bronkę od znajomych byłego męża. Może się uda odzyskać też psa. I to będzie koniec naszej poniewierki.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Rozmowa z Wiolettą Grzegorzewską także w Podkaście Powszechnym: powszech.net/podkast

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygnaturą akt I Ns 384/21 toczy się postępowanie z wniosku Anny Zbyrad o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości oznaczonych jako: działka ewid. nr 3668 o pow. 0,1700 ha, stanowiąca łąki trwałe w obrębie 0002 Chmielów Gminy Nowa Dęba, działka ewid. nr 3669 o pow. 0,3100 ha, stanowiąca grunty orne w obrębie 0002 Chmielów Gminy Nowa Dęba, dla których został wydany Akt Własności Ziemi nr 6042-20/56/1/348/75; działka ewid. nr 4563 o pow. 0,2300 ha, stanowiąca łąki trwałe, grunty pod rowami w obrębie 0006 Stale Gminy Grębów, działka ewid. nr 4564 o pow. 0,6900 ha, stanowiąca łąki trwałe, grunty pod rowami w obrębie 0006 Stale Gminy Grębów, dla których został wydany Akt Własności Ziemi nr UG-6042-26/7/129/80; działka ewid. nr 2709 o pow. 0,1400 ha, stanowiąca grunty rolne zabudowane w obrębie 0002 Chmielów Gminy Nowa Dęba, powstała z cz. pgr 3123/7 LWH 2153 gm. kat. Chmielów.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

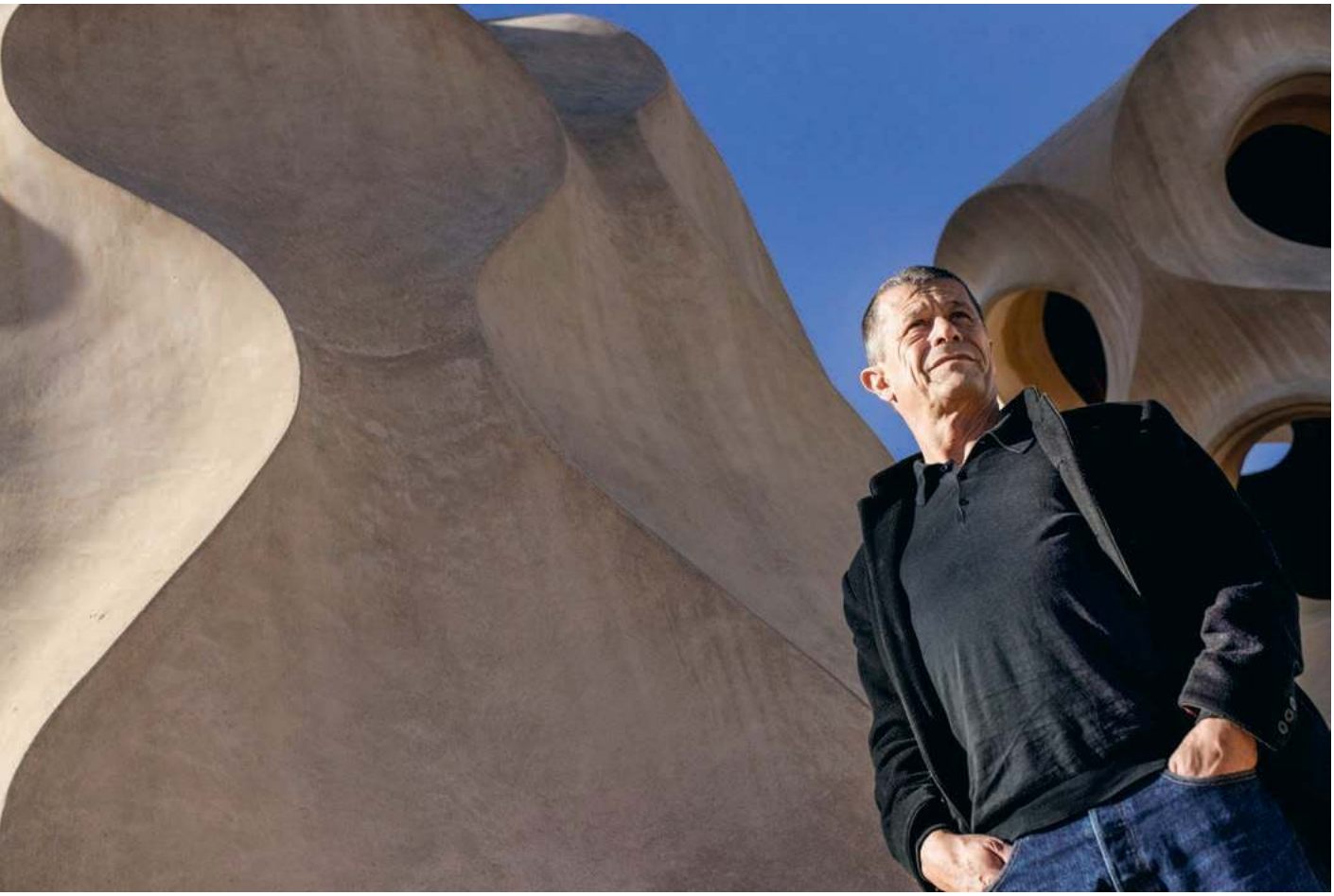

MARTA PÉREZ / EFE / FORUM

Emmanuel Carrère. Barcelona, listopad 2017 r.

Ten od skrajności

GRZEGORZ JANKOWICZ

Uważa, że konfrontacja z samym sobą jest warunkiem życia. Dlaczego więc mija się z prawdą? Czy można inaczej?

Gdy przed laty dziennik „Le Monde" zamówił u niego wakacyjne opowiadanie, Emmanuel Carrère postanowił, że tekst będzie listem miłosnym do jego ówczesnej partnerki. Wszystko skrupulatnie zaplanował. Konkretnego dnia – 20 lipca 2002 r. – ukochana wsiądzie do pociągu, który zawiezie ją na stację w La Rochelle. Wcześniej – zachęcona przez Carrère'a – kupi gazetę, przekartkuje ją, trafi na jego opowiadanie i zacznie czytać. Już po kilku zdaniach zorientuje się, że tekst – który w tym samym czasie trafi do przeszło pół miliona innych czytelniczek i czytelników „Le Monde" – skierowany jest do niej. To będzie miłosne wyznanie, a w zasadzie wyzwanie, gdyż kolejne fragmenty ułożą się w instrukcję: będą listą erotycznych zaleceń wzywających do mniej lub bardziej jawnych autopieszczot w wagonie i w toalecie. Po kilku godzinach wysiądzie w La Rochelle, gdzie będzie na nią czekał Carrère.

Upadki i wzloty

Ten plan zakończył się totalną klapą. Tekst, owszem, ukazał się na łamach „Le Monde", ale adresatka nie przeczytała go tamtego dnia. Nie wsiadła nawet do umówionego pociągu. Znalazł się w nim za to sam pisarz, który, rozczarowany niepowodzeniem, postanowił sprawdzić, jak na jego opowiadanie zareagują pasażerki i pasażerowie. Okazało się, że wśród podróżujących są głównie osoby starsze i rodziny z dziećmi; wszyscy skoncentrowani na swoich sprawach, a nie na lekturze prasy.

Jakby tego było mało, w przedziale pojawiła się para reporterów z „Le Monde". Ich zadanie polegało na przygotowaniu materiału o tym nietypowym eksperymencie literacko-miłosnym. Nie potraktowali Carrère'a złośliwie, niemniej nakreślony przez nich obraz pisarza, który w akcie desperacji zajmuje w pociągu miejsce adresatki swojego tekstu, był po prostu komiczny. Do redakcji zaczęły przychodzić listy od oburzonych prenumeratorów, którzy sprzeciwiali się publikacji pornograficznych opowiadań na łamach szacownego dziennika. Philippe Sollers, założyciel legendarnego pisma „Tel Quel", zadał Carrère'owi bolesny cios: wykpił jego obsceniczny styl i uznał za sfrustrowanego twórcę, który chwyta się taniej prowokacji. Francja wiedziała już, co myśleć. ↦

↦ Po czymś takim trudno byłoby się pozbierać. Co zrobił Carrère? Kilka lat później napisał autobiograficzną książkę, w której ze szczegółami (stawiającymi go w złym świetle) przedstawił nie tylko swoją nieudaną relację z partnerką, nie tylko wszystkie fakty związane z publikacją na łamach „Le Monde", ale także pewien rodzinny sekret: jego pochodzący z Gruzji dziadek został aresztowany pod zarzutem kolaboracji z nazistami i najprawdopodobniej stracony. To, co inni staraliby się ukryć, Carrère postanowił z nawiązką odsłonić. Nie tylko po to, by odpowiedzieć szydzącym z niego pisarzom, wydawcom i czytelnikom, ale przede wszystkim po to, by zrealizować swoje literacko-egzystencjalne założenie: trzeba mówić o sobie i świecie tak, by niczego nie pomijać, nawet najbardziej kompromitujących szczegółów. Tylko w ten sposób – konfrontując się z prawdą na swój temat – można choć częściowo ogarnąć rozwibrowane wnętrze i materię życia, której włóknami były w przypadku Carrère'a ból, nawracające depresje i poczucie klęski. Książka została jednak przewrotnie zatytułowana: „Powieść rosyjska".

Kim był Carrère w 2002 r.? Trudno powiedzieć, że znajdował się w punkcie zwrotnym, gdyż w jego życiu zwrotów było zbyt wiele, by któryś z nich uznać za najważniejszy. Miał 45 lat. Był po rozwodzie. Dwa lata wcześniej opublikował swoje pierwsze naprawdę wybitne dzieło, książkę reporterską pt. „Przeciwnik", która została doceniona przez krytykę. Poza tym na liście jego publikacji znajdowało się kilka powieści, pracował jako scenarzysta. Był nagradzany, ale najważniejsze dzieła i zaszczyty, nie tylko literackie, ale też filmowe, miał wciąż przed sobą (na czele z nagrodą Księżnej Asturii, którą otrzymał w czerwcu 2021 r.).

Urodził się w zamożnej rodzinie mieszczańskiej. Jego matka, Hélène Carrère d'Encausse, to wybitna francuska historyczka, potomkini gruzińskich arystokratów, którzy wyemigrowali z Rosji po rewolucji z 1917 r., dożywotnia członkini Akademii Francuskiej. Pisząc o sobie i swojej rodzinie Carrère podkreśla, że należy do grona „dziedziców". Tym mianem socjologowie Pierre Bourdieu i Jean-Claude Passeron określili w 1964 r. ludzi, którzy wywodzą się z najwyższych klas społecznych. Dzięki zamożności rodziców oraz odebranemu wykształceniu od samego początku swobodnie poruszają się w społecznym labiryncie, a ich przywileje ułatwiają im realizację życiowych celów.

Gdy był chrześcijaninem, bał się, że utraci wiarę. Przerażała go też nietrwałość miłości, która wydaje się wiecznotrwała, a potem usycha. To wszystko działa jak samospełniająca się przepowiednia.

A jednak na drodze Carrère'a wciąż pojawiały (i nadal pojawiają) się przeszkody, których przyczyn należy szukać w jego problemach emocjonalnych. Raz ekstatyczny zachwyt, innym razem prostracja i myśli samobójcze. W pewnym momencie zaczął o tym pisać wprost; uczynił swoje skomplikowane emocje bohaterkami książek. W 2002 r. przeciwniczką zdawała się nawracająca depresja, z którą walczył za pomocą sesji psychoanalitycznych. Dwadzieścia lat później, w chwili największego załamania nerwowego, po którym trafił do kliniki, postawiono mu diagnozę: choroba dwubiegunowa typu II.

Walka ze sobą o siebie

Niemal cała twórczość Carrère'a to rozpisana na części historia walki z samym sobą. Jej stawką jest ucieczka z więzienia, w które zamienia się nasze wnętrze targane wyniszczającymi emocjami. Zanim jednak pisarz zaczął tę historię opowiadać świadomie, zanim uznał, że można, a nawet trzeba innych wpuścić do własnego świata, rozsiewał po swoich utworach rozmaite znaki, które z perspektywy czasu jawią się jako symptomy nieuświadomionego kryzysu.

W trzeciej powieści, „Wąsy" (1986), Carrère kreśli portret mężczyzny, który na co dzień wiedzie ustabilizowaną egzystencję. Poznajemy go w chwili, w której oddaje się ulubionemu rytuałowi: podczas wieczornej kąpieli goli zarost. Musi to robić dwa razy dziennie, ale wieczorna ceremonia jest ważniejsza, gdyż nie towarzyszy jej pośpiech. Partnerce, lekko zirytowanej długością jego kąpielowych sesji, tłumaczy, że to jedyny moment w ciągu dnia, w którym może praktykować ćwiczenia duchowe przybliżające go do prawdy o sobie i rzeczywistości. Siedzi zatem w wannie, goli się i nagle wpada mu do głowy zaskakująca myśl: a jakby tak pozbyć się wąsów. Jest do nich przywiązany, zapuścił je wiele lat temu, ale tego wieczora ma ochotę na radykalną zmianę wizerunku. Już kilka chwil po wyjściu z łazienki dociera do niego, że nikt, nawet najbliższa mu osoba, nie zauważa metamorfozy. Co więcej, wszyscy przekonują go, że nigdy nie miał wąsów!

Gdy powieść ukazała się we Francji, porównywano ją – na wyrost – do utworów Kafki, których bohaterowie również mierzą się z absurdalnymi sytuacjami. „Wąsy" można jednak interpretować w inny sposób: jako historię narcyza zamkniętego w pętli swojego „Ja". Jego główne zajęcie polega na pielęgnowaniu obrazu samego siebie. Chce tym obrazem władać niepodzielnie, gdyż kontrolę nad wizerunkiem utożsamia z kontrolą nad innymi i światem. Chwile spędzane w wannie nie są wcale wypełnione medytacją. Nie ma tu mowy o jakimkolwiek przeżyciu duchowym, skoro wszystko kręci się wokół „ego" – od niego się zaczyna i na nim się kończy.

Podczas wywiadu, którego Carrère niedawno mi udzielił, dowiedziałem się, że w tamtym czasie w ogóle nie wiedział, na czym polega medytacja i jakie może nam przynieść korzyści. Odruchowo kpił z tej praktyki, przekonany, że do prawdy o naszej osobowości można dotrzeć inną drogą. Nie był gotowy ani na konfrontację z samym sobą, ani też na wprowadzenie siebie do własnych książek. Potrzebę takiego gestu odczuł wiele lat później, gdy pracował nad reportażem o sprawie Jeana-Claude'a Romanda, który przez blisko dwie dekady z powodzeniem udawał lekarza, a następnie – gdy groziła mu demaskacja – postanowił zabić całą swoją rodzinę, by nie dowiedziała się o jego kłamstwach. Carrère był obserwatorem na procesie Romanda (nie pierwszy i nie ostatni raz zdarzyło mu się uczestniczyć w trudnych rozprawach sądowych).

Gdy postanowił napisać książkę, napotkał problem natury technicznej: nie wiedział, w jaki sposób opowiedzieć tę historię. Przez kilka lat gromadził materiały – prowadził korespondencję ze sprawcą,

odwiedził jego rodzinne strony, badał konteksty społeczne i polityczne – ale nie potrafił znaleźć odpowiedniej formy literackiej. W końcu doszedł do wniosku, że swoją książkę będzie w stanie napisać tylko wtedy, gdy się w niej uobecni. Przezwyciężył pisarską blokadę, gdy zanotował pierwsze zdanie: „W sobotę 9 stycznia 1993 roku rano, gdy Jean-Claude Romand zabijał żonę i dzieci, byłem z rodziną na wywiadówce w szkole Gabriela, naszego najstarszego syna" (przeł. Grażyna Majcher).

Tytułowy „przeciwnik" oznacza zło, które lęgnie się w naszym wnętrzu i przejmuje nad nami władzę. Carrère używa tego pojęcia w niedogmatyczny sposób, wskazując za jego pomocą pewną siłę, niekoniecznie nadprzyrodzoną, która potrafi pchnąć nas w stronę destrukcji – siebie i świata wokół nas. Romand nie umiał przeciwstawić się tej sile. Jako student medycyny podjął dwie niezrozumiałe decyzje: najpierw nie podszedł do egzaminu poprawkowego, a następnie poinformował bliskich, w tym swoją przyszłą żonę, że zaliczył sesję z wynikiem pozytywnym. Od tej chwili żył w dwóch światach – zmyślonym i prawdziwym.

Gdy jego piętrowa konstrukcja zaczęła się kruszyć, zabił wszystkich, na których mu zależało; nie chciał utracić kontroli nad obrazem samego siebie, który przez wiele lat im podsuwał. Przypominał bohatera „Wąsów", przy czym tamten – uwaga, spoiler! – z tego samego powodu (by nie utracić kontroli) postanowił unicestwić siebie. Carrère ujawnił się w „Przeciwniku" z dwóch powodów: uznał, że jako obserwator ma wpływ na to, co dzieje się w opisywanej rzeczywistości (modyfikuje ją swoją obecnością), i doszedł do wniosku, że przeciwnik jest w każdym z nas, również w nim, a zatem jest to również jego historia.

Życiowa szamotanina

Bohaterki i bohaterowie prozy Carrère'a (z nim samym na czele) nieustannie walczą ze sprzecznymi pragnieniami, próbują uporać się ze skrajnymi namiętnościami duszy, dążą do jakiegoś celu, by następnie zmienić całkowicie trajektorię swojego losu i zacząć wszystko od nowa. Chcą być sobą, ale nie wiedzą, co to naprawdę znaczy, więc gdy tylko nadarza się okazja, podejmują próbę bycia kimś innym.

Gdy nasze „Ja" okazuje się za ciasne, wyznał Carrère podczas naszej rozmowy, a niemal zawsze prędzej czy później dochodzimy do takiego wniosku, wyobrażamy sobie alternatywne wersje naszego życia. Pokusa, by przekroczyć granice pułapki, w którą z czasem zmienia się nasza persona, jest potężna. Właśnie dlatego Carrère napisał fabularyzowaną biografię Eduarda Limonowa, rosyjskiego pisarza i polityka, przewodniczącego Partii Narodowo-Bolszewickiej. Gdy zapytałem go o tę książkę, powiedział, że podziwia zmarłego przed rokiem Limonowa za nietzscheańską energię, która zmuszała go do ciągłej metamorfozy i testowania nowych form życia. „Nie obawiał się niczego, najmniej zaś ostracyzmu ze strony społeczności, w których na przestrzeni lat funkcjonował" – mówił o Limonowie Carrère.

Wielopostaciowość bywa u francuskiego pisarza również źródłem udręki. W 2014 r. opublikował „Królestwo" (bestseller również w Polsce), przez wielu uznawane za jego najwybitniejsze osiągnięcie literackie. Z jednej strony jest to opowieść o gwałtownym nawróceniu, którego w pewnym momencie doświadczył. Było ono tak wszechogarniające, że przez okres trzech lat Carrère nie tylko konsekwentnie praktykował chrześcijańskie rytuały, ale też codziennie przez godzinę zajmował się lekturą i komentowaniem Ewangelii Jana. Z drugiej zaś – to osobista historia pierwszych chrześcijan, ukazująca osoby i procesy, które doprowadziły do powstania nowej religii. Rzecz została napisana z kilkunastoletniego dystansu przez człowieka, który odszedł już od wiary, ale nie stracił nią zainteresowania.

W jednym z rozdziałów Carrère analizuje List do Galatów św. Pawła, a mówiąc ściśle – sam jego początek, w którym apostoł napomina wiernych w galacyjskim Kościele, że nie powinni wierzyć ludziom głoszącym inną ewangelię niż ta, którą on im przekazał. Pisze, że nawet gdyby sam pewnego dnia kazał im wierzyć w coś innego, należałoby go przekląć. Gdy przyjaciel Carrère'a przeczytał ten fragment, powiedział mu, że tak naprawdę mówi w nim o sobie, o swojej największej obawie – że pod wpływem jakiegoś czynnika stanie się kimś innym. Gdy był chrześcijaninem, bał się, że utraci wiarę i stanie się sceptykiem. Dotyczy to każdej sfery życia, w którą daje nam wgląd. Przeraża go nietrwałość miłości, która jednego dnia wydaje mu się wiecznotrwała, a po jakimś czasie usycha i traci dla niego znaczenie. Przeraża go przygodność pasji, którym oddaje się bez reszty, by później je porzucić. Działa to wszystko niczym samospełniająca się przepowiednia. Obawa, że kogoś lub coś się utraci, jest tak duża, że zaczyna się do tego dążyć, by uprzedzić los i znaleźć się w beznadziejnej, ale znajomej – a przez to w jakimś perwersyjnym sensie bezpiecznej – sytuacji kogoś, kto wszystko musi zaczynać od nowa.

O tym jest ostatnia książka Carrère'a, „Joga", wydana właśnie po polsku. Miała być przewodnikiem po praktykach medytacyjnych, a stała się kolejnym rozdziałem opowieści o duchowej i życiowej szamotaninie autora. W trakcie pracy nad nią pisarz rozstał się ze swoją drugą żoną, która później oskarżyła go o to, że mija się z prawdą i łamie ich rozwodową umowę, zgodnie z którą nie wolno mu pisać o tym etapie ich związku. Zapytałem go o granicę między prawdą a fikcją w jego twórczości, zwłaszcza zaś w „Jodze", w której napisał, że postawiony przed trybunałem aniołów obroniłby każde zapisane przez siebie zdanie dotyczące jego osoby. Powiedział, że ze względu na innych musiał w tej książce pewne rzeczy zmienić, ale 95 procent to prawda. Żałuje tych 5 procent, żałuje, że nie mógł powiedzieć wszystkiego, że nie zdołał zrealizować po raz kolejny swojego celu, ale w gruncie rzeczy cały ten życiowy i duchowy projekt jest klęską.

Próbował jej przeciwdziałać – psychoanalizą, sztukami walki, medytacją, wiarą, miłością – ale tylko jedno towarzyszy mu przez cały czas, tylko jedno go nie zawiodło i tylko tego jednego nie porzucił: literatury.

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ

Emmanuel Carrère **JOGA**, *przeł. Magdalena Kamińska-Maurugeon, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021*

25 LISTOPADA o godz. 19.00 – w ramach cyklu Grzegorza Jankowicza pt. „Natura przyszłości" – odbędzie się premiera rozmowy z Emmanuelem Carrère'em. Będzie ją można obejrzeć (nie tylko podczas premiery, ale też później) na FB „Tygodnika Powszechnego", FB Festiwalu Conrada, kanale YouTube KBF-u oraz platformie PlayKraków.

Święty Marcin wśród Pól

DOROTA KOZIŃSKA
Z LONDYNU

Nie da się głosić Prawdy na pusty żołądek – to dewiza parafii St Martin-in-the-Fields. Niezależnie od działalności dobroczynnej przełożeni kościoła zadbali o obecność wielkiej muzyki w jego murach i uczynili sławnym.

DOMENA PUBLICZNA

Żywot Marcina, biskupa Tours, był wystarczająco skomplikowany i bez natchnionych upiększeń późniejszych hagiografów. Święty „Kościoła niepodzielonego", czczony na równi przez katolików, prawosławnych i anglikanów, jeden z pierwszych Wyznawców, czyli otoczonych kultem świadków wiary, którym udało się zejść z tego świata śmiercią naturalną, uchodzi także za pioniera ruchów pacyfistycznych i nowoczesnego humanitaryzmu. Wbrew świadectwu Sulpicjusza Sewera nie uciekł jednak z domu, by oddać się Bogu, nie został też siłą odwiedziony od chrztu przez ojca-brutala ani przemocą wcielony do armii.

Wygląda na to, że syn panońskiego trybuna po prostu minął się z rodzinnym powołaniem. W dzieciństwie przeniósł się z rodziną do Ticinum w Galii Przedalpejskiej – kiedy ojciec w nagrodę za wierną służbę otrzymał status weterana, a wraz z nim liczne przywileje i spory kawałek ziemi pod uprawę. Istotnie, Marcin zawiódł oczekiwania swego protoplasty, który nie bez przyczyny nadał mu imię związane z rzymskim bogiem wojny.

Nieskory do bitki dziesięciolatek wstąpił w szeregi miejscowych katechumenów, chrztu jednak nie przyjął – nie tylko ze strachu przed rodzicami, ale też z woli biskupa, który z jednej strony nie chciał zadzierać z emerytowanym trybunem, z drugiej zaś uważał, że do wtajemniczenia chrześcijańskiego trzeba jednak dorosnąć. Kiedy przyszła pora na Marcina, i tak został legionistą, świadom, że jako syn byłego dowódcy kohorty nie ma innego wyboru. Zdaniem części współczesnych historyków służył w wojsku znacznie dłużej, niż podaje Sulpicjusz Sewer, być może nawet ćwierć wieku.

Nieszczególnie się jednak w tym rzemiośle sprawdzał. W przeddzień wyprawy na Germanów próbował wynegocjować zamianę dodatku motywacyjnego w postaci podwójnego żołdu na ostateczne zwolnienie z armii. Aresztowany za tchórzostwo, stanął w obliczu dalszych poważnych konsekwencji. Zachował się wówczas jak prawdziwy obdżektor: zadeklarował, że pójdzie do boju w pierwszym szeregu, broniąc się tylko znakiem krzyża. I wtedy stał się cud: Germanie poprosili o pokój.

Bez względu na to, czy opuścił armię jako młokos, czy też dojrzały mężczyzna, ochrzcił się tuż przed odejściem do cywila. Na miano ikony miłości bliźniego zapracował sobie czynem, który ostatecznie przesądził o jego decyzji zostania chrześcijaninem: w drodze do miasta Ambianum, kiedy napotkał półnagiego żebraka i nie mogąc dać mu jałmużny, okrył go odciętą mieczem połową oficerskiego płaszcza. Jego późniejsze losy są już historią nietypowego biskupa Caesarodunum (dzisiejsze Tours), który zrezygnował z dobrodziejstw hierarchii na rzecz życia w ascezie, głoszenia wiary „w terenie" i bezwzględnej walki z pogaństwem. Bałwochwalcze posągi i święte gaje niszczył z zapałem, ludziom jednak wybaczał i brał na siebie ich grzechy. Umarł na polu misyjnej chwały, z dala od swojej diecezji. Jego zwłoki w tajemnicy spławiono rzeką Vienne i Loarą. Uroczysty pogrzeb odbył się 11 listopada 397 r. w Tours.

Drzwi wiecznie otwarte

Tego właśnie dnia obchodzi się święto Marcina Biskupa. I tak się dziwnie złożyło, że właśnie 11 listopada w wagonie kolejowym pod francuskim Compiègne podpisano rozejm między ententą a Cesarstwem Niemieckim, kończąc czarną noc I wojny światowej.

Jeszcze dziwniejszym zrządzeniem losu w pierwszych miesiącach konfliktu londyńską parafię St Martin-in-the-Fields objął pacyfista Dick Sheppard i przez całą kadencję zarządzał nią niczym Święty Marcin wcielony. Też był kiedyś wojskowym: radykalnie zmienił poglądy

Wnętrze kościoła St Martin-in-the-Fields w Londynie, grafika opublikowana w albumie „Microcosm of London" z 1830 r.

pod wpływem koszmarnych przeżyć na II wojnie burskiej. Tuż po wybuchu Wielkiej Wojny, już jako pastor anglikański, zgłosił się do posługi we francuskim szpitalu polowym, gdzie kilkakrotnie obronił niemieckich żołnierzy przed linczem rozjuszonego tłumu. W 1915 r. przekształcił swoją świątynię w ośrodek pomocy wszelkim potrzebującym i nazwał ją Kościołem Wiecznie Otwartych Drzwi. Co dzień karmił w niej i nocował bezdomnych, protesty oburzonych ucinając jednym zdaniem: „Nie da się głosić Prawdy na pusty żołądek". W 1924 r. poprowadził z St Martin-in-the-Fields pierwszą w historii transmisję radiową nabożeństwa. Chwalił się później listami od wiernych, którzy dziękowali mu za możliwość śpiewania hymnów w towarzystwie kompanów od szklanki w pobliskim pubie.

Być może to *genius loci*.

Kilkanaście lat temu archeolodzy odkryli pod kościołem cmentarzysko i mnóstwo artefaktów świadczących na korzyść tezy, że ośrodek kultu chrześcijańskiego mógł tutaj funkcjonować już w czasach Marcina z Tours – najprawdopodobniej wzniesiony na miejscu świętego gaju i obróconych w perzynę pogańskich ołtarzy. Pierwszy kościół św. Marcina powstał tu w XIII wieku – istotnie „na polach", poza obrębem murów Londynu. Czy sprawujący nad nim pieczę mnisi z opactwa westminsterskiego kierowali się nauką byłego legionisty, „co za płaszcz niebo kupił" – trudno rozstrzygnąć. Wiadomo, że w 1542 r. Henryk VIII kazał zbudować na tej ziemi nową świątynię: żeby ofiary tajemniczej zarazy zwanej angielskimi potami pielęgnować i grzebać jak najdalej od królewskiego pałacu Whitehall. W ramach dodatkowego zabezpieczenia polecił wznieść przed nią pręgierz – na postrach lżej chorym, w obawie przed załamaniem parafialnego systemu opieki zdrowotnej.

Ceglana konstrukcja kościoła okazała się na tyle nietrwała, że już w 1710 r. parlament podjął uchwałę o wzniesieniu nowego gmachu, przeznaczając na ten cel niebagatelną sumę 22 tysięcy funtów szterlingów. Projekt świątyni powierzono szkockiemu architektowi Jamesowi Gibbsowi, dyskretnemu wyznawcy katolicyzmu, który w swoich budowlach umiejętnie przemycał elementy „klasycyzującego" baroku spod znaku Carla Fontany, pozostając przy tym żarliwym zwolennikiem witruwiańskiej triady użyteczności, trwałości i piękna. Ze względu na szczupłość miejsca komisja odrzuciła jego pierwotny zamysł wzniesienia gmachu na planie rotundy. Gibbs poszedł więc na całość i zaproponował rozwiązanie ucieleśniające ideę „Kościoła niepodzielonego": z bryłą pozbawioną z zewnątrz jakichkolwiek symboli religijnych, zwieńczoną portykiem w stylu korynckim, z wyrastającą z dachu barokową wieżą i jasnym wnętrzem, doświetlonym oknami bez witraży. Budowę ukończono w 1726 r. Gmach z początku wzbudzał kontrowersje, ale już wkrótce stał się wzorcem anglikańskiej architektury kościelnej, powielanym w nieskończoność na całym obszarze Imperium.

Od Marrinera do Gardiniera i dalej

Niezależnie od działalności dobroczynnej, którą parafia St Martin-in-the-Fields już w XVIII w. objęła miejscową biedotę, dając dorosłym pracę przy przędzeniu lnu i gręplowaniu wełny, dzieciom zaś zapewniając podstawowe lekcje czytania, pisania oraz rachunków, przełożeni świątyni zatroszczyli się również o godną oprawę muzyczną nabożeństw. Zatrudniali najprzedniejszych organistów, których poczet otworzył John Weldon, uczeń Henry'ego Purcella i twórca muzyki scenicznej do „Burzy" Szekspira, wystawionej w 1712 r. w Drury Lane Theatre.

W XX stuleciu, m.in. za sprawą zapoczątkowanej przez Shepparda współpracy z BBC, kościół przemienił się także w tętniącą życiem salę koncertową. W 1959 r. został siedzibą Academy of St Martin in the Fields, orkiestry kameralnej założonej z inicjatywy skrzypka Neville'a Marrinera, która odegrała przełomową rolę w brytyjskim odrodzeniu wykonawstwa historycznego muzyki barokowej i klasycystycznej. Kawiarnia w krypcie od lat gości muzyków jazzowych. Mniej zamożni melomani mogą nacieszyć się bezpłatnymi koncertami popołudniowymi. Parafia organizuje też muzyczne wydarzenia edukacyjne, imprezy dla rodzin i słynne nocne koncerty przy świecach. Dwa miesiące temu kościół St Martin-in-the-Fields przyjął w gościnę wszystkie trzy zespoły Johna Eliota Gardiniera: Monteverdi Choir, English Baroque Soloists oraz Orchestre Révolutionnaire et Romantique. W programie pierwszego grudniowego wieczoru w nowej siedzibie zaplanowano oratorium „Dzieciństwo Chrystusa" Hectora Berlioza.

Pośród tego bogactwa wykonania muzyki polskiej trafiały się sporadycznie i raczej z przypadku, tym bardziej więc trzeba docenić inicjatywę Pawła Łukaszewskiego, któremu przy współpracy Instytutu Adama Mickiewicza udało się zorganizować w St Martin-in-the-Fields listopadowy festiwal polskiej muzyki sakralnej Joy and Devotion.

Łukaszewski jest wybitnym przedstawicielem tego nurtu w twórczości współczesnej, znacznie wyżej cenionym na Wyspach niż w ojczyźnie, gdzie krytyka wciąż z rezerwą podchodzi do jego dorobku. Tymczasem kompozycje Łukaszewskiego świetnie mieszczą się w spektrum brytyjskiej wrażliwości na *sacrum*: doskonale skonstruowane pod względem formalnym, ze znawstwem eksplorujące możliwości i ograniczenia ludzkiego głosu, potrafią przemówić do każdego z tutejszych odbiorców, od dziecka oswajanych z muzyką chóralną – najnaturalniejszym, niewymagającym żadnych dodatkowych nakładów instrumentem wspólnoty.

Pojęcia „antymodernizmu" i „odnowionej tonalności" nie kojarzą się Brytyjczykom z niczym niestosownym. W tych samych kategoriach prostoty, subtelnej gry z przeszłością oraz czystości wyrazu mieści się również twórczość Johna Tavenera, której wartości nikt w Polsce nie kwestionuje. Może brak nam dystansu, może „cudzą" duchowość łatwiej nam przyjąć niż własną, niewykluczone też, że do tego, by muzyka przemówiła do nas w pełni, potrzeba wykonawców naprawdę fenomenalnych.

A o takich Łukaszewski zadbał i takich też obiecuje pozyskać w następnych odsłonach nowego festiwalu. Jako kompozytor schował się tym razem w cieniu innych, włączając tylko jeden swój utwór, „Prayer for those who shall return", do występu londyńskiego Tenebrae Choir pod kierunkiem Nigela Shorta, dawnego członka zespołu King's Singers. W ramach imprezy zmieścił się także koncert aktywnego od czterech lat zespołu Echo pod dyrekcją Sarah Latto oraz wieczór inauguracyjny z udziałem organisty Ruperta Jeffcoata i jednego z najbardziej ↦

↦ obiecujących ansambli wokalnych w Wielkiej Brytanii, znanej także polskim melomanom grupy The Gesualdo Six, założonej w 2014 r. przez młodego śpiewaka, dyrygenta i kompozytora Owaina Parka. W programie całości – obok najstarszych zabytków polskiej muzyki wokalnej – znalazły się także perły rodzimego renesansu i baroku, dzieła klasyków współczesności oraz utwory przedstawicieli młodego pokolenia kompozytorów, w tym uczniów Pawła Łukaszewskiego.

Wpadłam do Londynu na wspomnianą już inaugurację – żeby nacieszyć się nieprawdopodobną spójnością sześciu całkiem odmiennych głosów wchodzących w skład The Gesualdo Six. Ich śpiew jest jak mądra rozmowa, podkreślająca każdy gest retoryczny, każdą chropawość i gładkość faktury, zawartą w muzycznej formie tajemnicę. Przede mną odsłonił nareszcie fenomen Krzysztofa Borka, domniemanego kapelmistrza wawelskich Rorantystów. Niech wybaczą mi żywi i umarli autorzy pozostałych kompozycji: w pamięci została mi tylko „Missa Mater Matris", przeróbka „Missa Mater Patris" Josquina des Prés – niby nieodległa od oryginału, a jednak miększa, czulsza, pełna dziwnie znajomych współbrzmień. Może tego mi dotąd brakło w nielicznych polskich wykonaniach utworów Borka: mistrzowskiego obycia ze stylem pierwowzoru, a zarazem świeżości spojrzenia na twórczość zupełnie nieznanego kompozytora. Umiejętności spojrzenia w partyturę z równym przejęciem i wzruszeniem, z jakimi Marcin – jeszcze nie święty – spojrzał kiedyś w oczy przemarzniętego nędzarza na drodze do Ambianum.

The Gesualdo Six podzielili się z Borkiem wszystkim, co mają. I nic im od tego nie ubyło. Pięknie odebrać taką naukę w przybytku Świętego Marcina wśród Pól. © DOROTA KOZIŃSKA

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".**
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

Zaklęta w anegdotę

ANITA PIOTROWSKA

Co by było, gdyby kontrowersyjną i niedocenioną za życia artystkę wyjąć z utrwalonych ram i pokazać z przymrużeniem oka jej wywrotowy potencjał?

Na początku trzeba wyjaśnić, czym ten film zdecydowanie nie jest. Gdyby nosił po prostu tytuł „Kalina" czy, jak miało być pierwotnie, „Jesienna dziewczyna", można by oczekiwać ekranowej biografii albo tragicznego studium gwiazdorstwa, które przerosło swój marny czas. Nie dostajemy także klasycznego musicalu, choć piosenek w nim cały kramik i na dodatek wzorowo wykonanych przez Marię Dębską. Trudno również upatrywać w obrazie Katarzyny Klimkiewicz realistycznego szkicu do portretu PRL-u – jeśli już, to bardziej tego z kolumn „Przekroju" niż „Trybuny Ludu", co zwiastuje fikuśna kolażowa czołówka.

Właśnie w tej gatunkowej nieuchwytności, historycznej dezynwolturze i estetycznej przesadzie znajduje się klucz do filmu „Bo we mnie jest seks". Kalina Jędrusik z dawnego symbolu seksu staje się tu ikoną czegoś poza czasem: hiperkobiecości, której aktorka stała się ongiś zakładniczką (i to w dużej mierze na własne życzenie), aczkolwiek starała się zagospodarować ów dar nadmiaru na własnych zasadach. We współczesnej fantazji próbuje nawet wywołać z jego pomocą małą rewolucję.

Zanim jednak film „duszy latarnię ze zmysłów wygarnie", podkopie gomułkowski patriarchat i spróbuje odzyskać aktorkę dla kobiet epoki MeToo, następuje rozbiór Kaliny. Nie chodzi tu o obnażanie legendarnego dekoltu z krzyżykiem czy dokopywanie się do psychologicznych głębin, lecz raczej o rozbicie tej postaci na klisze, jakie przez lata budowały publiczny wizerunek Jędrusik. Wiadomo, że na potęgę uwodziła, piła, klęła, ale też, że prawdziwie kochała, tryskała poczuciem humoru, a w czasach powszechnego dwójmyślenia waliła szczerością między oczy. Scenariusz Klimkiewicz i Patrycji Mnich dodaje tym mechanicznym skojarzeniom niemal komiksową ramkę, takąż kreskę i dialogowe „dymki".

Również życie towarzyskie i uczuciowe polskich elit kulturalnych początku lat 60. potraktowane zostało nader umownie. Stanisław Dygat (Leszek Lichota), Kazimierz Kutz (Borys Szyc), Tadeusz Konwicki (Paweł Tomaszewski) funkcjonują w filmie na zasadzie luźnej dykteryjki, bo nie oni są najważniejsi. Nie oznacza to bynajmniej, żeby ich kosztem odkrywać jakąś prawdę o samej Kalinie. Twórczynie „Bo we mnie jest seks" mają na nią zupełnie inny pomysł. Opowiadają, co by było, gdyby kontrowersyjną i niedocenioną za życia artystkę wyjąć na chwilę z utrwalonych ram i pokazać z przymrużeniem oka jej wywrotowy potencjał. Jeżeli ktoś taką niezobowiązującą konwencję kupi, dobra zabawa gwarantowana.

Zresztą Polska Ludowa z okresu „małej stabilizacji" miała swój niewątpliwy szyk i seksapil, podkręcony jeszcze na ekranie. Od pierwszych ujęć film wabi ówczesnym dizajnem: neonami, wnętrzarstwem, arcykobiecym krojem sukien... Chociaż telewizja jest jeszcze czarno-biała, w tym świecie rządzi kolor. Wszystko – ludzie oraz rzeczy – wydaje się świeżo malowane i maksymalnie wystylizowane. A że przy tym nieco kartonowe? Potraktujmy to metaforycznie. Zanim Kalina popadnie w niełaskę u publiczności i u władzy, oglądamy ją na szczytach popularności. Jako gwiazdę kina, estrady i telewizji, zwłaszcza Kabaretu Starszych Panów, gdzie liczne talenty Jędrusik mogły rozkwitać jak nigdzie indziej. Widzimy kobietę na wysokich obcasach i na wiecznym rauszu, przemierzającą tym samym roztańczonym krokiem ważne komitety, domowe balety i bankiety w warszawskim SPATiF-ie. To ona, a za nią autorka zdjęć Weronika Bilska, nakłada sztuczny filtr na ówczesną rzeczywistość. Jej prawdziwe kontury, wyznaczane przez opresyjny ustrój, który na chwilę poluzował śrubę, zostają zatarte, ale przecież seksistowskie teksty i gesty, będące wówczas na porządku dziennym, już nie.

BARTOSZ MROZOWSKI / NEXT FILM

Maria Dębska w roli Kaliny Jędrusik w filmie „Bo we mnie jest seks" w reżyserii Katarzyny Klimkiewicz

Klimkiewicz widzi w Kalinie buntowniczkę, która nie ogranicza swej wolności do ścian sypialni. Owszem, sypia z kim chce i pozostaje w tym bezwzględnie uczciwa, nie bacząc na pozycję absztyfikantów i własne korzyści. Tocząc erotyczną grę, a następnie idąc na otwartą wojnę z szefem działu rozrywki TVP (Bartłomiej Kotschedoff), czyli z typowym aparatczykiem, jaki lubi się odradzać w różnych ustrojach, staje się ikoną zupełnie innej kategorii. Tę przemianę pozwala dostrzec nagrodzona na festiwalu w Gdyni kreacja Dębskiej, która na pierwszy rzut oka wydaje się czysto imitacyjna, lecz z czasem ujawnia swój ironiczny pieprzyk.

Jest tylko jedna scena, gdy przez chwilę możemy zobaczyć Kalinę bez makijażu – przed łazienkowym lustrem, bez tych wszystkich zdobywanych z trudem francuskich szminek czy doklejanych rzęs, tworzących perfekcyjny i jedyny w swoim rodzaju wizerunek. Patrzymy jednak wtedy nie na filmową Jędrusik, ale na twarz Marii Dębskiej – w tym momencie nie musi już udawać Kaliny. Może co najwyżej, a my razem z nią, wyobrazić ją sobie naprawdę „nagą", bo przecież nawet w osławionej nagości było u niej coś z kostiumu. I chociaż fabuła kończy się triumfem głównej bohaterki jako podwójnej ikony (seksu i zwycięstwa nad seksizmem jednocześnie), film nie zmusza się do odpowiedzi, jak to było ze słynną aktorką. Czy naprawdę kąpała się w szampanie? Czy osobiście wykłócała się z babą od cielęciny, kiedy małżonek toczył intelektualne pogawędki z zaprzyjaźnionym Tadziem? Na zawsze została zaklęta w plotkę i anegdotę, dlatego reżyserka stara się chociaż trochę odkurzyć i odczarować ten obraz, odbity w cudzych lustrach.

Katarzyna Klimkiewicz ma na koncie wyraziste, zanurzone we współczesności portrety kobiece – w nagradzanej krótkometrażówce „Hanoi – Warszawa" (2009) czy w brytyjskim filmie „Zaślepiona" (2012). Na planie „Bo we mnie jest seks" cofa się aż o sześć dekad w dowcipny, wyimaginowany świat, po to jednak, byśmy spojrzeli na jej bohaterkę na nowo, z perspektywy dnia dzisiejszego i polityczno-obyczajowych przemian. Niemniej czegoś temu finezyjnemu, nieustannie puszczającemu do nas oko filmowi brakuje. Może formalnego szaleństwa, a już na pewno bardziej dopracowanego musicalowego sznytu, chociażby w imię dekonstrukcji tego gatunku.

Po tym, co na owym gruncie ostatnio się wyczynia, również w imię rozmaitych postępowych treści (patrz: „Rocketman" Dextera Fletchera, „Annette" Leosa Caraxa, na rodzimym poletku zaś „Córki dancingu" Agnieszki Smoczyńskiej), chciałoby się więcej kontrolowanej anarchii, brawury, campu. I lepiej zsynchronizowanych z fabułą piosenek Jędrusik. Bo każda z nich ma w sobie coś z kunsztownej filmowej miniatury i aż się prosi o płynniejsze wpisanie w ciągłą narrację. Nawet jeśli wykonywała te utwory osoba tak bardzo „nieciągła", wewnętrznie sprzeczna i wymykająca się wszelkim schematom. ©

BO WE MNIE JEST SEKS – *reż. Katarzyna Klimkiewicz. Prod. Polska 2021. Dystryb. Next Film.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Susza

Kryminał, reż. Robert Connolly, Australia/USA 2021, MOJEeKINO, od 30 XI

Wyśmienity przykład kina z Antypodów, gdzie klimat, pejzaż, indywidualna historia i zbiorowa trauma stają się jednym. Podobnie zresztą jak czas teraźniejszy i przeszły. Eric Bana wciela się w postać detektywa, który przyjeżdża do rodzinnego miasteczka na pogrzeb starego przyjaciela, a zagadka jego śmierci każe skonfrontować się z własnymi demonami.

2. Jak woda

Dokumentalny, reż. Megan Mylan, USA 2021, HBO GO

W jaki sposób wojna, utrata domu i przymusowa emigracja wpływają na losy podstawowej komórki społecznej? Syria, Turcja, Grecja, Niemcy, USA – na przestrzeni pięciu lat reżyserka towarzyszyła w tułaczce rozdartym syryjskim rodzinom. Efektem jest intymne, nakręcone z wyczuciem studium bliskości, tęsknoty i nadziei.

3. Pomiędzy

Dramat, reż. Rebecca Hall, USA 2021, Netflix

Debiutująca za kamerą aktorka miała ambitny pomysł: opowiedzieć historię Afroamerykanek, którym w latach 20. XX wieku jaśniejszy odcień skóry dawał szanse na inne życie, ale też komplikował poczucie tożsamości. Udało się połowicznie, choć sam problem i wizualna forma, szczególnie gra czerni i bieli, zasługują na uwagę.

4. Zola

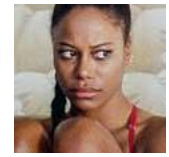

Komedia, reż. Janicza Bravo, USA 2020, VoD

Nie twórca „Nany", lecz współczesna pracownica seksualna z Detroit jest tytułową bohaterką filmu. A kanwą scenariusza stały się jej autentyczne i niezwykle popularne wpisy na Twitterze relacjonujące pełną przygód i awantur wyprawę na Florydę. To w dużej mierze ich poetyka dodaje filmowi bezczelności, werwy, ale także specyficznego humoru.

JAN

Klata:
Kiedy my żyjemy

Żyjemy w kraju, w którym pisarz ciągany jest po sądach za nazwanie prezydenta po imieniu. Żyjemy w kraju, w którym pan – za przeproszeniem – Bąkiewicz dostaje 3 mln PLN od narodowego wicepremiera z Ministerstwa Kultury. Żyjemy w kraju rządzonym przez grupę prawdziwych fachowców. Zapewne odwieczny polski gen sprzeciwu zadecydował o oddaniu im władzy na długie sześć lat temu, dzięki czemu coraz wyraźniej widać w owej ekscentrycznej decyzji przejaw specyficznie wisielczego poczucia czarnego humoru. Najwyraźniej bolesne skutki przegranej wojny w Wietnamie odcisnęły ponure piętno na Prezesie, dlatego z sukcesem chronimy granicę przed dziennikarzami i lekarzami, a siebie przed jakimkolwiek konstruktywnym działaniem. Atakowana ze Wschodu i Zachodu Polska opiera się tęczowej nawale na przedmurzu chrześcijaństwa.

Żyjemy w kraju, gdzie samospełniające się czarne przepowiednie stają się normą, gdzie praktycznie nie ma dyplomacji, a wszystkie działania włodarzy podporządkowane są podwórkowym sondażowym słupkom. Żyjemy w kraju, gdzie każdy ma nie tyle swoje Westerplatte, ile swoje 500 plus. I tak się Polak mały pomalutku, po cichutku turla, przymykając oko, jak trzeba – wszak z władzą jeszcze nikt nie wygrał.

Żyjemy w permanentnej sasinadzie „nowych elit", z wolna się przyzwyczajając, po prostu, tracąc poczucie, że można inaczej, sensowniej, mniej chamsko niż przysłowiowy Terlecki, uczciwiej niż – dajmy na to – Obajtek czy inny Glapiński. Inflacja czy pandemia, nie ma znaczenia, w sumie sumienie czyste, jest jak jest, a tamci to niby byli lepsi? Oni wszyscy jednacy. Czy wszystkie granice bezczelności, buty, głupoty i kompromitacji zostały przekroczone? Jeszcze nie wszystkie, więc o co chodzi?

Żyjemy w kraju, w którym nie chroni się ludzkiego życia, żeby nie drażnić suwerena szczepionką. Żyjemy w kraju, w którym bezcześci się grób przodków aktora, który odważył się mieć sumienie. Jeszcze Polska nie umarła, kiedy my żyjemy. Ważne, że nasi biją. W tarabany. ©

Lektor:
W labiryncie niemczyzny

▪ *Piotr de Bończa Bukowski, Paweł Zarychta*
MIĘDZY LITERATURAMI. ROZMOWY Z TŁUMACZAMI O PISARZACH JĘZYKA NIEMIECKIEGO
Universitas, Kraków 2021, ss. 290, seria „{wy}tłumaczenia"

W 2007 r. Angelusa, Literacką Nagrodę Europy Środkowej, otrzymał Austriak Martin Pollack za „Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu". W pewnej gazecie ukazał się o niej duży tekst – jednak bez podania autora przekładu, Andrzeja Kopackiego. „Tłumacz jeszcze był nikim" – komentuje dziś Kopacki i dodaje ironicznie, że nie ma co narzekać, bo „w szwajcarskim kantonie Appenzell-Innerrhoden dopiero w 1990 r. przyznano kobietom prawa wyborcze".
Tutaj tłumacze są postaciami pierwszego planu i przewodnikami po literaturze Niemiec, Austrii i Szwajcarii.
Oto oni: Jacek St. Buras, Jakub Ekier, Elżbieta Kalinowska, Andrzej Kopacki, Sława Lisiecka, Małgorzata Łukasiewicz, Ryszard Wojnakowski, Tadeusz Zatorski. Grono znakomite i z wielkim dorobkiem. Przypomnijmy też przedsięwzięcia, o których się tu wspomina: Seria Pisarzy Języka Niemieckiego Wydawnictwa Literackiego (1996-2005), w której Radzie programowej byli Małgorzata Łukasiewicz, Krzysztof Jachimczak i Ryszard Krynicki, oraz koordynowany przez Burasa program Kroki / Schritte Fundacji S. Fischera.
W rozmowach mówi się nie tylko o sukcesach. „Fausta" w przekładzie Burasa wyreżyserował Jarocki, Buras przywrócił też scenom polskim Heinricha von Kleista. Jednak tłumaczony przez niego Christoph von Ransmayr nie odniósł sukcesu, podobnie jak pierwsza po polsku powieść Arno Schmidta. Lepiej powiodło się Kopackiemu z Hansem Magnusem Enzensbergerem. Małgorzata Łukasiewicz, przekładająca Wagnera, Manna, Hessego i Süsskinda, dla nas jest przede wszystkim tłumaczką Szwajcara Roberta Walsera oraz Niemca W.G. Sebalda. Sława Lisiecka – to Thomas Bernhard, choć także Nietzsche, Gottfried Benn i Juli Zeh. Wojnakowski – to nowe przekłady Remarque'a, ale też poetki austriackie i Michael Ende. Ekier czyta na nowo po polsku Brechta, Celana i Reinera Kunze.
I jeszcze Tadeusz Zatorski, dający nam Winckelmanna, prozę Heinego oraz nowych teologów na czele z Hansem Küngiem. I zadający poważne pytanie: Czy Heine, który tak Polski bronił, rzeczywiście nas kochał? A może patrzył na nas trzeźwo? Nad Wisłą, pisał, „szlachetni Polacy mieszkają, / Co wszy na sobie iskają, / Nad heroicznymi swymi niedolami / Śpiewnie płacząc pod wierzbami". Zatorski komentuje: „Toż to najkrótsza recenzja współczesnej naszej polityki historycznej!". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Okazja bez święta

Osiemdziesiąt dolarów kosztują kolczyki, które chętnie przyjąłbym w prezencie, gdyby dopuszczały to wzorce zachowań i wyglądu przypisane do mojej płci (rozumianej w ujęciu kulturowym, bo w zdradliwe meandry dyskusji o cielesności nie będziemy się tu wdawać). Sklep internetowy „New York Review of Books" nie rozróżnia gadżetów na kategorie „dla niej" i „dla niego", ale za to ma np. piękną kategorię „dla idealisty/idealistki", w której właśnie widnieją te kolczyki z cytatem z Walta Whitmana: „Stawiaj dużo oporu, rzadko bądź posłuszny/a".

Jestem prawie pewien, że prestiżowy dwutygodnik literacko-polityczny zaraz mi przyśle, jak co roku, wiadomość, że także u nich nadchodzi Czarny Piątek, może więc jest szansa, że kolczyki będą za pół ceny. Jest w tym wrzasku wielkich liter w nagłówkach maili i namolnym głosie lektorów reklam nuta desperacji, jakby wszyscy ci, którzy żyją z wpędzania nas w spiralę coraz bardziej wydumanych potrzeb, obawiali się, że toksyczny omam pryśnie i ludzie w tym roku przestaną dawać się rozpruwać. Że nie uda się sprzedać tego wszystkiego, czym zapchali parki logistyczne oplatające miasta niczym XIX-wieczne systemy fortyfikacji.

Gdybym jeszcze miał indyka w brzuchu i na podniebieniu kwaśny posmak żurawin... ale nie, cała amerykanizacja w sferze konsumpcji i rytuałów powszedniości polega przecież na tym, że kopia wychodzi niecałkowicie, pokracznie. Walentynki i Halloween dały się co prawda przeflancować jeden do jednego, ale to dlatego, że to obrzędy publiczne, odprawiane na mieście, w knajpie i na ulicach, niewymagające szczególnego wysiłku poza wydatkowaniem pewnej sumy pieniędzy. Święto Dziękczynienia to zaś bardzo stacjonarna, bardzo domowa okoliczność rodzinna lub w każdym razie w małym, wsobnym kręgu. Moment łączenia i odnawiania wspólnoty ludzi nad posiłkiem, którego jadłospis jest co prawda świeżej daty (podobnie świeżej, jak sporo naszych wigilijnych „klasyków", z karpiem na czele), ale już nabrał rytualnej powagi, jak przystało na ucztę, w której to duch, a nie żołądek, ma zostać w pierwszym rzędzie nakarmiony. Najlepiej świadczy o tym fakt, że odkąd jedzenie zabitego ptaka zaczęło być źle widziane, tworzy się mniej lub bardziej sensowne zamienniki, zawsze jednak podkreślając, że są to zamienniki właśnie. Że brak indyka wcale nie zrujnuje święta. Im mocniej ktoś czuje potrzebę zapewnienia „ta zmiana przecież nic nie znaczy", tym większą zdradza niepewność, że jednak narusza granice i tabu.

Mniejsza o to, czy na wielkim półmisku spoczął drób, czy substytut – pieczęcią tego rodzinnego sakramentu okazuje się sos, *gravy*. Rzecz jasna, również możliwy do zrobienia w wersji wegetariańskiej lub zgoła wegańskiej. Gdybym nie abonował tylu amerykańskich newsletterów kulinarnych, nie zdawałbym sobie sprawy z jego roli – od przeszło tygodnia skrzynka moja pełna jest porad, jak dobrze go przygotować zawczasu (to znaczy: nie robić na chybcika tuż przed przyjęciem, z sosu, który zlejemy z brytfanny z indykiem, lecz mieć go gotowego w lodówce) i że dzięki temu wszyscy będą szczęśliwi, od nerwowej pani domu począwszy.

Wolni od tych zmartwień mamy więc w Europie sam sklepowy piątek bez rodzinnego czwartku, szał zakupów bez poprzedzającego święta. Tak jakby ktoś w kraju muzułmańskim zarządził wyprzedaże w końcu grudnia bez poprzedzających je świąt, z całą ich krzątaniną i interakcjami. Przenieść z jednej kultury w drugą złożone rytuały rodzinne to zadanie niewykonalne. Można tylko manipulować nami jako konsumentami, uczestnikami tej uniwersalnej, ale pozornej wspólnoty kupujących: pozornej, bo co prawda stojąc do kas tworzymy tłumy, ale jesteśmy w nich bardzo osobni. W miarę jak pustoszeją kościoły, w sferze publicznej właściwie już prawie nie ma sytuacji, gdy stoimy razem powiązani i zjednoczeni, gdy tworzymy krąg, do którego biletem wstępu nie jest pieniądz wydany zgodnie z nakazem aktualnej handlowej chwili. Opór przed tym jest z konieczności aktem jednostkowym, ale to zarazem warunek konieczny, byśmy się kiedyś, gdzieś, pod jakimś nieznanym jeszcze dziś niebem jako wspólnota odbudowali. ©℗

W serwisach kucharskich z Ameryki w okolicach Święta Dziękczynienia zawsze poluję na rozmaite przepisy z żurawiną – tym cenniejsze, że i u nas jest jej teraz pod dostatkiem na targu. Lubię ją przede wszystkim jako bazę różnych sosów – zawsze zaczynamy od zagotowania owoców w niewielkiej ilości soku pomarańczowego, aż zaczną pękać, dobrze się sprawdza do słodzenia syrop klonowy, a z przypraw lubię dodawać do niej rozmaryn. Dzięki swej barwie nadaje się też na piękny krem typu curd, który najczęściej znamy w wersji cytrynowej jako nadzienie tarty na kruchym spodzie. 350 g żurawiny zagotowujemy w rondelku z 200 g cukru i z sokiem z 1 pomarańczy oraz skórką z tejże. Gotujemy na wolnym ogniu ok. 10 minut, aż owoce porządnie się rozpadną. Miksujemy z grubsza blenderem, przecieramy przez sito, dodajemy do ciepłego przecieru pół kostki masła. Ubijamy 2 jajka i 2 żółtka, dodajemy do miski odrobinę ciepłego przecieru, łączymy powoli, potem powoli dolewamy resztę. Przelewamy do garnka, podgrzewamy na wolnym ogniu ok. 10 minut, aż wyraźnie zgęstnieje. Po ostygnięciu wlewamy na przygotowany wcześniej i podpieczony kruchy spód do tarty o wysokich brzegach. Zapiekamy ok. kwadransa w 180 stopniach.

VALENTINA R. / ADOBE STOCK

ZNACZY KAPITAN

FIANN PAUL, WIOŚLARZ OCEANICZNY:

Dopiero w trakcie kolejnej wyprawy przypominam sobie, jak cierpiałem podczas poprzedniej. I jak powtarzałem, że już nigdy więcej sobie tego nie zrobię.

ADAM ROBIŃSKI: Co czuje człowiek w łódce przypominającej łupinę orzecha na środku oceanu?

FIANN PAUL: Mali chłopcy lubią pirotechnikę, aerodynamikę i akrobatykę. Najlepiej wszystkie naraz. Ze mną było tak samo, zawsze lubiłem dynamikę żywiołów. Ufałem im i traktowałem jak przyjaciół. I to mi zostało do dziś. Dlatego naprawdę lubię, kiedy łodzią rzucają duże fale. Inni członkowie moich załóg – już niekoniecznie. Zdarzało się jednak, że już po wyprawach zadawałem sobie pytanie: byłem taki odważny czy może tylko głupi?

I jak brzmi odpowiedź?

Nie wiem. Chwilami naprawdę jechaliśmy po polarnej bandzie, dosłownie i w przenośni, bo docieraliśmy tam, gdzie nikt wcześniej nie dotarł, w okolicznościach, w których nikt się przed nami nie znalazł.

Czyli wiosłując przez ocean nie rzucasz wyzwania żywiołowi, ale próbujesz z nim współpracować?

Jest taka wydana pod koniec XIX wieku monografia „Złota gałąź" – biblia antropologów, bo sir James George Frazer spisał w niej ludowe rytuały ze wszystkich zakątków świata. Na przykład zaklinaczy pogody ze Skandynawii. Wiązali supły na linach, żeby zapewnić żeglarzom pomyślny wiatr. Jeden supeł gwarantował lekki wiatr, trzy dawały huragan. Zaklinacze pogody zniknęli dopiero wtedy, gdy pojawiły się silniki. Ale my, wioślarze, nie używamy przecież silników... Tak, jakiś rodzaj wiary w siłę wyższą nie jest obcy eksploratorom. A z siłą wyższą nie należy walczyć. Choć dobrze przećwiczony protokół awaryjnych sytuacji pozwala na traktowanie niemal wszystkich okoliczności jako dających się opanować, to – niestety – sprzęty czasem się psują. I to jest jedyna rzecz, jakiej się boję. Bo każdy protokół bazuje na tym, że sprzęt działa.

Czy w trakcie ekspedycji myślenie jest wyłącznie zadaniowe? Czy zostaje miejsce na refleksje, obserwacje oceanu i morskiego życia?

Podczas wyprawy jedna piąta chwil to te z dobrą pogodą, kiedy można cieszyć się tu i teraz. Cała reszta czasu to walka, którą musi stoczyć twój wewnętrzny wojownik. Dlatego dobierając uczestników wypraw unikam romantyków, którzy wierzą jedynie w piękno tego doświadczenia.

Czyli: jeśli refleksja, to dopiero po fakcie?

Najciekawsze jest to, że z naszej pamięci usuwany jest wszelki dyskomfort. Być może działa tu ten sam mechanizm, który pomaga kobiecie zapomnieć o bólach porodowych? Może ewolucja chciała, żeby gatunek ludzki nie zniechęcał się do poszukiwania nowych lądów, do podejmowania takich wyzwań? Co ciekawe, kiedy jestem na wyprawie, wracają do mnie te wszystkie trudne wspomnienia, o których na lądzie nie pamiętałem. Przypominam sobie, jak powtarzałem, że już nigdy więcej sobie tego nie zrobię. Ludzie, którzy decydują się wiosłować przez ocean, robią to zwykle raz w życiu. W rezultacie łatwiej im cieszyć się potem tym przeżyciem, bo ono nie wraca jako doświadczenie. Ze mną jest trochę inaczej.

Twój ostatni sukces to Impossible Row, sześcioosobowa wyprawa wioślarska przez Cieśninę Drake'a z Ameryki Południowej do Antarktyki. Byłeś, jak zwykle, kapitanem. Czym różniła się od poprzednich? Co było w niej trudniejszego, pomijając samą naturę znanego ze sztormów akwenu?

Najtrudniejsze było to, że musiałem w związku z wyprawą założyć konto na Instagramie. Wciąż czuję się z tym niekomfortowo. A musiałem, bo producenci filmu, który był podczas niej kręcony, niemal zupełnie pominęli mnie w działaniach promocyjnych. Organizowałem tę ekspedycję dwa lata, dowodziłem nią, a początkowo wszystko przypisano ostatniemu zawodnikowi, który do nas dołączył. Być może dlatego, że jego Instagram był pokaźny. A ja, głupi, myślałem, że jak ktoś zwraca uwagę, że nie używam Instagrama, to jest to komplement.

↳

ARCHIWUM FIANNA PAULA

FIANN PAUL (1980) jest urodzonym w Polsce wioślarzem oceanicznym, psychoanalitykiem i artystą. Jedyny na świecie człowiek, który przepłynął dzięki sile własnych mięśni pięć oceanów, ma na swoim koncie 33 rekordy Guinnessa, co jest samo w sobie światowym rekordem.

Na zdjęciu: w prototypowym skafandrze zaprojektowanym przez niego na wyprawy wioślarskie na otwartych wodach polarnych, sierpień 2021 r.

Domyślam się więc, że płynięcie w towarzystwie kamer telewizyjnych dodatkowo podniosło poziom trudności?

Jasne, bo wokół filmu dzieje się o wiele więcej niż wokół samej wyprawy. A to film zostanie jej zapisem historycznym, będzie reprezentował fakty lub ich interpretacje. Czyli tak naprawdę historię Impossible Row piszą producenci filmu, to oni mają na nią większy wpływ niż ja, lider wyprawy. Bardzo trudna sytuacja.

Masz na koncie kilka pionierskich wypraw. Przewiosłowałeś Atlantyk, Ocean Indyjski, pół Pacyfiku, z Norwegii na Spitsbergen, z Chile do Antarktyki. Mimo to parokrotnie podkreślałeś, że punktem odniesienia są dla Ciebie dawni odkrywcy z rdzennych ludów, którzy wypuszczali się w takie podróże bez nowoczesnego sprzętu, którym dysponujesz. I że w związku z tym daleko Ci do ich osiągnięć.

Dokładnie tak. Nigdy nie odtworzę stopnia trudności, z jakim oni się mierzyli. Mało tego, oni nie mieli pojęcia, że to, co robią, jest warte opowiadania. Dawni odkrywcy to dla mnie ogromna inspiracja. Współcześnie oceniamy osiągnięcia z perspektywy kryteriów człowieka Zachodu. Tymczasem wielu historycznych eksploratorów, np. Roald Amundsen, który jako pierwszy dotarł do bieguna południowego, wygrali właśnie przez to, że uznawali wyższość rdzennych ludów polarnych i chcieli się od nich uczyć. Idąc ich tropem, powinniśmy wreszcie porzucić absurdalne tezy, jakoby to Krzysztof Kolumb czy Leif Eriksson odkryli Amerykę. Wiem, dlaczego dawniej to ich traktowano jak pionierów. Ano dlatego, że rdzennych mieszkańców nie uważano za ludzi, tylko za zwierzęta. Ale dlaczego dziś, w XXI wieku, wciąż powtarzamy te bzdury o Kolumbie?

To się przecież zmienia.

Bo dopiero teraz uczymy się, jak nie być pasożytami tej planety? Recykling, energia odnawialna, oszczędzanie zasobów, to są przecież zasady, którymi rdzenne ludy kierowały się od zawsze. I już wiele lat temu próbowały nas, ludzi Zachodu, ich uczyć. Że należy spożytkować całego zabitego bizona, zjeść każdą jego część, a nie tylko zedrzeć skórę i resztę zmarnować. Chodzi o relacje bliższą symbiozie niż pasożytnictwu.

Jak zostałeś wioślarzem oceanicznym? Czemu nie choćby himalaizm? Czy to był świadomy wybór, żeby niedolę i trudy wyprawy dzielić na oceanie z innymi ludźmi?

To nie takie proste. Zarówno wioślarstwo, jak i himalaizm mogą być dyscyplinami indywidualnymi albo drużynowymi. Myślę, że mój wybór pracy z drużyną bierze się z faktu, że lubię być liderem. Lubię angażować do sukcesu potencjały innych osób. Uwielbiam strategie, uwielbiam oglądać, jak manifestują się duże wizje.

Wyprawa przez Cieśninę Drake'a w wersji solo trwałaby pewnie trzydzieści dni. O ile ktoś by ją wytrzymał, bo cena tzw. *assisting vessel*, czyli towarzyszącego łódce statku, który jest wymagany przepisami z uwagi na bardzo kosztowną ewakuację, byłaby dla zwykłego śmiertelnika po prostu nieosiągalna. Poza tym tylko jedna, a nie sześć osób, musiałaby ubiegać się o sponsorów. Z tego powodu miewałem w załogach ważne osoby, jak choćby członków rodzin królewskich czy bardzo zasobnych przedsiębiorców.

Na starcie wyprawy mówię załodze: **„Nie liczcie na to, że będzie przyjemnie. Raczej będzie nieprzyjemnie.** Mogę wam za to obiecać, że mamy szansę na osiągnięcie celu". I właśnie dlatego nie lubię, jak ktoś twierdzi, że liczy się droga, a nie cel.

ARCHIWUM FIANNA PAULA

ARCHIWUM FIANNA PAULA

Na Lagunie Lodowcowej, Islandia, sierpień 2021 r.

Urodziłem się Polakiem, ale tak samo jestem Islandczykiem. W dodatku **behawioralnie jestem Japończykiem, bo lubię precyzję, punktualność,** dziwactwa, a na śniadanie jem ryby i sfermentowaną soję. I mam afrykańskie poczucie humoru.

Zanim zająłeś się wioślarstwem, realizowałeś się w innych wyczynowych wyzwaniach?

Największym fizycznym wyczynem, jakiego się podjąłem, było odzyskanie kontaktu z własnym ciałem. To może brzmieć abstrakcyjnie czy naiwnie dla kogoś, kto nie pracuje z psychologią i ciałem, ale ten kontakt jest bardzo istotną częścią świadomości. Dla mnie jedną z najważniejszych. Przy czym kontakt z ciałem nie jest wcale jednoznaczny z atletyczną sylwetką.

To co oznacza?

Coś o wiele bardziej złożonego. Trudne doświadczenia związane z dorastaniem często odcinają nas od ciała, szczególnie jeśli wychowujemy się w kulturach, w których z ciałem związane jest poczucie winy i wstydu. Ze mną tak właśnie było, i w efekcie starałem się uciec od fizyczności. Bezpamiętnie zaangażowałem się w życie duchowe i medytacje. Potem podjąłem ogromną, wieloletnią walkę o to, żeby po prostu odzyskać własne ciało. W pełni je poczuć, pozbyć się emocji, które je blokowały. Dużą częścią tego procesu były moje doświadczenia z rdzennymi społecznościami na pięciu kontynentach. To są zwykle kultury, w których człowiek jest zintegrowany ze swoją fizycznością. Dziś, jako że na co dzień pracuję jako psychoanalityk, wiem, że bardzo niewiele osób dociera do momentu, w którym w pełni odzyskują kontakt z ciałem. Niewielu udaje się odbić je z toksycznych więzów naszej cywilizacji.

Sportowiec musi znać własne ciało?

Wielu nie zna! Tymczasem dla eksploratorów to kluczowa sprawa. Przecież podczas wielotygodniowych czy wielomiesięcznych wypraw cały czas oscylujemy na granicy jego możliwości. Trzeba je przez cały czas słyszeć, rozumieć i z nim współpracować. Ono nie może być tylko twoim niewolnikiem, bo niewolnik szybko znienawidzi swojego władcę. Dziś, kiedy już doszedłem do miejsca, w którym jestem, mam poczucie, że znajomość ciała to klucz do moich sukcesów. Wyrażanie siebie poprzez ciało to duża część mojego samospełnienia. Nie wyobrażam sobie życia bez aktywności fizycznej, bez codziennego intensywnego odczuwania swojego ciała.

Wyprawa przez Cieśninę Drake'a, Ocean Antarktyczny, grudzień 2019 r.

Da się tego nauczyć innych?

Kiedy mam kogoś wytrenować, zawsze mówię, że liczby i wstępne wytyczne są po to, żeby nauczyć się odczuwać własne ciało. Potem już tylko podąża się za tymi odczuciami. Mnie zajęło to lata.

Podczas wykładu z serii TEDx mówiłeś żartobliwie, że zbierając załogę szukasz przede wszystkim szaleńców – ludzi o cechach osobowości, które w normalnym życiu traktuje się jako bagaż, ludzi dysfunkcyjnych. Czyli nie dość, że dochodzicie do granicy własnych możliwości, to jeszcze siedzicie na beczce prochu, którą każdy z Was może zdetonować?

Kierunek myślenia jest właściwy, ale aspekty psychologiczne funkcjonują trochę inaczej. Paradoksalnie to właśnie te najbardziej „uszkodzone" osobowości, które odniosły w życiu wiele ran, są zwykle najmniej wybuchowe, bo często żyją według schematu, że nie mają – oczywiście w cudzysłowie – prawa żyć, a więc i wybuchać. Co więcej, często starają się te trudności wczesnych lat odtwarzać. Bo to w nich czują się jak w domu, dosłownie i symbolicznie. Za to w zwykłym, lekkim życiu czują się niezdarnie i niewygodnie. Czasem w trakcie swoich wykładów pytam publiczność, kto ↦

↦ by wygrał hipotetyczny pojedynek: tygrys czy rekin? Odpowiedź brzmi: zależy gdzie. Wygrałoby to zwierzę, które byłoby w swoim naturalnym środowisku. W wodzie rekin, na lądzie tygrys. Dla wspomnianych osobowości naturalne środowisko to owe skrajne warunki. I to takie jednostki okazują się w nich najmniej wybuchowe.

To jakie cechy charakteru wypychają Ciebie na ocean?

Odrobina tego co powyżej, plus chęć przeżycia przygody. Moje życie dobrze ilustruje fragment piosenki „Odyseusz" polskiego zespołu The Dumplings. Nagrali ją co prawda po angielsku, ale po polsku to będzie jakoś tak: „Długa droga do domu / Morze tak głębokie / Trudna droga do domu / Morze tak zniewalające. / Znajduję się pośród fal / Gdy tak naprawdę zmierzam do domu... / Odnajduję się w objęciach syren / Gdy w prawdzie zmierzam do domu".

Zdarzyło Ci się kiedyś źle dobrać załogę i ta beczka prochu na środku oceanu jednak wybuchła?

I tak, i nie, bo, jak już tłumaczyłem, na łodzi nikt nie wybucha. Często byłem świadomy, że tak naprawdę nie mam wyboru. Na przykład dlatego, że najlepsi zawodnicy nie mieli własnych funduszy, a mnie nie było stać, żeby za nich zapłacić. W takich sytuacjach wiem, że będzie zgrzytało jak w przeciążonej machinie, że nie obejdzie się bez strat. Kalkuluję jednak, że nie będą to straty krytyczne, a cel zostanie osiągnięty. Jest taki angielski zwrot: *mission impossible*.

Misja niewykonalna.

Tak się go tłumaczy dosłownie, tymczasem on wcale nie oznacza, że coś jest niewykonalne. Raczej to, że lider potrafi stanąć na wysokości zadania, ale przewyższa ono możliwości uczestników. Czy to oznacza, że nie osiągną celu? Niekoniecznie. Na starcie wyprawy mówię zwykle załodze: „Nie liczcie na to, że będzie przyjemnie. Przez większość czasu będzie nieprzyjemnie. Mogę wam za to obiecać, że mamy dużą szansę na osiągnięcie celu". Między innymi dlatego nie lubię, jak ktoś mówi, że liczy się droga, a nie cel.

Kiedy już osiągnęliście cel ostatniej wyprawy, na brzegu Antarktydy wyrecytowałeś inuicki wiersz z XIX wieku. Dlaczego?

Zacznę od najprostszej odpowiedzi: bo jest piękny. Nie widziałem pełniejszego sposobu, by uczcić ten moment. To wiersz napisany przez kogoś, kto doskonale zna majestat rejonów polarnych. Jego autorka, szamanka o imieniu Uvavnuk, jest fascynującą postacią. Mam ogromny szacunek do szamanów z Arktyki, gdyż ich inicjacje zawsze wiązały się bezpośrednio ze stanami bliskimi śmierci. I to nie symbolicznie, tylko dosłownie – często w starciu z żywiołami albo polarnymi zwierzętami. Ich trans nigdy nie był natomiast wspomagany substancjami zmieniającymi świadomość.

Teraz pytanie z drugim dnem: gdybyś miał namalować pejzaż z ekspedycji przez Cieśninę Drake'a, co by się na nim znalazło?

Starożytni kartografowie pisali o Terra Australis Incognita, nieznanej południowej krainie. Tak nazywali nieodkrytą jeszcze wówczas Antarktydę. Uważali ją za coś mitycznego, nadawali jej boskie cechy. Umyślnie mówię „coś", bo niekoniecznie mieli na myśli ląd. Dwieście lat temu zobaczył ją Fabian Bellingshausen. Moja załoga jako pierwsza dotarła na ten ląd przy użyciu wyłącznie siły mięśni. Dwieście lat po nim, niemal co do dnia, niemal w tym samym miejscu. Więc w pewnym sensie zdemaskowaliśmy tę Terra Australis Incognita, która dla Bellingshausena była plamą na mapie, a dla współczesnych eksploratorów kresem możliwości dla siły ludzkim mięśni. Ale jeśli pytasz o to, co bym namalował, to odpowiem, że to, co już namalowałem. Razem z zaprzyjaźnioną artystką Natalie Caroline zrobiliśmy ilustrację do wspomnianego już wiersza „The Song of Uvavnuk". Inspiracją był dla mnie moment, w którym jako ekipa wysiedliśmy z łódki i stanęliśmy na brzegu Antarktyki.

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego" dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego".

TYGODNIK POWSZECHNY Legimi

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

No właśnie, bo oprócz tego, że jesteś wioślarzem oceanicznym i psychoanalitykiem, zajmujesz się również sztuką. Da się z innymi sportowcami porozmawiać o książkach, muzyce, wystawach?

Niestety bardzo rzadko. Uśmiałem się kiedyś, gdy przeczytałem w wywiadzie, jak któryś z moich załogantów narzekał na muzykę, którą puszczałem: „Ten jego islandzki rock był nie do zniesienia".

Niech zgadnę: Sigur Rós?

Wcale nie, puszczałem wtedy muzykę etniczną z Afryki.

Z kim Ty pływasz?

Uczestnicy wypraw są dla mnie jak bracia ze spartańskiej armii. Nasza walka jest wspólna, a cel jeden. Ale kiedy walka się kończy, rozchodzimy się każdy w swoją stronę. W życiu codziennym nie ma tego, co łączyło nas na placu boju. Przyjaciół mam raczej w świecie artystycznym. To zresztą zabawne, bo osoby z tego środowiska mówią, że jestem macho z obsesją kontrolowania wszystkiego. Z kolei sportowcy mówią o mnie: hipis i szaman. Śmieję się czasem, że dokonałem w życiu wielu właściwych i niewłaściwych wyborów, ale jako że wylądowałem w obu tych światach naraz, to nie do końca wiem, które były właściwe, a które niewłaściwe. Ale jest też inna puenta, bo i artyści, i sportowcy uważają mnie za dziwaka.

Dziwaka, który na dodatek nie lubi mediów społecznościowych. W filmie telewizji Discovery, o którym już wspominaliśmy, mówisz o sobie „umiarkowanie skromny". To zadziwiające: masz na koncie 33 rekordy Guinnessa, a więc najwięcej spośród wszystkich odkrywców na świecie, a pozostajesz właściwie anonimowy. Ciebie to nie dziwi?

Zawsze w takiej sytuacji prostuję, że na skali skromności jestem gdzieś pośrodku. To nawyk z psychologii – nie wolno unikać przyznawania się, że lubimy gratyfikacje, bez tego nie ma sensu rozmawiać o psychice człowieka. Dlaczego dla wielu osób pozostaję anonimowy? Bo nie inwestuję w autopromocję, tylko w działania, które mnie wyrażają. Robię to, w co wierzę, co lubię i co czuję. Marketing zawsze mnie odpychał. Wiem, że dziś marketing i *public relations* to klucz do sukcesu. Szczególnie jeśli nie ma się nad sobą federacji, która promowałaby twoje osiągnięcia i aktywności. Ktoś mi kiedyś powiedział, że na sukces składają się w 60 procentach marketing, w 30 procentach wrażenie, jakie się robi na innych ludziach. I tylko 10 procent tego sukcesu to samo działanie. Szalone czasy!

Powiedz jeszcze na koniec, jak z Polaka stałeś się Islandczykiem. Dziś wiosłujesz w narodowych barwach Islandii.

Nie lubię samego konceptu narodowości. Jestem tak samo Polakiem, jak Islandczykiem, a zarazem żadnym z nich. Sport przykłada do narodowości dużą wagę, nie sposób się od tego uwolnić. Ale przecież to, gdzie się urodziliśmy, jest sprawą losową. Przywiązywanie się do tego zrządzenia losu jest w moim poczuciu błędem. Najważniejsze jest odkrycie, kim jesteśmy poza opakowaniami, w których się urodziliśmy. Tych opakowań jest wiele. Kiedy przyglądam się sobie, zauważam, że behawioralnie jestem trochę Japończykiem: lubię precyzję, punktualność, dziwactwa, a na śniadanie jem ryby i natto, sfermentowaną soję. Z kolei poczucie humoru mam chyba takie, jak mieszkańcy Afryki. Przynajmniej tak mi mówiono w Afryce. Jako że mieszkałem w różnych miejscach na całym świecie, przynajmniej rok na każdym z sześciu kontynentów, mam wrażenie, że dużą część samego siebie zbudowałem z wielu aspektów różnych kultur. Tymczasem przynależność narodowościową zwykle określa się poprzez znajomość języków.

W Twoim przypadku...?

Najlepiej mówię po angielsku i polsku.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

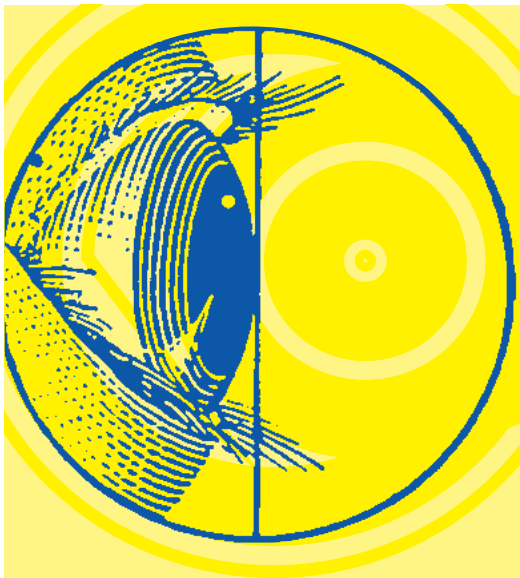

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Rejestracja w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto"** umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego" osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na powszech.net/dostepny

DE STOWARZYSZENIE FACTO

TYGODNIK POWSZECHNY

STANISŁAW

Mancewicz:
Nikt, nic

Kompletu ostatnich wydarzeń nie sposób nazwać inaczej niż przejmującym, wieloczęściowym spektaklem na temat upadku powagi państwa. Gdy się niechcący czyta bądź słucha przedstawicieli władzy, gdy człowiek sobie uświadomi, w czyim jest ręku i czego ci ludzie nie mogą, wtedy zaiste popada się w rozstrój.

O tym, co mogą, już wiemy. A to dzięki decyzjom, które podejmują od lat wielu, a to od nich samych, z ich tu i ówdzie kompulsywnego wypluwania myśli czy publikowanych przez nich w internecie obrazków mających ludowi zastąpić całe frazy. Słowem, nie sposób czuć się zaskoczonym, gdy zastanawiamy się, cóż oni jeszcze mogą. Naturalnie, są to możliwości głównie oralne i chyba nie budzi niczyjej wątpliwości, że mówienie idzie im najlepiej ze wszystkiego. Jak to się dawniej mawiało, są mocni w buzi. Po latach doświadczeń, słuchania i oglądania możemy w ciemno pisać bądź to wielogodzinne przemówienia, bądź drobne, okolicznościowe mówki absolutnie każdemu politykowi i funkcjonariuszowi PiS-u, każdego szczebla – od sołtysa po prezydenta państwa. Jest to zadanie tak niestresujące i niekłopotliwe umysłowo, że można by je zalecić jako ćwiczenie w przychodniach rehabilitacyjnych. Weźmy dla przykładu takiego ministra od kultury, on – popatrzmy – powiedział już tyle razy to samo, że zbudzeni w środku mroźnej, pisowskiej nocy jesteśmy w stanie wyśpiewać wszystkie te kawałki, bez ustanku układające się w nieskomplikowane strofki coraz bardziej marszowego utworu.

Wydaje się na pierwszy rzut oka, że pytanie, czego ludzie władzy nie mogą, jest dobre dla jasnowidza. Otóż wcale nie jest tak zabawnie i prosto, jak by się mogło wydawać. Ludzie jasnowidzący w swym jasnowidzeniu posługują się wachlarzem stereotypów bądź – jak kto woli – logicznymi zestawami zdarzeń uznawanymi za przerażające. Każdy szanujący się jasnowidz ma menu dostosowane do nastroju swej publiczności. Ale niemożność, zwłaszcza władzy, jest zbyt skomplikowana. Zwykły, prosty, polski jasnowidz, pierwszy z brzegu, nie może dać satysfakcjonującej odpowiedzi na pytanie, czego ludzie władzy już dziś nie mogą bądź nie będą mogli za chwilę. W tym sensie jesteśmy lepsi od oficjalnie zarejestrowanych wieszczbiarzy i wieszczbiarek w – dajmy na to – Stowarzyszeniu Jasnowidzów Polskich. Na to pytanie kompetentną odpowiedź może dać tylko felietonista. Otóż widzimy, że wydarzenia na wschodniej granicy kraju, a zwłaszcza działania w tej sprawie polityków Wschodu i Zachodu, pokazują nader dobrze, czego władza tutejsza na pewno nie może. Odpowiedź jest szokująco prosta: nic nie może. Na razie ta najkrótsza z analiz nie dotarła tak naprawdę do nikogo w Polsce, prócz naszych prawdziwych nieprzyjaciół. Ktoś teraz, w swej pozornej wszechwiedzy, zarzuci nam, że siejemy panikę, defetyzm, że być może kultura Zachodu zaburzyła nam na dobre naszą polską tożsamość płciową i stąd te rozchwiane emocjonalnie oceny. Nie damy się sprowokować.

Idźmyż dalej, bowiem się ściemnia. I rzec trzeba głośno, że ściemnia się gruntownie. Ludzie tutejszej władzy nie tylko nie mają już nic do zrobienia w polityce międzynarodowej, bo nie mają tam już nic do powiedzenia poza sentymentalizowaniem, opowiadaniem o przeszłości bądź nieuzasadnionym nadymaniem się, ale nie mają w zasadzie już nic do zrobienia w polityce tutejszej, a ściślej rzecz ujmując, w tej sferze polityki, która ociera się o problematykę szalejącej epidemii. Słychać liczne głosy, że nicnierobienie, niepodejmowanie żadnych drażniących tutejszych płaskoziemców decyzji to oczywiście jest uprawianie konkretnej polityki – owszem, ale nie w tym przecież jest sedno. Pytaliśmy bowiem na początku, czego ludzie władzy nie mogą. Odpowiedź może brzmieć niepokojąco dla – jak powiadają niektórzy tutejsi uczeni – dziesięciu procent obywateli w wieku 50 plus, którzy umrą z powodu działania COVID-19. Otóż oni, ludzie uporczywie kiepskiej władzy, też już nie mogą. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

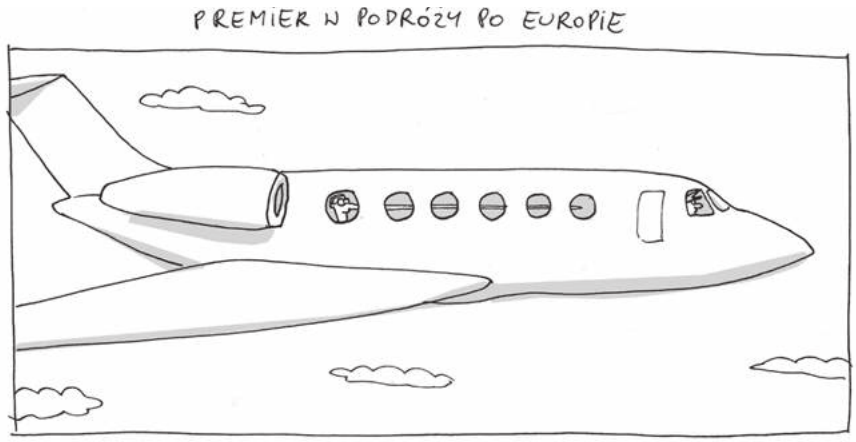

REKLAMA

College of Europe
Collège d'Europe

Brugge | Natolin

Prestiżowe, pomagisterskie Europejskie Studia Interdyscyplinarne

Aplikuj teraz!

Kolegium Europejskie to najstarsza i jedna z najbardziej prestiżowych uczelni oferujących pomagisterskie studia europejskie. Podczas rocznych studiów w języku angielskim i francuskim na kierunku Advanced Master of Arts in European Interdisciplinary Studies w Kolegium Europejskim w Natolinie studenci zyskują szerokie spojrzenie na problematykę europejską oraz kompetencje przygotowujące ich do dalszego rozwoju zawodowego w wielu różnych sektorach.

Kandydaci z Polski mogą ubiegać się o pełne finansowanie studiów w ramach stypendiów Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Rekrutacja na rok akademicki 2022/2023 jest otwarta do 19 stycznia 2022 r.

Więcej informacji: coleuropenatolin.eu/pl

Ogłoszenie skierowane jest do studentów ostatniego roku lub absolwentów studiów magisterskich.

With the support of the Erasmus+ Programme of the European Union

REKLAMA

MUZEUM WARSZAWY

WYSTAWA 18.11.2021 — 20.03.2022
Rynek Starego Miasta 32

nie widoczne

Historie warszawskich służących

www.muzeumwarszawy.pl | FB: muzeum.warszawy | IG: muzeumwarszawy

Matronaty:

zakochaj się w Warszawie · TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne · wysokieobcasy · G'RLS · femino fteka · kontakt · HER DOCS FILM FESTIVAL